

# Wspomnienia z za Buga ~ 1921-1945 – Zofia Pawłowska

**Kim jestem? Polka, urodzona w 1921 r., żyła do 1945 r. na terenie ZSRR. Przeżyłam głód, czystki, zesłania, II wojnę i PRL. Teraz chcę o tym opowiedzieć, bo pamięć jest najważniejsza. Elektroniczną wersję pamiętnika prowadzi mój wnuk. Wszystkie zapiski pamiętnika zrobione zostały ręcznie, w szkolnych zeszytach. On je przepisuje.**

Zofia Pawłowska

## Wspomnienia z za Buga ~ 1921-1945

Redaktor

Całość strony redaguje ja, od autorki pochodzi jeno tekst. Wspomnienia będą umieszczane w częściach co dwa dni, czasami może codziennie. Książka pierwsza ma ok. 100 stron A4, więc jest co dzielić. Jeżeli ktoś ma jakie pytania do Zofii Pawłowskiej to proszę mi napisać, postaram się uzyskać na nie odpowiedź.

Kontakt e-mail: [zofiapawlowska@tlen.pl](mailto:zofiapawlowska@tlen.pl)

Spis treści:

Wstęp

- 1.1 – Piękne Podole i komunizm
- 1.2 – Aru je jest? – pierwsze tortury
- 2.1 – Rozkułaczanie
- 2.2 – Zabili konie
- 3.1 – Pani nie przyszła na lekcje

- 3.2 – Msza po egzalna
- 3.3 – Rabunek do ostatniego ziarnka
- 3.4 – Kot przy zamkni tej komórce
- 4.1 – Ojciec ucieka
- 4.2 – Rok 1933
- 4.3 – Głód
- 4.4 – mier (i ycie) w mie cie
- 5.1 – Pora niw
- 5.2 – Orszak pogrzebowy
- 5.3 – Dlaczego ocalałam?
- 5.4 – Ojciec wraca
- 6.1 – Błogosławie stwo pracy
- 6.2 – Portret Pawlika Morozowa
- 7.1 – Zepchani do bydl cych wagonów
- 7.2 – Ognisko w cerkwi
- 7.3 – Nowy "dom"
- 7.4 – Szukaj c szkoły
- 7.5 – Nowa zabawka
- 8.1 – Wiosenna odwil
- 8.2 – Kolejna ucieczka
- 8.3 – Mijaj c wymarłe wsie
- 8.4 – Poci giem do Połtawy
- 9.1 – Machina terroru
- 9.2 – Duch pod oknem
- 9.3 – Umrze aby y
- 10.1 – Znowu chce si y !

- 10.2 – Wrzesień 1939 roku
- 10.3 – Niewła ciwa narodowo
- 11.1 – Bombowce nad miastem
- 11.2 – Pakunki z chlebem
- 11.3 – W niemieckiej niewoli
- 11.4 – Na rodzinnej ziemi
- 12.1 – Śmierć z honorem
- 12.2 – Wracaj "swoi", a z nimi strach
- 12.3 – "Dobrowolne" zesłania
- 12.4 – Pociąg z polskim wojskiem
- 12.5 – W wojsku "polskim"
- 13.1 – Kościół i poczciwi
- 13.2 – Powroty
- Epilog
- ... -Stare zdjęcia
- ... - Interludium

---

## Wstęp

W roku 1921 kiedy Rosjanie każy najrozmaitsze zamieszki, powstania, bunty i rewolucje przyszłam na świat. Urodziłam się po to by powikszy i tak już niemał liczbę istniejących ludzkich, których los był nie do pozazdroszczenia. I ja stałam się „szczęśliwą” obywatelką pierwszego państwa na kuli ziemskiej, które miało być Rajem na Ziemi, komunistycznym rajem. Jeszcze wówczas mieliśmy swój kościół pod wezwaniem św. Anny. W księgach parafialnych zostałam zarejestrowana jako Zofia Okiejska, z matki Karoliny i ojca Błażeja.

Jak to się stało, że najpierw Lenin, a po jego śmierci Stalin tworzyli to państwo rzekomego dobrobytu i równości, a powstał ogromny obóz niewolniczy?

Dlaczego tak się stało? Czy ich zamiary i pragnienia były szczerze?

Je eli prze yłam strasz n gehenn , to chyba Bóg tak chciał. Dlatego musz mówi , by wiat dowiedział si , by poznał prawd o ludziach mordowanych, głodzonych i torturowanych. Czy to nie zakrawa na cud, e jedynie mój ojciec ocalał spo ród sze ciorga rodze stwa? Zgin li dziadkowie, zgin ły rodziny z dzie mi. Dwóch kuzynów yje jeszcze gdzie daleko w stepach Kazachstanu – zapomniani przez Boga i ludzi. W tym czasie gdy ich rodzice gin li byli jeszcze dzie mi, i o dziwo przetrwali, wytrzymali głód, chłód i poniewierk !

Pragn opisa dzieje mojej rodziny i dzieje jednej polskiej wioski na ukrai skim Podolu. Kiedy w czasach mojego dzieci stwa wie nosiła nazw Greczany, powiat Płoskirów, województwo (po dzisiejszemu) Kamieniec Podolski. Była to du a i zamo na wie . Obecnie wioski ju nie ma, a miasto nosi nazw Chmielnicki na pami tk rebelii, któr wzniecił Bogdan Chmielnicki.

---

## 1.1 – Pi kne Podole i komunizm

---

Byłam jedynym dzieckiem moich rodziców, wi c kochali mnie jak tylko jedynaczk kocha mo na. Prze yłam najpierw najszcz liwsze, a pó niej najokrutniejsze, najsmutniejsze lata dzieci stwa. Bardzo wcze nie nauczyłam si walczy o ycie i przetrwanie. Los chciał, e walk wygrałam – po prostu miałam szcz cie. Niewielu nas ocalało. Miło i przywi zanie do rodzinnych stron pozostały mi na całe ycie. Ci gle i ci gle powraca t sknota za utracon Ojczyzn , bo Podole ma co w sobie takiego, e si o nim nie zapomina. Było to dawniej urodzajne, szcz liwe i ukwiecone miejsce na ziemi. Ka da pora roku była pi kna, urokliwa i cudowna. Zima otulała idealn biel osiedla ludzkie, otoczone drzewami owocowymi, na których nieg i szron tworzyły koronkowy pejza . Bł kitnawy lód na rzece Boh w promieniach porannego sło ca mienił si wszystkimi kolorami t czy. Dzieci z miasta i ze wsi lizgały si po tym lodzie – nawet w niedziel id c do ko cioła nie przechodziły my przez most. Wiosna przychodziła równie od rzeki. P kały lody, kry odpływały do morza, a sło ce grzało coraz mocniej. Wiosna szła z pocz tku troch nie miało, ze piewem ptactwa i klekotem bocianów, ale ju w kwietniu królowała niepodzielnie na ł kach, w sadach i w polu. Cudownie pachniały pokryte biel kwiecica – sady owocowe i białe czeremchy na ł kach. Pracowite pszczołki uwijały si zbieraj c miód i brz cz c nieustannie. Ł ki, pola, zagajniki i las yły pełni ycia. Wszystko piewało, cieszyło si ciepłem i sło cem. Czarna jak heban ziemia parowała, pachniała wiatrem, wie o ci i przyszłym urodzajem. Wokół wiejskich chat, w sadach owocowych piewały słowiki, a wtórował im głos kukulek. Staw i rzeka yły równie bujnym yciem. abki urz dzały wieczorami swoiste koncerty, kumkaj c w ró nych tonach i na wiele głosów. Tak było... Było wesoło, było pi knie. Moje wczesne dzieci stwo było szcz liwe i wesołe. Gdy kukulki przestawały kuka – zaczynało si lato. Zbli ały si niwa, sianokosy i zbiór owoców. Dawniej niwa rozpoczynały si

procesj . Pola pszeniczne l niły w sło cu jak najprawdziwszy złoty kruszec. Cała wie wyje d ała w pole. Sierpami i kosami zbierali ludzie plon swojej pracy. aden kłos, adne ziarnko nie miało prawa si zmarnowa . Tu i ówdzie rozlegał si piew e ców i kosiarzy. Tak było kiedy – tyle zapami tałam b d c dzieckiem. Doskonale pami tam widok z okna mojego pokoju. Zimow por podziwiałam zachody sło ca. Ognie czerwona tarcza wynurzała si zza ko cioła. Cały ko ciół wydawał si płon czerwonym słonecznym blaskiem tak długo, a sło ce nie wzniosło si ponad nim. Wtedy wspaniałe zjawisko znikało. Patrzyłam na wschody sło ca – cud budz cego si dnia – z ogromnym zachwytem i zauroczeniem. Był to dla mnie najprawdziwszy „cud”. Kiedy ko ciół przez komunistów został zburzony i pozostały jedynie stercz ce mury i gruzy, zjawisko budzenia si dnia stało si niesamowicie makabryczne i upiorne. Sło ce tak samo jak dawniej wynurzało si na horyzoncie, zapalaj c gruzy i kikuty zburzonych murów, krzy y. Letnie mgły znad rzeki tworzyły milcz ce postacie duchów białych i czerwonych. Gdy sło ce wznosiło si wy ej – duchy gin ły w obłokach, ulatywały do nieba. Wspomnienia radosne przeplataj si ze smutnymi. W pó niejszym czasie wesółych wspomnie ju nie było. Lata 1928 i 1930 były ju tak ci kie i okrutne, e wspomnienia wywołuj uczucie grozy. Tak jakby bajkowy potwór szedł i wszystko kruszył, niszczył i palił. Wielkimi i szybkimi krokami zbli ał si ten potwór do mojej rodziny, do mojej wsi. Bardzo hała liwe i kolorowe było to monstrum. Wszystkie słupy ogłoszeniowe w miastach, płoty i ciany wiejskich chat obklejano bardzo czerwonymi plakatami, na których widniał napis: „ELEKTRYCZNO + KOLEKTYWIZACJA = KOMUNIZM”

## 1.2 – Aru je jest? – pierwsze tortury

---

Zacz ło si wyniszczanie tego co zostało odbudowane po wojnie i rewolucji. Okres „NEPU”. Lata dwudzieste nie były takie niszczycielskie jak pó niejsze. W okresie tej odwil y mieli my nawet polsk szkoł , do której ucz szczałam. Rodzice moi wybudowali now chat murowan i obszerniejsz ni stara. Wkrótce wszystko zostało zniszczone. Bardzo chytrze – za pomoc „ruskiej smykałki” zaczynała si kolektywizacja. Jak spowodowa dobrowolne oddanie przez ludzi do kołchozu swojego mienia – nieraz dorobku kilku pokole ? Najskuteczniejszy okazał si głód. Dalej wszystko odbywało si jak w upiornej bajce...Pami tam niedzielne popołudnie wczesnej jesieni. Do naszego domu wtargn li tak zwani aktywi ci, w asy cie uzbrojonych po z by milicjantów. - Aru je u was jest? – rozległ si brutalny okrzyk. Towarzysze przyszli po bro . Szukali jej wsz dzie, chocia dobrze wiedzieli, e broni nie mamy. Niszczyli piece, wybijali okna, burzyli ciany. Po ich odej ciu mieszkanie wygl dało jak po bombardowaniu, czy trz sieniu ziemi. Pierze z podartych poduszek, pył ze zrujnowanych pieców i cian fruwały po całym mieszkaniu i tamowały oddech. Okazało si , e moi rodzice mieli szcz cie, poniewa broni u nas nie znaleziono – oczywi cie tej sprytnie podrzuconej przez aktywistów.

Oznaczało to chwilowe odroczenie śmierci. W przeciwnym wypadku nie było już ratunku. Wtedy zginęli dwaj najstarsi bracia mojego ojca – Józef i Michał. Nigdy rodzina nie dowiedziała się, jak śmierć im została przygotowana. Nie wiedzieliśmy, czy byli torturowani, czy bardzo cierpieli, czy może od razu zostali rozstrzelani? Zwłok rodzinie nie oddano. Tej pierwszej rewizji nie zapomnę do śmierci. Byłam dzieckiem, bita byłam jak osoba dorosła. Nie było dla mnie taryfy ulgowej. Co myśleli ci obcy ludzie, którzy tak znęcali się nad nami? Nigdy przedtem ich nie widzieliśmy. Zadzali od ojca długiego sznura. On pewnie myślał, że go powiesz, ale nie nadszedł jeszcze jego czas. Sznurem zbirzy związali ojca i dziadka (razem). Leżeli teraz obaj na podłodze. Byli bardzo dobrym celem do kopania i bicia. My – kobiety klęczałyśmy twarzą do ściany. Staraliśmy się nie płakać, ale moje wysiłki były bezskuteczne. Im boleśniej byłam bita, tym głośniej płakałam. Może siepacze pragnęli, bym straciła przytomność, bo moje jęki denerwowały ich. W końcu wywlekli nas z domu i zamknęli w kurniku. Dopiero głębi nocą przyszedł sędzia, który uniknął rewizji, rozwiązali ojca i dziadka, a nas wypuścili. Przy świetle zobaczyłyśmy, jak zmasakrowani byli nasi panowie. Niszcząca rewizja, po której mieszkanie wymagało gruntownego remontu, była tylko „małą” próbą tego, co czekało nas w niedalekiej przyszłości. Sytuacja była niepewna i groźna. Nic nie wskazywało, że nastąpi uspokojenie, że ludzie poczują się choć odrobinę bezpieczniej. Strach i niepewność jutra były cięgle naszym udziałem. Najrozmaitszych rewizji było więcej. Aktywnie ich poszukiwali złota, biuterii, obcej waluty. Wydrukowano ogromne arkusze obligacji państwowych. To był rzekomo bardzo „szlachetny cel”. Pieniądze miały być przeznaczone na uprzemysłowienie i elektryfikację kraju. Jeżeli ktoś nie był w stanie wykupić owych obligacji automatycznie stawał się wrogiem ludu, a los jego był przesądzony.

Wiele niacy sprzedawali inwentarz żywy i martwy, ale to na nic. Pieniądzy bowiem było wciąż mało. Ilość papierów rosła tak długo, a nie pogryzła biedaka w lochach GRU. Aresztowanych wywożono do miasta i ład za nimi ginął. W tamtych ciężkich czasach sędów nie było. Ludzie ginęli, a upominać się o nich nie było u kogo. Jeżeli ktoś miał szczęście i został zwolniony lub uniknął aresztu, to zyskiwał kilka dni życia, ale dług za niewykupione obligacje figurował w aktach miejscowych dygnitarzy.

Oprócz obligacji nakładano rozmaite podatki i sztrafy (z rosyjską karą) o tak wysokich kwotach, że uregulowanie ich stawało się fizycznie niemożliwe. Długi rosły w błyskawicznym tempie i w nieskończoność. Przeważnie przekraczały wartość całego mienia razem z gruntami.

## 2.1 – Rozkułaczanie

---

Rok 1930. Zbiory w tym roku zapowiadały się bardzo dobrze. Pola pszeniczne i niły w słońcu i mogły cieszyć, gdyby nie terror i przeładowania. Ogromne zadłużenia po erowały wszystko. Zboże już do nas nie należało. Ciężka praca na swoim była katorem. Wylany pot i łzy były „zapłat” za kilka dni życia.

Niektórzy łudzili się jeszcze, próbowali oszukać władzę. Schowany woreczek pszenicy lub żyta stawał się miernym pułapką. Aktywiści czujni i gorliwi zawsze znajdowali zboże schowane w słomie lub nawet w ziemi. Wiadomo, czym to groziło! Takich przestępców rozstrzelano na miejscu zbrodni. I wówczas rodzina potajemnie, bez rozgłosu chowała nieboszczyka – jednego lub dwóch – w zalewność od inwencji „dygnitarzy”. Taka śmierć miała nawet cechy dodatnie. Człowiek został po ludzku i w trumnie pochowany, a nie wrzucony do zbiorowych mogił gdzieś w stepie lub w głąbi leśnej puszczy. Zima przełomu lat 1930/1931 była ciężka jak „ołów” i bardzo smutna. Czekaliśmy na wiosnę, na słońce i ludzi, które może w końcu coś się zmieni, przyjdzie opamiętanie. Owszem, wiosna nadeszła piękna i słoneczna. Ziemia wdzięczna za ludzki trud obiecywała dobry urodzaj. Sady kwitły i pachniały. Łąki, rzeka i staw pulsowały mnogością życia. Wiece niacy pomimo, że byli męczeni i zabijani wyszli w pole. Cieszyli się wiosną, orali, siali i sadzili. Na wsi jednak było cicho i smutno. Młodzież nie zbierała się wieczorami i nie piewała. Jeszcze tak niedawno dziewczyny i chłopaki piewali piękne polskie piosenki, a w maju cała wieś pieszyla na majowe nabożeństwo i piewanie pieśni maryjnych. Smutek i strach parali owoły wszystkich – nawet dzieci.

Piewanie polskich piosenek, a szczególnie pieśni religijnych było zabronione (srogo zapreszczono). Bali się sił wroga, z którego nie było powrotu. Nawet za piewanie groziła śmierć, a w najlepszym wypadku obóz na dalekiej północy. Dużo młodzieży pojechało się z życiem, a ci, którzy zostali bali się własnego cienia. Od czasu do czasu znajdowano zmasakrowane zwłoki, wrzucone do stawu, lub w zarośla. Winowajcy tych mordów byli oczywiście nieznani. Chowali my więc te ciała na naszym wiejskim cmentarzu sparaliżowani strachem i bezsilnością. Minęła wiosna, przyszło gorące lato, a z nim niwa. Ciężka praca w czasie niw nie zdołała zagłuszyć śknoty do spokoju i bezpieczeństwa. Pragnęliśmy tego jak głodny chleba, a spragniony napoju. Nadchodziła następna zima, a z nią mroźne krew w żyłach wieści, które podawano sobie z ust do ust. Były one tak groźne, że zdawały się być nieprawdopodobne. Straszny był okres przymusowej kolektywizacji i niszczenia gospodarstw indywidualnych. Ze szczególną zaciętością i furii niszczone zamieszkiwanych rolników. Byli my „wrogami ludu”, kontrrewolucjonistami, kułakami. Wciąż czekaliśmy, co będzie, co stanie się z nami – niepewni dnia, ani godziny. Mroźna i nie na zima nie powstrzymała aktywistów. I nadjechali od strony stacji ludzie obcy, mówiący po ukraińsku. Widocznie polskie wioski szły na pierwszy ogień. Cóż to byli za ludzie... Wyciągali z naszych obór krowy sztuka po

sztuce, jak swoje własne. Nie pytali o pozwolenie! Nie pomagały proby, ani płacz dzieci i kobiet. Aktywni ci byli nieczuli. Oni robili co im zleciła „wierchuszka”. Robili swoje. Plan musiał być wykonany. Matka, kiedy czuła się w niegu błagała o litość. „Zostawcie chociaż jedną krowę!” Ale nic nie wybłagała. Ojciec czuł się bezsilny. Nie mógł jednak dłużej tego cierpieć. Bierne patrzenie na jawne grabieże w biały dzień było ponad jego siły. Długo się nie zastanawiając zamknął oborę z ostatnią krową, a klucz rzucił do niegu. W tej rozpaczy nie pomyślał o sobie i o tym, co mogło się stać. A stało się. Towarzysze rzucili się na ojca jak sfora rozwiezionych dzikich bestii. Bili, popychali, rzucili na niego i dalej kopali ciemiękami buciurami. Wszyscy byli myśliwi, nie wyłaczając mnie, ale ojciec ucierpiał najbardziej. Druga banda siepaczy rozkułaczwała naszych bliskich sąsiadów – Ziembickich. Im udało się uniknąć bicia i znęcania fizycznego. Słychać jedynie było ryk wywlekanych krów. Z daleka sprawiało to wrażenie jakby gospodarze bardzo chętnie komuś oddawali swój dobytek. A oni nieszczęśliwi, powiązani sznurami, z zakneblowanymi ustami leżeli na niegu i patrzyli bezsilni na to, co się działo. Kobiety z dziećmi były uwięzione w mieszkaniu. Jedynie przez okna mogły patrzeć na podwórze, jeleń był jeszcze w stanie patrzeć na tak grabież i zniszczenie.

Nasze podwórze wyglądało jak pobojuwisko. W zdeptanym, zakrwawionym niegu musiałam szukać klucza.

- Szukaj białej karcie, szukaj, bo jak nie znajdziesz to cię zabiją! – odgrażał się w satyrę rudzielec.

Tej czerwonej, przepitej twarzy nie zapomnę nigdy! Drżałam ze strachu i zimna, grzebałam w tym niegu, ale klucza nie znalazłam. Nawet, kiedy drzwi od obory zostały wyważone i ostatnią krowę wyciągnęto, ja dalej musiałam szukać i grzebać rękami w niegu. Okrutny, półprzytomny, mongolowaty rudzielec prawie dotrzymał słowa. Nie zabił mnie, ale jego kopniak był tak potężny, że odleciałam kawałek jak gumowa piłka.

Towarzysze do takich bezsensownych, bestialskich czynów brali ludzi nie za bardzo rozwiniętych umysłowo, ale za to rozwiniętych fizycznie.

Głęboki nieg zamortyzował trochę mój upadek. Nie złamałam ręki, ani nogi, jedynie byłam posiniaczona i dosyć długo nie mogłam usiąść. Jakieś to dziwne, ale nawet poczułam się zadowolona, gdy siepacze nareszcie odjechali cięgnąc za sobą nasze bydło. Już ich nie było, już przestali się znęcać. Duża obora stała pusta. Nawet drzwi nikt nie zamykał – bo i po co? W stajni została jeszcze para koni i zdaje się, że był rebak.

Ojciec był bardzo pobity. Do samej wiosny wylizywał się z ran. Wezwany lekarz nie stwierdził złamań. Kręgosłup był bardzo poturbowany. Na plecach widziałam ogromną sinią plamę, która stopniowo zmieniała kolory. Musiało jednak być coś uszkodzone, bo „krzyż” bolał go do końca życia, a życie nie było słodkie ani łatwe. Boże, jak ja wszystko dokładnie pamiętam...



## 2.2 – Zabili konie

---

ycie nie tylko na wsi stało się koszmarem, ale i w mieście nie było inaczej. Zamożni kupcy, rzemieślnicy, a nawet lekarze zostali pozbawieni własnego mienia i wywiezieni do obozów lub zabici. Sklepy, pracownie i zakłady rzemieślnicze stały się własnością państwa i równocześnie nie przestawały pełnić swoje funkcje. Wszystko nagle zszarzało, zbiedniało, a sklepy pozamykano, bo przecież nie było towaru.

wielką Bożego Narodzenia – dawniej uroczyste i rodzinne – minęły w smutku – były bardzo ubogie. Mroźna zima niosła ze sobą beznadziejność i zdawała się nie mieć końca. Kiedy wreszcie nadeszły wielką Wielkiej Nocy, gdy było trochę cieplej, znowu zapomniałam o wszystkim i próbowałam cieszyć się słońcem i ciepłem.

Śpiewali my „Wesoły nam dzień dzień nastał..”, chociaż wesoły to on wcale nie był, ale przyszła wiosna. Znowu jak zawsze, jak od wieków wieśniacy pracowali w polu, jakby nic się nie wydarzyło. Mały promyczek radości błyszczał jeszcze w ciemnym tunelu rzeczywistości. Gdzieś w końcu lata ten mały promyczek nagle zgasł. Całkowicie nie ogarnęło przerażenie i rozpacz. To już nie było rozkułaczenie kilku gospodarzy, jak to się działo na początku zimy. Tragedia dotknęła prawie wszystkich.

Otóż służba weterynaryjna – państwowa, nie prywatna – otrzymała zadanie zlikwidowania nosaczyny u koni w naszej wsi. Nikt się takiego czegoś nie spodziewał i nie przeczuwał, zwłaszcza, że konie były zdrowe. Chyba nawet diabli nie wymyśliliby czegoś okrutniejszego. Rzekomo zapanowała epidemia nosaczyny. „Spece” w białych kitlach chodzili po wsi i wyprowadzali ze stajni co ładniejsze i młodsze zwierzęta. Konie stare, wypracowane pozostały. Ten straszliwy i makabryczny czyn nie oszczędził żadnego gospodarza, a niwa była tu, tu.

Spontaniczny opór i walka bezbronnej ludności z milicją uzbrojonych pozbawiła się bardzo tragicznie. I znowu chowali my na naszym wiejskim cmentarzu, który błyskawicznie się rozrastał, następne ofiary nierównej walki. Dla zwłok strachu i rozpaczliwi przywiózli bardziej opornych do koni. Galop dla uwięzionej ofiary kończył się śmiercią. Zmasakrowane zwłoki leżały w przydrożnych rowach i nawet ich pochowanie nie było wolno. Martwe ciała ludzkie obdarte ze skóry stały się jedzeniem dla mrówek i much.

Konie również pomordowano w bestialski sposób. Daleko od wioski, w polu, wykopano ogromny doł. I to nie jeden, aby wszystkie konie mogły się zmieścić. Koni było dużo, bo i wieś była duża. Fachowcy znaleźli się na rzeczy zrobili nawet drewniany pomost, po którym wpędzono konie do dołów.

Utrat koni przeżyłam bardzo boleśnie, ponieważ rosłam w ród ludzi, którzy kochali te zwierzęta. Ja również je kochałam, szczególnie kasztan był moim ulubieńcem. Zawsze uważałam, że konie są najbardziej inteligentnymi i pojętymi stworzeniami. Zawsze nosiłam w kieszeni fartuszka kilka kostek cukru. Łakomczuchy wiedziały o tym i upominały się o swój smakołyk. Nie mogłam się pogodzić z tym, że tych stworzeń już nie było. Zdawało mi się, że to jakiś makabryczny sen, że gdy się przebudzę, znowu będzie jak dawniej.

Ale niestety nie był to sen. Wchodziłam do pustej stajni, stawałam przy łobie, w którym leżały jeszcze resztki siana i płakałam, a łzy były gorzkie i piekące. O Boże, jak mi było ciężko, smutno i bardzo źle. Po tylu latach, gdy obecnie o tym piszę nie mogę powstrzymać łez. Okrutne to były czasy.

Od pewnego czasu działo się ze mną coś okropnego. Od kiedy leżałam w cuchnącym kurniku, a później kiedy patrzyłam na zmasakrowaną, okrwawioną twarz ojca, którego uwielbiałam, zapalił się we mnie płomień nienawiści. Nienawidziłam ludzi w mundurach, nienawidziłam miejscowych działaczy partyjnych, których czasami spotykałam na drodze idąc do szkoły. Po ostatniej zbrodni koniobicia do grona znienawidzonych doszli jeszcze ludzie w białych kitlach.

To było straszne. Dziecko potrafiło tak bardzo nienawidzić. Mimo woli ścisnęłam pięścią do bólu, a łzy męki płynęły z oczu i jak wydobywał się z piersi. Na całe długie życie zapamiętałam wszystkie doznane w dzieciństwie krzywdy. Bardzo bolesne i nigdy nie zagojone rany ból do dziś i uwieraj gdzieś głęboko w sercu jak zapiekłe guzy.

Bardzo ciężkie niwa były tego lata, a szczególnie ciężka była zwózka zboża do stodoły. Ojciec z dziadkiem zaprzęgli się do wozu drabiniastego zamiast koni i ciężko urodzaj do domu. My kobiety popychały my z tyłu ten pojazd z ludzkim zaprzęgiem. Nie wiem czy pomagałam, czy przeszkadzałam, ale musiałam tam być. Ciężko trudno ci nie zdołały przeszkodzić w sprężaniu urodzaju. To już leżało w naturze chłopca. Nic się nie zmarnowało! Jesienna orka i zasiewy zbóż ozimych stały się niemożliwe. W każdej wsi ukraińskiej nie traktowano ludzi tak brutalnie jak nas. To nas wcale nie dziwiło – byliśmy przecież Polakami. Łachy, mazury, polskie winie, kułaki to przezwiska, które nam doklejało w każdej sytuacji.

W naszych stronach zimy były zawsze mroźne i śnieżne. W lepszych czasach to ludziom nie przeszkadzało, ale w tamtych – było dodatkowo udręk. Zimna była zima, zimy wschodni i północny wiatr. Zimno promieniowało z Moskwy – z Kremla. Wszystkie nowe zarządzenia, ukazy techniczne mrozem. Dygnitarze na Kremlu mieli serca z lodu. Towarzysz Stalin wyróżnił się w ród swoich pomocników szczególnie okrutnym okrucieństwem. Tak widocznie musiało być.

Tak wiec zaczynała się chłodna i głodna zima. Zboże wprowadziłem w stodołę jeszcze było, ale już do nas nie należało. Mieliśmy przecie masę długów za niewykupione obligacje. Wszystkie młyny i wiatraki – dawniej prywatne, również zarekwirowano, a wiec nie było gdzie zmielić maki. W wielkiej tajemnicy ojciec skonstruował prymitywny młyn – żarna, na których mielili my maki. Ten prowizoryczny młynek schowany był w ciemnym kątku spiżarni. Podczas mielenia maki siadałam przy oknie i pilnowałam, by ktoś niepewny nie zjawił się w pobliżu. Była również stupa – prymitywne urządzenie do robienia kaszy.

Chleb i kaszę wiec robili my sami. Gorzej było z omastą. Nie było mleka, nie było tłuszczu, bo trzodki zabrano – pusta obora, pusta stajnia i puste chlewy. O przepraszam – zostały kury.

---

### 3.1 – Pani nie przyszła na lekcje

---

Rok 1931/32. Znowu wspominam zimę bardzo mroźną i nieurodzajną, a wiec ta Bożego Narodzenia smutna i coraz bardziej uboższa. Oprócz grubej maki mielonej na żarnach i kaszy nie mieliśmy nic. Przymusowy post przez całą zimę nie był najlepszy dla zdrowia. Z nastaniem wiosny byłam biała i skłonna do omdleń. Ale nikt się tym nie przejmował.

Jednak na przekór wszelkiemu złu chłop znowu pojawił się w polu. Jeszcze nie został ostatecznie złamany, jeszcze podniósł się z klęczek i ponieniał. Uprawialiśmy swoją ziemię, bo kochaliśmy ją bardzo. Bez niej nie wyobrażaliśmy sobie życia. Cała wieś sobie pomagała. Nasza praca obficie zroszona potem, była zawsze ciężka. Teraz ten ciężar był podwojony. Na wsi pozostały jedynie stare szkapy. Na polach pojawiły się wychudzone krowy, orzechy czarna ziemia. Ciepła, deszczowa wiosna sprzyjała biednym ludziom. I znowu jak za dobrych czasów pola pokryły się zielenią. Odłogów było mało. Zapowiadał się umiarkowany urodzaj. W naszym domu było bardzo smutno. Ojciec, mama oraz dziadkowie (rodzice mamy) byli tak zmęczeni ciężką pracą, że zwalali się z nóg. Moja pomoc była niewielka. Miałam wyrzuty sumienia, że nie mam tyle siły by być pomocną, by im dorównać. Wolnego czasu nie marnowałam jednak na zabawy. W tamtych czasach dzieci nie umiały się bawić, nie umiały się zmiać. Czasy przypominają mi bajkowy koszmar nie sprzyjający beztroskiej zabawie, baraszkowaniu. Po drugich dziadkach (rodzicach ojca) został drogocenny spadek – dużo polskich księzek. Były tam również księgi rosyjskie (poezja Puszkina, Lermontowa i innych oraz powieści Gogola, Turgeniewa, Tołstoja, Leskova). Wszystkie te skarby trzeba było ukryć w bezpiecznym miejscu. Dorobli nie mieli na to czasu, ani siły. Ja i mój stryjeczny brat Stanisław zobowiązaliśmy się do schowania tych zbiorów. Miejsce w samym szczyście strychu, gdzie wiatło z okna już nie sięgało, wydało nam się doskonałym schowkiem. Przykryli my je starymi meblami,

powypychanymi fotelami oraz różnymi niepotrzebnymi rupieciami. Wtedy to zaczęło się nasze dokształcanie, czyli czytanie polskiej literatury. Każdą wolną chwilę wykorzystywaliśmy na czytanie. Najmilszą mi była Maria Konopnicka, nowele Bolesława Prusa i Henryka Sienkiewicza. W zimie czytałam w domu przy świetle kopczej naftowej lampy. Ani zaczerwienione ławice oczy, ani zakopconą twarz nie powstrzymały mnie przed czytaniem. Chłoniłam słowo polskie całym swoim ciałem, całym sercem i duszą. Im bardziej byliśmy przeładowani za polskość, tym dobitniej podkreślałyśmy swoją narodowość. To samo odczuwały dzieci. Dlatego też i czytanie było takie zachłanne. Liczyło się każde słowo, każde zapamiętanie na całe życie myśli, treści i sens przeczytanej lektury. W późniejszych latach, kiedy zostaliśmy wywiezieni ze stron rodzinnych i już nie mieliśmy prawa rozmawiać po polsku, ja wciąż wspominałam chwile na zacisznym strychu i przy kopcym płomyczku – jako najmilsze. Czytania i pisanie w języku polskim nauczyłam się w czasie „odwilży”, w okresie NEP-u. Wtedy jeszcze mieliśmy polskie szkoły i nauczycieli z prawdziwego zdarzenia. Właśnie z nimi poznawaliśmy polski język, mowy naszych ojców i dziadków – mowy ojczyste. Ale już z początkiem lat trzydziestych polskie szkoły przestały istnieć, utraciły swoje funkcje i przeznaczenie. Stały się ogłupiającymi stalinowskimi zbiorowiskami małych obywateli, z których mieli wyrastać ludzie bez woli, ludzie bez sumienia i bójki. Nie miały one istoty po ideologicznym „praniu mózgu”, zdolne tylko do ciężkiej pracy. Zatrudniały one licznych agitatorów, pseudopedagogów; prawdziwi nauczyciele nie mieli w nich prawa bytu. W końcu z nich została wymordowana, państwa Majewskich również spotkał ten los. Mój Boże... ileż to narodu tak wyginęło, ile zwłok pospiesznie chowanych kryje ziemia na Podolu. Pani Majewska, moja nauczycielka była piękna kobietą. Miała w sobie wiele ciepła i uroku, którymi jednała sobie dorosłych i dzieci. Praca z dziećmi i młodzieżą była jej prawdziwą miłością. Oprócz nauczania z pasją oddawała się prowadzeniu chóru i kółka tanecznego. Uczyła i piewała polskie piosenki. Wieczorami w świetlicy szkolnej zbierała się wiejska młodzież. Piewano, tańczono, recytowano wiersze i wszystko po polsku.

Pan Majewski – dyrektor szkoły, oprócz nauczania zajmował się sprawami wsi, sprawami rolniczymi, dokształcaniem chłopów. Uczył nowoczesnego gospodarstwa, hodowli bydła i trzody. Ale to minęło bezpowrotnie. Pozostało tylko wspomnienie.

Tej samej nocy, kiedy w naszym domu była pierwsza rewizja zginęli zamknięci na śmierć. W poniedziałek po pamiętnej niedzieli, gdy przyszedłam do szkoły, naszej pani nie było, nie zjawiała się w klasie. Z początku czekaliśmy na nią. Kiedy czekanie coraz bardziej się wydłużało, dzieci straciły cierpliwość, zaczęły wychodzić z klasy i szukać opiekunki. Podśluchiwałyśmy, co się dzieje w innych klasach, w innych pomieszczeniach. W pokoju nauczycielskim nie było nikogo. Meble i książki leżały porozrzucane w nieładzie, a krzesła były połamane i porozrzucane. Po drugiej stronie podwórza-boiska w mieszkaniach nauczycieli panowała

złowroga cisza. Zgromadzili my się przy drzwiach wejściowych, ale żadne nie miało odwagi przekroczyć progu.

Dopiero z ojcem, którego wezwałam weszli my do mieszkania państwa Majewskich. To co zobaczyłam odebrało mi mowę, a serce „podeszło do gardła”. Mieszkanie wyglądało jak pobojowisko. Wszędzie była krew i rozsypane pierze. Na nodze przewróconego stołu zauważyłam strzępy sukni, w której tyle razy widziałam naszą Panią. W kuchni, na drzwiach, na ścianach była zakrzepła krew. Zwłok w mieszkaniu nie było. Dużo krwi na podłodze i lady przy drzwiach wskazywały, że ciała z mieszkania zostały usunięte.

Słodko-śladki zapach krwi paraliżował oddech i zmysły. Byłam bliska omdlenia. W naszej szkole było wielu nauczycieli, ale oprócz państwa Majewskich nie pamiętam nikogo więcej. Nie wiadomo dlaczego?  
- Z nauczycieli pewnie nikt nie ocalał – powiedział ojciec – za dużo jest krwi.

Po drugiej stronie ulicy w „kułackim” domu, którego właściciele zginęli, mieścił się „sielsowiet”, czyli cała władza. Tam zakomunikowano nam, że nauczyciele pochodzili ze Lwowa, z faszystowskiej Polski, że byli oni szpiegami, wrogami władzy radzieckiej. Dlatego właścicielka nie spotkała ich za swoją karę. Na pytania gdzie znajdują się ciała odpowiedzi nie było.

Taki był koniec. Nie było już nauczycieli polskich i szkoła już nie była polska. Dopiero na wiosnę pojawili się nowi nauczyciele. Rozpoczęła się nauka w języku rosyjskim i ukraińskim jako dodatkowym. Niewiele nas nauczono, ale regularnie przepychano do następnych klas. Nikogo nie obchodził los polskich dzieci. Najlepiej by było gdybyśmy pomierali. Hitler inaczej postąpił. On przynajmniej nie udawał dobroczyńcy i nie maskował się. Truł i palił w krematoriach. My umieraliśmy sami, nie sprawialiśmy kłopotu naszym władzom.

---

## 3.2 – Msza po egzalna

---

Tej samej zimy aresztowano księdza Kwańskiego – duszpasterza z kościoła pod wezwaniem św. Anny w Płoskirowie. Ksiądz był bardzo odważny, bo często modlił się publicznie za spokój państwa Majewskich i innych ofiar. W kazaniach potępiał przemoc i bezprawie.

Bardzo „modne” w tym okresie rewizje odbywały się również w kościele i na plebani. Konfiskowano księgi, rabowano mienie. Ksiądz był bity i poniżany. Bardziej często odprawiał mszę w ciemnościach z posiniaczoną i opuchniętą twarzą, z obandaowanymi rękami, silnie utykając. Wierni

doradzali mu, aby się ratował ucieczką do Polski. Do granicznej rzeki Zbrucz było bardzo blisko, a po drugiej stronie rzeki już inny świat.

Jednak ksiądz o tym nie chciał słuchać. - Dobry pasterz nie zostawi swojej owczarni mówił. Został z nami do końca. Twierdził, że nie boi się niczego. Z podziwem patrzyłam na jego odwagę, na wielkie poświęcenie dla nas, dla idei. On musiał dać przykład oporu, naród bowiem został całkowicie ubezwłasnowolniony. Strach przed cierpieniem, przed śmiercią przeważał nad godnością i rozsądkiem. Taka postawa, takie zachowanie księdza dodawało siły. Do niego zwracali my nasze serca i umysły. Dzięki niemu czułam się bezpieczna. Mimo zakazu władz, mimo czujności tajniaków chodziliśmy na lekcje religii. Cały rok 1931 trwały przygotowania do I Komunii świętej. Narodziła się na niebezpieczeństwo ukradkiem przystąpiłiśmy do pierwszej spowiedzi i przyjęli my Najświętszy sakrament. Wszystko odbywało się potajemnie, późnym wieczorem. Kiedyś na noc został zamknięty, ale w zakrystii przy nikłym promyśle wieczki odbywała się nasza uroczystość, nasze pierwsze w życiu przyjęcie sakramentu I Komunii świętej. Dziewczynki nie miały na sobie białych szat, ani wianków na głowach, chłopcy również ubrani byli w codzienne ubranka. Wszystkie ubiory były ciemne i ponure jak jesienny późny wieczór. Nawet niebo nam sprzyjało. Nie było na nim ani księżyca, ani gwiazd. Jak ciemne, a jednocześnie nie wzniosłe uczucie przepętniało moje serce. Odczuwałam również radość, że wszystko udało się, że tajniacy nie zdołali nas zaatakować. Z pewnością ci siedzieli gdzieś w zacisznym miejscu i raczyli się gorzałką. Oni zawsze byli pijani. To im dodawało odwagi. Kiedy da rewizja, kiedy da grabież, zabójstwo nie odbyłoby się tak bezwzględnie, bezczelnie, z takim chamskim tupetem, gdyby nieruską wódką. Tej samej ciemnej, zapłakanej jesieni stało się to, czego najbardziej się obawialiśmy. Ksiądz Kwańkowski został uwięziony. Czuliśmy się tak jakby zabrano nam serce i duszę. Nie pomagały żadne prośby i pisma z ogromną ilością podpisów. Księdza nie wypuszczono. Udało się tylko uprosić, by odprawił mszę po egnałach. Tego dnia był siarczysty mróz i zamieć śnieżna. Ludność miasta i wsi potokiem płynęła do kościoła. Jeszcze na dworze była noc, gdy i nasza rodzina tam przyszła. W tym czasie ogrzewaliśmy się własnymi oddechami, toteż mrozu nie odczuwaliśmy. Czekaliśmy na rozpoczęcie nabożeństwa modląc się i śpiewając. Wokół kościoła i na placu rynkowym zebrały się ogromne rzesze wiernych. Kiedyś nie mógł wszystkich zmieścić. W oczekiwaniu trwaliśmy, a słońce na niebie uniosło się wysoko, była to z pewnością pora obiadowa. Słońce cudownie oświetlało wnętrza świątyni i rozmodlonych ludzi. Obrazy na ścianach: Pan Jezus ukrzyżowany, Matka Boża, św. Anna – patronka kościoła mieniły się w promieniach zimowego słońca złocistym blaskiem. Nagle ustał śpiew, a rozległ się głuchy szept. Ze wszystkich prawie ust jednocześnie nie wyrwało się: ksiądz. A on blady, wychudzony, z zapadniętymi policzkami i zawiązanym okiem, chwiejąc się przechodził przez kościół. Po chwili rozpoczęła się msza święta. Najmniejszy ruch księdza powodował ostre niesamowite brzęczenie kajdan, którymi był skuty. Szaty liturgiczne jako dziwnie i ciężko nie były wisiły na wychudzonej postaci. To, co wówczas

prze yłam nie potrafi opisać. Nawet płakać nie mogłam. Usta miałam wyschnięte, język zeszywniał tak, że nie mogłam z siebie wydusić słowa. Po twarzach obecnych płynęły łzy. Pomimo wszystko kościół grzmiał piewem i modlitwami.

Ja oniemiała i skruszona zastanawiałam się czy Bóg to widzi, czy słyszy? Czy wołanie nasze do niego dotrze? Msza wiła ta bardzo szybko dobiegła kościół. Nie było kazania, na które tak bardzo wszyscy czekali, nie otrzymaliśmy komunii świętej. Umundurowani despoty, którzy stali po obu stronach ołtarza, natychmiast włożyli kapłanowi kajdany na ręce i szybko zacięgnięli do zakrystii. To wszystko odbywało się błyskawicznie i w popłochu. Towarzysze bali się nas i mieli rację.

W kościele powstało zamieszanie. Wzburzona ludność usiłowała uwolnić księdza, odebrała go oprawcom, ale natychmiast odezwali się szpicle i agenci znajdujący się wśród nas w kościele. Rozpoczęła się walka. Poszły w ruch kolby rewolwerów, „dubinki” i baty. Wokół kościoła, na rynku rozgorzała nierówna walka na śmierć i życie. Łódzki konno wjechały w kościół, rozmodlony tłum. Tratowali bezbronnym. Zamiast piewów odezwał się pisk kobiet, dzieci i trzask karabinów. W tym czasie księdza wciągnięto do samochodu i wywieziono.

Ta smutna i tragiczna uroczystość była ostatnim spotkaniem z księdzem. Wiosną 1932 roku rozniosła się pogłoska, że Polska wykupiła go od ZSRR za grube pieniądze. My i ja, że niewielu w to wierzyło. Jakiś czas potem kościół ogłoszono ze wszystkich obrazów i wystroju. Następnie, by nie dopuścić do gromadzenia się wiernych cały przykościelny plac otoczono drutem kolczastym. Byli my sami, bezbronni, a świat o nas nic nie wiedział.

A pewnej nocy rozległ się okropny huk wybuchu. To władze wysadziły w powietrze kościół. Pozostał po nim gwałtowny lej i gruzy, sterczące jak uniesione ręce wołające o pomstę do nieba. Pomimo, że nie było kapłana i nie było wiary, my nadal zbieraliśmy się, kiedyś wokół gruzów i modliliśmy się. W miejscu, gdzie znajdował się ołtarz nieznanymi ręce stawiały duży drewniany krzyż. Stał tylko jeden dzieło. Na następny ktoś stawiał nowy.

Pokonali nas, ale kłopotu również mieli sporo. Walka z nami trwała dosyć długo.

---

### 3.3 – Rabunek do ostatniego ziarnka

---

Władze nie pozwalały również gromadzić się na naszym cmentarzu, w małym kościółku. Drzwi zostały zabite ogromnymi gwoździami, a drut

kolczasty na zewnątrz pełnił odstraszać cokolwiek. Taki sam los spotkał prawosławne cerkwie oraz żydowskie synagogi. W naszej miejscowości ci towarzysze byli bardzo gorliwi. W całej Rosji dużo kościołów ocalało, i chociaż nie pełniły one roli, w tym czasie to jednak istniały do dnia dzisiejszego. My nie mieliśmy tego szczęścia. Myślę, że gdyby nie istniało tylu nadgorliwców to ludzi zginęłoby o wiele milionów mniej. Bardzo cię kłótki to były czasy.

Wydaje mi się, że po prostu cudem ocalałam, że cudem żyję. Gorzej by przecie nie mogło. Zamykam oczy i myślę, szukam we wspomnieniach lepszych, spokojniejszych chwil, ale nie znajduję. Nic dziwnego, że ludzie popełniali samobójstwa i tracili zmysły. I chociaż granica na Zbruczu była bardzo blisko to ucieczki udawały się niewielu ludziom. Pojmani przez wojsko uciekinier umierał w strasznych męczarniach. Niektórych przybijano do krzyża jak Jezusa, albo do podłogi i zostawiano na tak długo, aż nie szczużył wyzionął ducha. Dlatego rzadko uciekali my. Strach przed cierpieniem był silniejszy od pragnienia wolności. To była jesień, może listopad, a może początek grudnia 1932 roku. Noce były mroźne, ziemia zamrznięta, ale niegu jeszcze nie napadało. Północny wiatr gonił zeschłymi liśćmi, a granatowe chmury na niebie wisiały nad nami bardzo nisko. Zapadła bardzo głęboka noc. Tylko wiatr huczał w kominie. Cała wieś pogrochona we śnie, ale to nieprawda, to tylko złudzenie. Co się dzieje, bo psy szczekają zjadają. Już od rana zjeżdżało się mnóstwo furmanek z sąsiednich wsi. Stały w bojowym szyku obok sielsowietu. W milczeniu i cichość czeka na nowy cios. Kto go otrzyma? Rodzice i dziadek chcą uciekać, ale dokąd? Przecie wszędzie jest tak samo. Później okazało się, że nasz dom otoczony był ze wszystkich stron i ucieczka nie udałaby się. Na podwórzu wjechały wozy. Poza wieciano naftowe lampy. Zrobiło się jasno jak w biały dzień. Towarzysze rozmawiają po ukraińsku, to znaczy, że nie są z naszej wsi. Jedynie Pytlak, bliski sąsiad i jego kompan od kieliszka są tutejsi. Obaj rzadko tu i dokazują. Wszyscy są pijani. Rodziców i dziadków natychmiast zakuto w kajdany i wyprowadzono tak szybko, że nie zdążyli my się poegnać. Zostałam sama w ród pijanej, niebezpiecznej tłuszczy. Byłam więc mimowolnym świadkiem rabunku na ogromną skalę, całkowitego zniszczenia i ostatecznej ruiny naszego domu. Ta grabież nazywała się rozkułaczaniem, akcją pod „mietlikiem”, czyli rabunek do ostatniego ziarenka. Długa, ciemna, późnojesienna noc i chłód złagodziły strach. Pozostała tylko piekna nienawiść i ogromna pogarda dla tych ludzi. Pijani towarzysze nie zwracali na mnie uwagi, nie byłam bita. Obserwowałam co się dzieje i zapamiętałam to na całe życie. Byłam wówczas prawie dorosła, zresztą moje pokolenie na Ukrainie nie miało dzieciństwa. Kiedy towarzysze obładowani ubiorami wynosili je z domu na wóz, ja „kradłam” z kufrów co popadło i chowałam gdzie się dało – pod łóżko, za szafę, a nawet do pieca. Patrzyłam z nienawiścią i obrzydzeniem jak oni wrywali sobie z ręk ubrania i inne rzeczy, które im się bardziej podobały. Szczególnie zawzięcie walczyli o moje ubiory. Pewnie w domu również mieli dzieci i chcieli je w te rzeczy ubrać. Napracowali się w cięgu długiej nocy. Zmęczeni, szczęśliwi i zadowoleni z dobrze wykonanego



zadania szykowali się do odejścia. Dom został ogołoceny ze wszystkiego. W pokojach było pusto i „głoło”, bo echo odzywało się z każdej strony. Wszystko zostało zabrane – nawet meble. Nad ranem, gdy furmanki długo nie wracały po następnym dobytek towarzysze niecierpliwili się i niszczyli wszystko pozostałe. Na środku kuchni leżały stosy naczyń: szklanek, filiżanek, dzbanków i talerzy. Taborety, krzesła, półki i kredensy rozbijano siekierami. Nawet kwiaty doniczkowe poniszczono, połamano i wyrzucono. Wszędzie, w każdym pokoju leżały połamane krzesła, podarta podłoga, a w oknach wisiały strzępy firan.

Wszystkie wozy odjechały. Teraz towarzysze ochoczo zabrali się do wiśniowej nalewki, którą znaleźli w kredensie. Gdy wypili całą zawartość butli to już z trudem utrzymywali się na nogach. W ten sposób uczcili koniec ciężkiej pracy. Pomimo, że byli pijani, pilnowali mnie bym nie uciekła. Naradzali się co ze mną zrobić. Mogli mnie nawet zabić, ale uniknąć śmierci. Znowu miałam szczęście? Nie wiem.

- Zamknijmy się w komórce – powiedział jeden z nich – niech siedzi i czeka wiosny.

Tak też się stało. Abyłam od razu nie umarła z głodu, nasypali mi do koryta siemienia konopnego. Z komórki już wydostać się nie mogłam. Drzwi zamknęli i zabili gwoździami, a okna nie było. Strasznie ciemno, zimno i pusto było w tej komórce. Nie odczuwałam zmęczenia, chociaż nie spałam całą noc.

Zępiwym i pijanym bełkotem aktywnie opuścili nasz dom. Zapanowała złowroga cisza. Zaczęłam bać się tej ciszy i ciemności. W ten sposób nie mogłam powstrzymać płaczu. Właściwie to ja nie płakałam, oczy same zachodziły mgłą, bardzo ciemną mgłą. Czułam niesamowicie zimno, bo towarzysze na odchodnym zdjęli ze mnie sweter i rozzuli. Byłam tylko w bieli nóg i boso, a lodowata podłoga piekła mnie zimnym ogniem.

Po pewnym czasie poczułam głód i bolesny ucisk w dołku. Z zimna, głodu drżałam jak liść. Też ja musiałam tego wszystkiego do wiadomości zapamiętać.

---

### 3.4 – Kot przy zamkniętej komórce

---

Nie wiem czy myślałam, czy nawet myśleć nie mogłam, ale coraz bardziej stygłam. Od rodziców i dziadków nie spodziewałam się ratunku. Byłam pewna, że już nie żyję. W końcu przypomniałam sobie, że gdzieś w kącie leży siemię. Usiadłam na nim, bo wydawało mi się, że jest cieplejsze.

Gryzłam je wyciskając sok. Uczucie głodu zniknęło, ale poczułam pragnienie. Bardzo chciało mi się pić, ale wody nie było.

Nagle z pokoju obok usłyszałam miauczenie kota. Podczas grabieży wystraszone kocisko uciekło z domu. Prawdopodobnie głód zmusił je do powrotu. Domyliłam się, że pewnie przez szczelinę niedomkniętych drzwi Szaru dostał się do pokoju. W dwójkę byłoby nam raźniej, ale cóż! – ja byłam dla niego nieosiągalna, drzwi były zabite gwoździami. Moje wołanie jeszcze bardziej spotęgowało beznadziejną sytuację. Kot miauczał, drapał pazurkami drzwi, a ja nie mogłam nic zrobić! Później znowu zapanowała cisza. Szaru miał właściwie szansę na ucieczkę. Gdyby Burek do mnie przyszedł, może pomógłby, albo kogoś przyprowadził. Piesek jednak milczał. Zostałam sama. Czułam dreszcze przebiegające po całym ciele – jeszcze żyłam. Kiedy przestałam cokolwiek odczuwać zapadłam w sen, a może straciłam przytomność? Chyba nie. Żyłam, miałam ciętę głowę. Wydawało mi się, że gdzieś płynę, że uciekam, że ktoś bardzo zły goni mnie i lada moment schwyta. Ja nie mogłam uciekać, nie mogłam... Duszę sobie... I koniec, i nic tylko nicość i cisza. Błogi spokój. Tak mogłoby zostać. Może byłoby lepiej, bo wszystkie lęki i cierpienia zniknęłyby, ale stało się inaczej. Kiedy obudziłam się, zobaczyłam pochylonych nad sobą rodziców i babci. Jakoś dziwnie byli mi obojętni. Nie cieszyłam się, jakbym wszystko zapomniała. Dopiero po dłuższej chwili zaczęłam odzyskiwać pamięć. Obojętnie patrzyłam na ich radość. Cieszyli się, że wróciłam mi przytomność, że znowu jestem z nimi. Był nawet lekarz, ale ja go nie pamiętam. Później znowu straciłam przytomność. Znowu nawiedzały mnie koszmarne majaki i zwidy. Dopiero po kilku dniach całkowicie odzyskałam przytomność i... pamięć. Przypominałam sobie czarną noc i siebie wśród pijanych łotrów. Leżałam w ciepłej pościeli, przykryta pierzyną. Przecież dobrze pamiętam, że wszystkie pierzyny i poduszki zabrano i wywieziono. Stał się jednak cud. Jedna pierzyna ocalała. Po prostu spadła z wozu i zawisała na bramie, a towarzysze po niej nie wrócili. Byli zbyt zmęczeni i pijani. To, co przeżyłam w tej mroźnej noc, musiało się odbić na moim zdrowiu. Byłam poważnie chora. Lekarz stwierdził zapalenie dróg oddechowych i moczowych. Dziadek również był ciężko chory, leżał w drugim pokoju. Było z nim bardzo źle. Pobity do utraty przytomności, opuchnięty, cichutko jęczał. Bardzo mi go było żal. Cierpiał nie tylko z powodu odniesionych ran. Nie mógł znieść tego, że cały majątek, praca wielu lat, zostały w tak bestialski sposób zniszczone. Chorowali my wszyscy. Ja wyzdrowiałam, ale dziadek nigdy nie wrócił do zdrowia. W ciągu tej zimy wieś została całkowicie zniszczona. Już nie tylko „kułacy” byli wywłaszczani, ale i reszta gospodarzy. To była tak zwana przymusowa kolektywizacja. Dla nikogo nie było ulgi. Zboże, zwierzęta, narzędzia rolnicze wędrowały do kołchozu, który nie posiadał żadnych obór dla bydła, trzody, ani stajni dla koni. Naprawdę sklecono drewnianą prowizoryczną zagrodę pod gołym niebem i umieszczono tam zwierzęta, a na dworze panował ostry mróz. Był to bowiem sam rodek zimy. Zwierzęta zamarały w błocie i odchodach. Siano, a nawet słoma zostały również zgnojone. Ludzie o normalnych zmysłach nie byli w stanie patrzeć na takie

zniszczenie. Wieś znowu się zbuntowała. Nasza siostrzyczka, pani Misztal, była organizatorką tego zrywu. Ona już nie liczyła się z niczym, nie miała wyboru. Walczyła jak ranne zwierzę – młodzi kochoć chorzy na gruźlicę, drobne dzieci bez chleba, bez kropli mleka. Łudziła się biedna, że uda jej się odebrać majątek. Z grabiami, widłami, kosami szli ludzie do zagrody, zabierali stworzenia. Towarzysze jak szczury pochowali się w kryjówkach i czekali na pomoc milicji.

Na drugi dzień oddziały wojska i milicji zjechały do wsi. I znowu był pogrom, porażka. I znowu lała się krew. Który to już raz? Wszystkie zwierzęta wróciły do zagrody. Czyje nieznanne, lito ciwieraćce odwiły żywały je i wypędzały w pole, ale i w polu nie było dla nich pożywienia. Pola, łąki i lasy leżały przykryte grubą warstwą śniegu. Ginęły więc na tym śniegu. Tylko ptactwo z głośniejącym krakaniem unosiło się w powietrzu, czując wiejący wiatr. To czarne wrony. Te miały ucztować!

Za karę, czyli za to, że ludzie upomnieli się o swoje, cała wieś została rozkułaczona „pod mietliki”. Wszyscy, bez wyjątków, nawet ci, którzy wcześniej rozkułaczali innych, byli objęci tą akcją. Zboże zwożono na stację, na dworzec kolejowy i zsypywano w piramidalne kopce. Wagonów oczywiście nie było, a jeżeli nawet stały jakieś puste to były przeznaczone na inne, ważniejsze cele. Tak więc zboże, ziemniaki, różne warzywa leżały sobie na mrozie. Śnieg te dobra obficie przysypał.

Na wiosnę przygrzało słońce, padał deszcz i białe piramidy pięknie się zazieleniły, a w końcu wszystko zgniło. Praca ludzka, chleb powszedni zmarnowano.

Wieś zacichła, zamilkła. Nawet psy przestały szczekać. A może ich już nie było? Nasz piesek zginął przecie, dlaczego i inne psy miały ocaleć? Nie pamiętam tam gdzie się podział nasz kot, nasz Szaruś. To dziwne? Wszystko tak dobrze pamiętam, a o kocie zapomniałam? Musiał gdzieś uciec z głodnego domu.

---

## 4.1 – Ojciec ucieka

---

Szybkimi krokami zbliżała się zagłada – rok 1933.

Mniej więcej od roku 1929 uczyłam się życia w nowym ustroju socjalistycznym. Poznawałam życie z najgorszej jego strony. Wiedziałam już, że siła, tupet i odwaga ogrywają najważniejszą rolę. Słabi, zrezygnowani i wrażliwi nie mieli żadnych szans na przetrwanie. Właśnie rok 1933 ostatecznie utwierdził mnie w tym przekonaniu.

Zaczynał nas nęka prawdziwy głód. Dom był całkowicie pusty. Nie było w nim ani ziarenka zboża, ani odrobiny tłuszczu. Długa i bardzo ostra zima

dopełniła reszty. W kciuku spiarni stały łańcuchy – teraz całkowicie bezużyteczne. Towarzysze nie zabrali ich.

Ojciec na razie nie poddawał się, jeszcze walczył. To był bardzo dobry i szlachetny człowiek. Bardzo kochałam ojca. Ubóstwiałam wręcz tego człowieka. On był dla mnie wszystkim. I nie tylko dla mnie. Wszyscy – cała rodzina wierzyła w niego i kochała go, a on starał się nie zawieść naszego zaufania. Ojciec miał zawód, dzięki któremu udawało się przeżyć – był szewcem. Lubił swój zawód. Obuwie zrobione jego rękami było ładne i wygodne. W dawnych, dobrych czasach buciki, które wyszły z pod jego rękami były piękne, miłe, lekkie – były dziełami sztuki. Ale wtedy obuwia nowego nikt nie szył i nie kupował. Sklepy z obuwiami i ze skórami już dawno nie istniały. Wobec tego ojciec reperował i przerabiał stare obuwie. Z dwóch lub trzech zniszczonych potrafił stworzyć jedną „nową” parę butów. Ludzie cieszyli się i płacili czym mogli. Często robił za „Bóg zapłać”, bo przecież nie wszyscy mieli czym płacić.

Ale trudno uwierzyć, że wbrew wszystkim przeciwnościom i ludzkiemu barbarzyństwu nasza rodzina przez początkowy okres nie głodowała. Ja po ostatnim „nalocie” szybko odzyskałam siły i byłam zdrowa. Ale to nie mogło tak trwać. My nie byliśmy my przeznaczeni do normalnego życia. Miejscowe władze nie mogły na to pozwolić. Byli my przecież Polakami, ludzkiej gorszej kategorii. Bardzo szybko więc nastąpił kolejny cios.

Chociaż poczynania władzy były tajne, a tajemnice pilnie strzeżone, to jednak zdarzały się przecieki. Właśnie kto – jakiś dobry człowiek, pomimo, że był komunistą, przyniósł wiadomość, że ojciec wkrótce będzie uwięziony. To już trzeci z rodzin. Co robić? Zapadła decyzja! – trzeba uciekać! Możliwe się udało!

- Dobrowolnie jak zwierzę nie pójdę na stracenie, nie poddam się – powiedział ojciec – będzie uciekał.

Ta złowieszcza wiadomość zelektryzowała całą rodzinę. Zaczęło się nocne czuwanie, ponieważ aresztowania zawsze odbywały się w nocy. Ojciec sypiał jak zaszczytne zwierzę. W każdej chwili był przygotowany do ucieczki. Spał siedząc. Dzień i noc miał na nogach obuwie, a wierzchnie okrycie leżało pod ręką. Czuwanie trwało dosyć długo – nic się nie działo, było spokojnie. Powstała niska nadzieja, że był to fałszywy alarm.

Nadzieja jest jednak tylko nadzieją – i szybko pryska. Pewnej bezkieszcycowej nocy rozległo się głośne łomotanie do drzwi. Ogromny strach i rozpacz sparaliżowały wszystkich. Gdy dobijanie się do drzwi stawało się coraz bardziej natarczywe, zrozumieliśmy, że ratunku już nie ma. Matka wystraszona i półżywa ze strachu szła do drzwi, a ojciec wstał za nią. W duchu winił siebie, że dał się zaskoczyć.

Opowiadał nam po kilku latach, że wtedy postanowił nie czynić oporu i poddać się. Gdyby tak postąpił to pewnie niechybnie by zginął.

W ostatnim ułamku sekundy jednak uskoczył w bok. Drzwi otworzyły się na całą szerokość i zasłoniły go. Oprawcy szybko wbiegli do mieszkania nie sprawdzając luki za drzwiami. Ojciec wykorzystując ten moment nieuwagi zniknął w ciemnej smudze nocy. Pochmurne, bezksiężycowe niebo ułatwiło jego ucieczkę. Milicjanci szukali w każdym pokoju, w każdym kącie mieszkania, na podwórzu, a on był już daleko poza zasięgiem ich wzroku.

Czy ucieczka udała się? Nie wiedzieliśmy. Nie zmieniało to faktu, że zostaliśmy sami... Matko Boże a co z nami będzie?! Jak sobie poradzimy?!

Nadeszła wiosna. Jaką była inna od poprzednich. Nikt nie wyjeżdżał w pole, nikt nie cieszył się słonecznym i kwitnącymi sadami. Zostaliśmy złamani. Już nigdy nie mieliśmy się podnieść z tego pogromu.

Zaczęliśmy straszliwy głód...

---

## 4.2 – Rok 1933

---

Nasz dom był pusty, głodny i niegościnnie. Dziadek opuchł – był umierający.

- Chciałbym przed śmiercią pokosztować barszczu, albo kawałek chleba – prosił.

Chodziłam po ławkach i szukałam pokrzywy lub lebiody na zupę dla konającego dziadka. Ale nawet chwastów nie starczało dla wszystkich głodujących. Tylko soli czarnej, bydliwej, było w domu pod dostatkiem. Dziadkowi nie wolno było nawet soli, ponieważ nerki miał odbite. Moje dlatego był opuchnięty?

Dorośli zapominali o nas dzieciach. Najpierw umierały niemowlęta i najmniejsze dzieci, a później reszta ludzi. Dzieci w moim wieku jeszcze żyły i usiłowały się ratować. Całe gromady chodzili my do lasu. Szukali my korzonków. Znikałam z domu na cały dzień i dopiero o zmierzchu, zmęczona, brudna i wciąż bardzo głodna wracałam. Nikt nie pytał gdzie byłam i co robiłam.

Pewnego razu odłączyłam się od grupy. Po prostu zabrakło mi sił. Znalazłam się na „cholernym” cmentarzu. Tu jeszcze nie byłam. Miejsce to było bowiem odwiedzane tylko po to, aby się pomodlić. Wielki kamienny krzyż górował nad polami. To było miejsce przeklęte, osnute wieloma opowieściami, legendami i odstraszało dorosłych i dzieci. Tu podobno

dusze zmarłych na straszliwych chorobach – cholera – wci jeszcze był jak się w ród grobów i pół straszliwych nocnych porównanych podróży.

Ja również się bałam. Najpierw modliłam się klęcząc na zimnej i wilgotnej ziemi. Dopiero później weszłam za bramę cmentarną. Rósł tutaj piękny młody szczaw, ciśniecie oczy soczyste zieleni. Między zeschniętymi zeszłorocznymi liśćmi i łodygami wyrastała młoda, pokryta srebrzystym puchem parzydeł, bujna pokrzywa. Cieszyłam się tak obficie ci „warzyw”. Babcia ugotuje ci o szczawiowej zupy, może i dziadek trochę zje.

Nie przyznałam się, gdzie nazbierałam tyle zieleniny. Nawet nikt o to nie pytał. Zupa pachniała wiosną, ale smak miała nieszczerólny. Nie było w niej bowiem ani łyki mietany, ani jajka. Rzadka lura koloru brunatnego była cierpka, ale jedli ją chwaląc za zapach i smak, bo innej smaczniejszej nie było z czego ugotować.

Z nastaniem cieplejszych dni i zbliżającego się lata zabrakło nawet chwastów. Nawet na cmentarzu ludzie wyrwali wszystko do gołych korzeni. W lesie zaczynała kwitnąć biała akacja. To dopiero była uczta. Jedli ją ten kwiat całymi garściami. Słodkie i pachnące grona kwiatów minimalnie zagłuszały uczucie głodu. A ja ci głębia byłam głodna. Opychanie się chwastami i kwiatami drzew wywoływało różne choroby, a szczególnie krwawą dyzenterię. Umierali w okropnych męczarniach.

Muchy wielkie, czarne i zielonkawe błyszczące były wszędzie i roznosiły różne choroby. Całe roje niczym pszczoły przenosiły się z jednych zwłok na drugie. Najpierw było, które padło zimą porównano było siedliskiem tych wielkich tłustych much, później – ludzkie zwłoki. Okropny i nie do zniesienia odór unosił się wszędzie.

Taka była wiosna 1933 roku.

Nieobsiane pola leżały odłogiem i zarastały chwastami. Zbóż ozimych również prawie nie było. Konie, krowy i trzoda wydeptały, wyrwały je, szukając pokarmu pod niegiem. Nowo powstałe kołchozy tylko częściowo obsiały pola ziołami leczniczymi. Zboża na siew przecie nie było. Zamiast żyta, pszenicy, buraków cukrowych rosła szalwia, mięta, rumianek.

Głodująca ludność była bezpłatną siłą roboczą na tych rumiankowo-miętowych plantacjach. Ja również tam pracowałam razem z dorosłymi. Za całodzienną pracę od witu do nocy dostawało się mały skibek czarnego jak ziemia chleba i miarkę płynu zwanego barszczem. Po takim posiłku nie odczuwałam sytości, ale jeszcze głębia. Pół kromki zostawiałam dla dziadka i babci bo oni nie mogli iść do pracy. Dziadek był coraz bardziej chory, a babcia musiała się nim opiekować. Starła się co gotować, co wymyślała, bo inaczej nie wyżyłaby. Tarkowała gołe kolby kukurydzy i piekła z tej „maki” placki.

Dziadek kategorycznie odmawiał jedzenia tych „rarytasów”.

- Wol umrze niż je trociny – mówił.

wiat zamienił się dla nas w piekło. W końcu maja zaczęły się upały, szczególnie uciążliwe właśnie tego lata. Czułam, że tracę resztki sił. Tak bardzo wychudłam, że moją na mnie było objąć dziecięcymi dłońmi w pasie i jeszcze był luz. Dziadkowi nagle się polepszyło. Opuchlizna zniknęła. Myślałam, że on nareszcie wyzdrowiał. Jadł nawet placki z plew i brunatny zupę z chwastów, ale był wciąż głodny. Byliśmy bezradni.

W takich ciężkich chwilach zawsze myślałam o ojcu. Gdzie on się znajduje? Czy żyje jeszcze? A może go pojmali i już nie ma w rodzinnych. On na pewno nie pozwoliłby dziadkowi umierać z głodu. Z podziemi wydobłyby kromkę chleba dla cięko chorego, dla umierającego. Mogłam o tym tylko pomarzyć.

Dziadek musiał pić niesłoneczną ciecz zwaną przez babcię zupą, a łzy spływały mu po wychudzonej, bardzo bladej żółtej twarzy. Po paru dniach nie wytrzymał i poszedł do pracy na plantacji ziół. Mama usiłowała przekonać go, że kułaków do pracy nie przyjmują. Ja jedna z całej rodziny miałam przywilej i prawo do pracy, ale już nie mogłam pracować. Z głodu i wycieńczenia słańiałam się na nogach. Oczy zachodziły mgłą, a w uszach słyszałam dzwonki i szum.

Dziadek dotarł jakoś do plantacji, ale chleb mu już nie był potrzebny. Tam na polach w ród ziół i kwiatów rumianku upadł i już się nie podniósł. Dobrzy ludzie powiadomili nas. Dopiero wieczorem przywieźli my go do domu. Już na drugi dzień pochowali my dziadka w trumnie i całkiem poobemu. I chociaż nie było księżycy to jednak pogrzeb był uroczysty. Były nasze modlitwy, nasza rozpacz i żal.

Tydzień później żadnych pogrzebów już nie było. Zakopywano umarłych w masowych grobach bez trumien, bez modlitwy, bez żalu. Zbyt dużo było umarłych. Nie starczało czasu ani sił na litość i żal. Śmierć spowszedniała i przestała wzbudzać głębsze uczucia.

---

### 4.3 – Głód

---

Umieranie z głodu nazywano zdychaniem. Następnie kandydatką do zdychania w naszej rodzinie byłam ja. Czułam śmierć blisko siebie. Już puchłam, a szczególnie twarz i nogi. Przestałam się bronić. Poddałam się. Uratował mnie przypadek.

Jak codziennie, jak zawsze, czułam straszny głód, który skręcał wszystkie wnętrzności. Pomału powlokłam się na łęk z zamiarem szukania korzonków. Zauważyłam, że woda na stawie opadła. Szłam po grząskim

błocie z trudem wyciągałam opuchnięte nogi. Szukałam młodej, słodkiej trzciny. Nagle wielka radość! Widzę ryby leżące w błocie lub pluskające w małych kałużach. Byli już tam ludzie i zbierali je. Ja również nazbierałam pełny fartuszek.

Zmoczyłam się bardzo. Oczy zachodziły mgłą, a w uszach dzwoniło i szumiało, ale wróciłam do domu z rybami. Babcia rozplakała się z radości na widok mojego „połowu”. Natychmiast zabrała się do czyszczenia i gotowania. Smakowało wyśmienicie.

Później dowiedziałam się od dorosłych skąd wzięło się tyle ryb na zalanych łąkach. Po prostu był to okres godów i ryby wypłynęły na ciepłą, płytką wodę, a gdy ona nagle opadła nie zdążyły wrócić do nurtu rzeki. Ryb było mnóstwo. Na połów ruszyła cała wieś, ale wszyscy mieli szczęście. Gdy wszystkie ryby zostały wyzbierane szukaliśmy piskorzów w głębszych rowach i rozpadlinach, gdzie woda jeszcze była. Piskorzów było najwięcej i jedliśmy je najchętniej. To była prawdziwa „manna z nieba”, a moje cud! Gdyby dzidek doczekał tej chwili byłby na pewno.

Ryby były naszym codziennym pożywieniem. Trwało to może tydzień, może trochę dłużej. Do tego, nie poczułam się silniejsza. Usta piły szum w uszach i oczy przestały zachodzić mgłą. Czułam się jednak bardzo dziwnie. Zdawało mi się, że sama stałam się rybą. Wszędzie przeładował mnie nieprzyjemny rybi zapach. Co w tym było, bo mama z babcią pachniały rybami, więc nie był to mój wymysł.

Gdy ryby się skończyły byłam nawet zadowolona. Po paru dniach ponownego głodowania przykry zapach znikł wraz z nikłymi siłami, które dzięki rybom odzyskałam. Chudej i wynędzniałej do pracy nie przyjdzie. Jakie to straszne słowo: GŁÓD!

Po długich poszukiwaniach mama nareszcie znalazła pracę. Została salową w szpitalu Czerwonego Krzyża. Praca była ciężka. Dyrekcja szpitala, w którym leczono elitę partyjną i dygnitarzy, nie rozpieszczała swoich podwładnych. Kobiety nie wytrzymały tam długo – zwalniały się nagminnie. Tylko dzięki temu mama dostała tę „posadę”. Wygłodzona i wychudzona do ostateczności resztkami sił ciągnęła to jarzmo. Uchwyciła się tej pracy jak tonący brzytwy. Gdzie indziej nie przyjmowano kułaków. To była jedyna szansa i nadzieja utrzymania się przy życiu. Tutaj miała całodzienne utrzymanie.

Czasami brała mnie ze sobą do pomocy. Myłam wtedy korytarze i schody wejściowe, zamiatałam podwórce. Za tę pracę dostawałam miseczkę smacznej zupy, a to znaczyło dla mnie bardzo wiele. Babcia w tym czasie miała najgorzej, ale wytrzymała, nie umarła. Miseczka wybranej zupy kosztowała nas wiele upokorzenia. Mama często wycierała łzy, bo kucharki nie szczędziły nam obelg i wyzwisk.



Czułam się niepotrzebna i winna łez mamy. Byłam ci żalem. Chwilami zazdrościłam ojcu i dziadkowi... Przestałam chodzić do szpitala. W domu było coraz gorzej. Nawet plewy i omłócone kolby kukurydzy skończyły się. W stodole była jeszcze słoma i włącznie ze słomy owsianej babcia gotowała „rosół”. Podobno (według zapewne babci) bardzo pożywny, ale niestety po tym rosole uczucie głodu było jeszcze silniejsze.

Mama uparcie trwała na swoim „stanowisku” sprzątaczką. Była to rozpaczliwa chęć przeżyć za wszelką cenę. Kręciła się w tym kierunku niczym zwierzę, któremu zawiązano oczy. W ogóle nie zjawiała się w domu, bo prawdopodobnie nie miała czasu. Spała w jakiejś komóreczce i wciśnięta była. Usługiwała w dzień i w nocy. W dzień sprzątała, prała, zmywała, a w nocy czuwała nad cięko chorymi. Za te harówki miała wyżywienie. O żadnej zapłacie nie było wówczas mowy.

W głodnym, pustym i niegościnnym domu zostałyśmy we dwie. Babcia już była duchowo przygotowana na najgorsze i mnie stopniowo usiłowała przygotować na śmierć.

- Nie bój się śmierci – mówiła z troską w głosie – Wszystko co jest najgorsze, ból, tęsknota, samotność, strach to jeszcze życie. Śmierć niesie ze sobą ukojenie i spokój. To wieczny sen. Po śmierci będzie ci dobrze. Nie będziesz głodna i opuszczona. Wszystko co jest złem przepadnie. Nie bój się jej, ona jest jedynie sprawiedliwa.

Słuchałam ze strachem tych smutnych pouczeń, ale nie potrafiłam uwierzyć, poddać się i biernie czekać na śmierć. Stałam się jeszcze bardziej czujna i ostrożna. Uciekałam z domu. Szukałam ratunku w polu, w lesie. Po kilkudniowej wólczyce zjawiałam się w domu i wtedy nasze powitania były bardzo czułe i radosne. Jeszcze żyjemy. Jeszcze jesteśmy. Trwałyśmy w ucisku, a ciche łkanie nie pozwalało mówić. Nie było wymówek, nie było karaní.

Na kolację piłyśmy zielony zupę z chwastów i kładłyśmy się spać. Po przespanej nocy znowu uciekałam, ale już trochę umyta. Wyglądałam tak, że w lustrze nie poznawałam siebie. Byłam jak bardzo blada i wychudzone stworzenie. Tylko otwarte i wytrzeszczone oczy dominowały na sino-błedej twarzy, a czoło gładkie i nieproporcjonalnie wielkie błyszczało jak trupia czaszka. Babcia patrząc na moją umytą twarz cicho szeptała modlitwę jak nad nieboszczykiem, a łzy słone i gorące płynęły po jej zmarszczkami porażonej twarzy. W takich chwilach nie mogłam płakać, chociaż jestem, a włącznie ciwie byłam beksą. Szybko zamykałam za sobą drzwi i już mnie w domu nie było.

Pewnego razu, będąc na wólczyce w mieście, zobaczyłam, że na targu sprzedaje się suche drzewo, na podpałek. Przecięłyśmy mamy w domu do drzewa – pomyślałam. Dachy na pustych oborach, stajni, chlewni i kurniku – wszystko było drewniane.

Rozbiórki rozpoczęłyśmy od stodoły. Babcią robiła drzewo i wiązała w małe wiązanki, a ja na plecach zносиłam na targ i sprzedawałam. Za utargowane grosiki mogłam już coś kupić – przede wszystkim kawałek chleba. Stawałam w długiej kolejce i czekałam.

Chleb był czarny i bardzo lepki, ale jednak pachniał chlebem. Ten zapach, tak miły i apetyczny dla nas, przyprawiał o zawrót głowy. Kiedy nareszcie miałam go w ręku dzieliłam po połowie i swoją porcję natychmiast zjadałam. W takich chwilach czułam się szczęśliwa, a życie znowu nabierało sensu.

---

#### 4.4 – śmierć (i życie) w mieście

---

W tym czasie prawie codziennie miałyśmy po małym kawałeczku chleba, ale ani ja, ani babcia nie odczuwałyśmy poprawy i nie byłyśmy silniejsze. Nasze organizmy były już tak bardzo wycieńczone, że tak małe kromki były niewystarczające. Było z nami nadal bardzo źle, ale śmierć oddaliła się nieco.

Moje handlowanie było tragiczną szkołą życia. Siedziałam przy swoim towarze na gorącym, wygrzany przez słońce bruku i patrzyłam na życie i na śmierć, które były ci głośnie obok siebie, splatały się ze sobą. Śmierć niestety była silniejsza.

Widziałam tyle śmierci, tyle okropności, że jest aż nie do uwierzenia. Na wsi ludzie umierali w swoim domu, w pościeli lub na podwórzu i nikt ich nie oglądał. W mieście było dużo przyjezdnych, szukających ratunku w obcym mieście. To oni właśnie umierali na jezdniach i chodnikach. Widziałam mnóstwo konających. Widziałam dzieci osierocone, dzieci porzucone przez rodziców – już nie żywe – i nieco starsze, ebrzące, proszące o okruszynę chleba. A dawać nie było komu.

Nikt nie opiekował się nimi. Były samotne i opuszczone. Czy ja czułam się inaczej? Przecież oprócz babci nie miałam wcale ciwie nikogo, a babcia przestawała walczyć, załamywała się. Kiedyś mógł się załamać. Dużo ludzi popełniało samobójstwa. Matka, która traciła dzieci, a matka zabili towarzysze, nie chciała żyć.

Zwłoki ludzkie leżały wszędzie. Jedź duży, drabiniasty wóz, na który ludzie wyglądają jak trupy, wrzucali zmarłych. Na wozie zwłoki zastygłe w różnych pozach wyglądały jak cięte konary, których nie udało się równo ułożyć. Nikogo już nie przerażała śmierć. Wszyscy jakby nagle zastygli w obojętności, pozbawieni ludzkich odruchów i odczuwania. Jedynie głód był wszechobecny i żywy.

Patrz c na mier my lałam o Bogu. Gdzie On teraz jest? Czy to wszystko widzi? A mo e i Bóg umarł z głodu?

Ja równie zoboj tniałam. B d c ci gle w ród umarłych przestałam si ich ba ! Brzydziłam si . Ohydny zapach rozkładaj cych si ciał przyprawiał o mdło ci! Nie my lałam o jutrze. yłam dniem dzisiejszym. Czasami my lałam o własnej mierci. Nie chciałam umiera na ulicy. Gdyby jeszcze pochowano mnie w trumnie, to nawet bym była szcz liwa. Dziadek to miał szcz cie!

Jako nie przypominam sobie czy padały deszcze. Pami tam tylko gor ce, suche powietrze i roje czarnych, spasionych, tłustych much i białe robactwo pełzaj ce po chodnikach. My l , e ludzie umierali nie tylko z głodu, ale równie od chorób. Od upału, a mo e z wycie czenia, moje ciało pokryło si wrzodami. Nawet nie pami tam czy te wrzody mnie bolały. Widziałam wiele zwłok pokrytych wła nie takimi czyrakami.

Byłam wiadoma, e mier chodzi za mn krok w krok, e czeka tylko na odpowiedni chwil . Z yłam si z ni chyba, bo przestałam dr e na my l o mierci. Do wszystkiego mo na si przyzwyczai i zacz my le , e tak powinno by . Czasami buntowałam si ! Ohydne muchy doprowadzały mnie do rozpacz y. Biedni ludzie umierali z krwaw pian na ustach, na brudnym za mieconym chodniku, a muchy bezczelnie, jeszcze za ycia, ywiły si ich n dnymi resztkami ciała.

Takie widoki wzbudzaj ce lito i współczucie, a jednocze nie odraz towarzyszyły mi zawsze. Nie mogłam si od nich uwolni . Nawet we nie widziałam umieraj cych – muchy były wielkie, kosmate i ogromnymi kłami odrywały ciało od ko ci. Budziłam si zlana potem, brakowało mi tchu. Czułam si jak bezpa ski kot, niepotrzebny nikomu, który niedługo padnie z głodu. Załamywałam si stopniowo i w ko cu nie miałam ani sił, ani ochoty by móc chodzi na targ. Babcia była fizycznie silniejsza ode mnie i ona zaj ła si handlowaniem.

Nagle wszystko odmieniło si . Pewnego razu jaki sympatyczny człowiek kupił u niej cały zapas wi zeczek drzewa. Cicho powiedział, e ma do sprzedania bardzo dobre mi so. Stał si cud! Po raz drugi ratunek nadszedł w sam por . Ju w tym samym dniu jadły my mi so i piły my rosół.

Bóg jeden wiedział co to było za mi so. Kolorem troch przypominało wołowin , ale było troch ciemniejsze. Czy to było wa ne? Zupy z mi sem i młodymi warzywami smakowały jak za dobrych czasów. Po mi sie tak samo jak po rybnej diecie troch od yłam. W ogrodzie podrosła marchew, wczesna kapusta, a nawet ogórki. ycie znowu nabierało sensu.

Znowu chodziłam na targ. Na słupie energetycznym w samym centrum miasta wisiał od pewnego czasu wielki, czarny gło nik zamontowany w

czasie mojej nieobecności. Rozlegała się z niego bardzo głośno i wesoła muzyka i śpiew tak, że ludzie z trudem porozumiewali się między sobą. Przeważały to „czastuszki” (przyśpiewki).

Wszystko stało się lepsze, wszystko stało się weselej - rozlegał się potężny głos z tuby. Zatykałam uszy, broniłam się, ale to było niemożliwe. Musieliśmy się przyzwyczaić do hałasu, zobojętnieć na tak jak na głód i śmierć.

W mieście był to najgorszy okres. Śmierć zbierała wielkie niwo, a wozy drabiniaste bez przerwy je działy po mieście i wsi wywoźc zmarłych do dołów. Tam ludzie za kromkę chleba spełniali smutny obrządek. Władza bała się epidemii. Oprócz smrodu rozkładających się ciał w powietrzu unosił się ostry zapach chlorowanego wapna.

Dygnitarze, ludzie partii, nie cierpieli głodu. Oni mieli swój sklep, w którym można było kupić dosłownie wszystko, ale nie za ruble, a za złoto i dolary. Tylko elita miała prawo kupować za ruble, to biedni musieli płacić dolarami lub złotem. Osobiście widziałam jak ludzie dostatnio ubrani, czyści i dobrze odżywieni wynosili ze sklepu duże pakunki w szarym papierze.

Czsto dzieci stawały przy oknie wystawowym i patrzyły na rozmaite pyszności: szynki, kielbasy, słodkości. Głodne, wynudzone, ślaniając się na nogach stałyśmy przy oknie i wzrokiem syciłyśmy głód. Od patrzenia na nieosiągalne jedło robiło się słabo i jeszcze bardziej głodno. Kiedy gromadka dzieci zwiąkszała się, wychodziła pani z miotłą i goniła nas.

- A kysz, a kysz mierzwiuchy i głodomory – krzyczała wymachując miotłą.

Byłyśmy rzeczywiście brudne i mierzwiwe. Nie pamiętam, aby tam kiedyś się kąpała w ciepłej kąpieli całego gorącego lata. Myłam jedynie wychudzoną twarz, a i to nie codziennie. Owrzodzone ciało na pewno wyglądało odrażająco, ale mnie to nie wruszało. Czy komukolwiek na mnie zależało? Już jako dziecko czułam ogromną samotność. Bardzo pragnęłam miłości, matczynej miłości!

---

## 5.1 – Pora niw

---

Nadeszła gorąca pora niw. Dawniej były one w tym. Pomimo ciężkiej i znojącej pracy były radością. W roku 1933 niwa nadeszła niezauważona. Walka o życie i przetrwanie zatarła, zniszczyła wszystko co kiedyś było ważne, co było radością, w tym, tradycją. Nikt w wsi nie myślał nawet o niwach. Wszyscy wiedzieli, że ziemia już do nas nie należy, że nie mamy prawa mieć jakiegokolwiek własności.

Zapowiadało się, że zboże zostanie w polu i zmarnuje się, nie było bowiem wystarczającej ilości ludzi do pracy. Człowiek zmarła z głodu, człowiek gdzie wyjechała, ratując życie, a niektórzy pracowali na plantacjach ziół.

Władza jednak dostała „prykaz”. Urodzaj musiał być zebrany. Po wsi biegał naganiacz – „diesiatnik” i wzywał na niwa. Nawet kułacy musieli iść do pracy, chociaż jeszcze przed miesiącem nie mieli prawa. Nie wolno było „zachowywać się” zignorować, bo groziły kary. Głód wcale nie osłabił represji, wprost przeciwnie, stały się one jeszcze bardziej brutalne. Ja i babcia też poszłyśmy do pracy. Dwa sierpy naostrzone już leżały na stole, a babcia kołysła się moją spódnicą na podszewce – spódnicą worek.

W polu nie było tak ciepło, bo już od samego rana stał nad nami wojskowy kocioł pełny gorącej czmiennej zupy. I chociaż nie wyglądała ona apetycznie (była sinawa) to smakowała wyśmienicie. Kilkanaście kobiet w szeregu było sierpami żyto, a dzieci zносиły snopy i stawiały w półkopki.

Moja spódnica-worek przydała się. Co piękniejsze kłosa wrzucałam do kosza przez kiesze, a trofeum zanosłam do domu. Po tygodniu pracy miałyśmy już woreczek żyta i woreczek pszenicy. Było również trochę czmiennej kaszy wystanej w długich kolejkach. Był to skarb niebyły. Przecież w ubiegłym roku nie zostało w domu nawet ziarenka.

Pewnego poranka naganiacz przyłapał na „kradzieży” kłosa chłopca trochę starszego ode mnie. Musiał biedny ponieść okrutną karę. Dorosłych za taki czyn rozstrzeliwano, a on ze względu na młody wiek został wybatowany. Słyszałam jak jęczał z bólu, patrzyłam na pocieraniem batem koscioł i krew na jego chudych dziecięcych plecach. Od tego czasu ze strachu przestałam chodzić na niwa.

Czasem babcia wyprosiła dla mnie zupy. Babcia sama w domu nie siedziałam beczynnym. Zwłaszcza, że byłam silniejsza niż wiosną (to pewnie zasługa miłosa – szkoda, że miałyśmy je tak krótko). Chciałam być użyteczna. Gotowałam zupę, którą przynosiłam babci po jej powrocie do domu. Sprzątanie warzyw z ogrodu też należało do mnie. Nareszcie czułam się potrzebna, pomocna i dlatego szczęśliwa. Czułam się dorosła i za coś odpowiedzialna.

Wyludniona wieś nie zdążyła zebrać wszystkich zbóż. Nawet naganiacze byli bezsilni. Dużo zboża pozostało w polu. Znowu marnowało się. Jak na złoto padały deszcze. Nadeszła październikowa niedziela. Niebo wypogodziło się. Pomimo jesieni zapowiadał się ciepły, a nawet gorący dzień – dzień babiego lata.

Chociaż niedziela była dniem roboczym, babcia odważyć się nie została w domu. Modliłyśmy się przed małym, cudem ocalałym obrazkiem Matki Bożej Berdyczowskiej. Czułam się odprężona. Nawet strach przycichł. Najważniejsze było to, że nie czułam głodu, bo już od samego rana zjadłam

jarzynow zup . Było w niej dużo marchewki, pietruszki i apetycznie pachniała koperkiem. Biegłam do ogrodu pilnowa dy . Dynie rosły w miejscu, gdzie miały być ziemniaki. Zamiast sadzeniaków do dołków wkładano trochę grubsze obierki z kiełkami. One nad podziw pięknie powschodziły. Na naszej urodzajnej czarnej glebie urosłyby na pewno i byłoby na zim trochę ziemniaków, ale tak się nie stało. Ktoś bardzo głodny, a może złośliwy powyrywał wszystkie krzaki. Na tym miejscu babcia posadziła dynie. I o dziwo urodzaj był wspaniały. Całe poletko pokryło się dużymi wielkimi żółtymi dy . Na zmian pilnowałyśmy tych skarbów.

Dalej u ssiadów rosły bujne konopie. Idąc zauważyłam, że rodka poletki konopi unosi się dym. Bardzo zdziwiona i ciekawa szybko znalazłam się tu przy ognisku. To co ujrzałam było tak makabryczne i nieludzkie, że nie potrafię opisać, co poczułam, bo i teraz jeszcze dzieckiem. Na samym rodku grzdzki leżała rozcielona płachta, a na niej zwłoki małego dziecka, któremu matka bardzo nieudolnie i chyba bardzo tępiemno obcinała chudłótkę. Trochę dzieci ciego ciała już gotowało się w garnuszku. Starsza córka mieszała tę zawartość garnuszka. Wyraźnie widziałam wynurzające się rączki .

Zimno mi się zrobiło, chociaż rano było ciepło. Straciłam władzę w nogach, które ugięły się pod mną. Zjawili się jacyś ludzie, siedzieli, których cięgnął złowieszczy dym. Z trudem doszłam do domu. Tam z przerażenia i grozy wymiotowałam wszystko, co rano zjadłam. Babcia myślała, że mam kłopoty z żołądkiem i szybko dała mi gorzki napój z piołunu, który służył jako lekarstwo na rozmaite biegunki. Gorzki napój przywrócił mi równowagę i jako tak przytomność. Wymioty ustąpiły i mogłam już opowiedzieć, co widziałam.

---

## 5.2 – Orszak pogrzebowy

---

Kiedy przyszłyśmy do ogrodu było tam już bardzo dużo ludzi. Makabryczna wiadomość szybko się rozeszła. Cały ogród został doszczętnie zdeptany. Wojsko lub milicja również znajdowało się przy ognisku. Dopadli półżywotne, nieszczęśliwe ofiary i bili, popychali, kopali, a ona nie odezwała się ani słowem. Leżała na ziemi, a ciałem jej wstrząsał dreszcz. Ona chyba była w agonii.

Co odczuwała? Czy bardzo cierpiała? Jak bardzo musiała być głodna!? Woskowo-żółta twarz bez kropli krwi nie wyrażała nic.

Włócznie postawili ją na nogi i przywieszali do pleców resztki martwego dziecka. Nie miała siły poruszyć się, cięgle upadała, a oni znowu i znowu stawiali ją na nogi. Dlaczego nie rozumieli, że ona umierała? W końcu pocięgnięli ją za ręce, które wydały mi się bardzo długie. Bose, chude i

owrzodzone nogi zamiatały uliczny kurz. Palce krwawiły, ale ona pewnie nie czuła już nic.

Dziwiłam się, że ta niedźwiedzia istota, ten kocotrup ma w sobie jeszcze krew. Pamiętam wyraz jej wielkich niebieskich oczu. Na twarzy ślonej jak wosk tylko rozwarpte oczy błyszczały martwym niesamowitym blaskiem. Starszy córeczkę niosł milicjant w cywilnym ubraniu, a może był to jakiś dobry, litościwy człowiek. Nie znałam go. Nie był z naszej wioski.

My – ludność z wioski szliśmy z tyłu. Był to niezwykle orszak pogrzebowy. Z początku szliśmy milcząco. Panowała ciicha cisza. Słychać było jedynie kroki mundurowych, stukot ich ciężkich butów. Przygniatająca cisza była nie do zniesienia.

Ktoś w tłumie zaintonował pobożny, smutny pieśń pogrzebową, a cały orszak natychmiast podchwycił pieśń. Niosło się wołanie, płynęła pieśń nad sadami, chatami i gdzieś daleko odbijała się jej kiem i echem. Wygłodzeni i bezsilni nie mogliśmy nadążyć za milicją. Zostaliśmy kawalek z tyłu. Kiedy dowlekli nas pod dom posterunku milicji, drzwi były już zamknięte i kobiety z dzieckiem już nie widzieli nas.

Nie wróciliśmy do domów. Staliśmy pod drzwiami, a ludzi przybywało coraz więcej. Nikt nas nie przeganiał. Pieśń i odmawianie różańca nie przeszkadzało towarzyszącej. Ale skoro tylko słowa modlitwy przemieniły się w wołanie „chleba, chleba” i „nie chcemy zdychać” – drzwi posterunku natychmiast się otworzyły. Wyszła władza uzbrojona po zęby. Rozległ się brutalny, ostry krzyk: „Won, bo będziemy strzelać”.

Nie odczuwałam lęku, a może nie zdawałam sobie sprawy, czym to grozi. Stałam razem z grupką dzieci w pierwszym szeregu. Dorobli stali za nami i chyba złożyli się, bo wołanie „chleba” ustało. Zapanowała cisza. Czekałam na wystrzał. Tym razem jednak nie strzelano. Tłum stopniowo topniał. Kiedy obejrzałam się, zobaczyłam, że dorobli już odeszli. Na placu pozostały dzieci. Moja babcia stała tuż za mną.  
- Już jest po pogrzebie. Chodź do domu – powiedziała cicho.

Wracając do domu nie rozmawialiśmy. Cóż mogłyśmy mówić. Nie było takich słów, które by choćby ci oddawały stan naszego samopoczucia: ból, smutek i beznadziejność. Całe ciało drżało. Czułam bicie serca w karku i ciężkość ciała oraz ogromne zmęczenie.

Ciężka jesień i jeszcze goręcej dzień trwał nieskończenie. Zdawało się, że już nigdy nie będzie miał końca. W domu nerwy całkowicie odmówiły mi posłuszeństwa. Doszłam do łóżka, a dalej pamięć się urwała.

Gdy w nocy otworzyłam oczy, zobaczyłam babcię czuwającą przy mnie. W domu pachniało zupą. Piłyśmy od ywecy płyn i rozmawialiśmy o minionym dniu, o życiu i śmierci.

Owa kobieta – sprawczyni tragicznego czynu, już nie żyła. Nawet umierając nie miała spokoju. Ona konała, podczas gdy milicjanci cięgnęli ją na posterunek. Zaledwie przed kilku laty była piękna, młoda, szczęśliwa i bogata. Pochodziła z Płoskirowa, z rodziny zamożnych mieszczan. Jej rodzice i rodzestwo zginęli pierwsi jako „pomieszczyki” – wyzyskiwacze, czy jakoś w tym rodzaju. Ocalała wtedy, tylko dlatego, że wyszła za mąż na wsi i zapomniano o niej. Czy warto było mieć jeszcze kilka lat i umrzeć śmierci głodowej?

Jej teść, bogaty gospodarz z naszej wsi, nawet nasz niedaleki sąsiad, pan Łoza był bardzo zamożny. Miał nawet młyn wodny. On również zginął wraz z synami jako kułak. Synowa z Płoskirowa znów ocalała z tego rodzinnego pogromu. Opiekowała się chorącymi i dwojgiem własnych dzieci. Po śmierci teściowej wyrzucono ją na bruk. Oprócz dwóch małych dziewczynek nie miała już nikogo i nic. Bez dachu nad głową, bez środków do życia tułała się po cudzych kątach. Żyła na łasce całej wsi. Opiekowali się nią dopóki sami nie stali się nędzarami. Kiedy nadeszła wiosna, a ludzie zaczęli umierać z głodu – zniknęła. Prawdopodobnie zebrała po innych miastach i wsiach. W końcu wróciła do nas i umarła razem z młodszym dzieckiem. To dziecko już nie żyło, kiedy ona je gotowała. Przeżyła piekło na ziemi...

Mój Boże, już tyle lat minęło, a ja pamiętam to tak dokładnie jakby działo się wczoraj. Noc pogodna, pełnia księżyca, a my obie – ja z babcią, siedzimy na progu mieszkania i rozmawiamy. Cała wieś zastygła wtedy w wielkiej ciszy.

---

### 5.3 – Dlaczego ocalałam?

---

Gdy obecnie wracam myślami do tamtych dni, to dochodzę do wniosku, że powinnam być wdzięczna losowi. Nie wiem dlaczego ocalałam? Czy to było szczęście, czy przypadek? Szczęściem na pewno było to, że miałam wspierać i czuć babcią (matkę mamy). Umięła mnie pokierować. Nauczyła wiele, na przykład takich wawnych wtedy rzeczy jak odróżniania jadalnych chwastów od niejadalnych. Jakże często były one naszym pożywieniem. Nauczyła mnie wytrwałości, cierpliwości i pokory.

Aby utrzymać nas przy życiu chwyciła się różnych sposobów. Piekła placki z plew, gotowała zupę z lebiody, pokrzywy, a nawet z owsianej słomy. Wszystkie te namiastki pożywienia były właściwie niejadalne, ale nie były trujące. Oszukiwały nasze ołdki i wciśniewy miałymy śmierć.

A najwłaściwsze było to, że ona mnie bardzo kochała. Jej miłość pomagała mi przetrwać. Często uciekałam z głodnego domu, ale słabnąca wracałam i widziałam jej radość, że ja jeszcze żyję. Nie chciałam umierać,



by nie sprawi jej bólu. Gdybym umarła, ona nie zniósłaby tego. Miłość i przywiązanie to najlepszy sposób na życie.

Drugim szczęściem był dach nad głową. Ja już byłam prawie dorosła i było mnie wszędzie pełno: w polu, w lesie, na łąkach. Wszędzie szukałam ratunku i czasami ratunek nadchodził. Widocznie los tak chciał.

Piękna, rudowłosa, o białej twarzy i niebieskich oczach, pani Łozowa nie mogła wyżyć. Dwoje malutkich dzieci, którymi się opiekowała, wiązały jej ręce. Przecież one nie mogły odżywiać się chwastami. Brak własnego kłosa dopełnił reszty. To musiało się tak skończyć. A nie do uwierzenia, ale tak niestety było. Nie tylko ona, ale cała jej rodzina zginęła. Tylko jakiś daleki krewny ocalał – to było wszystko.

Moja rodzina również została straszliwie „przetrzebiona”. Z siedmiorga rodziny został tylko ojciec i najmłodszy brat – stryj Wojtek, który zmarł jak człowiek – śmiercią naturalną. W tę noc kiedy zmarła pani Łozowa przysięgłyśmy sobie, że nie damy się śmierci, że obronimy się.

Ucieszyłam się, że babcia przestała przygotowywać mnie do śmierci. Wierzyłam jej. Ona była dla mnie ostoją, była wszystkim. Już nigdy więcej nie uciekałam z domu, żeby nie przysparzać jej dodatkowych zmartwień, których jej nie brakowało. Mijała straszna i smutna niedziela. Oby nigdy nie powtórzyło się coś tak makabrycznego.

Od poniedziałku walczyłyśmy o jeszcze jedno życie. Przypadkowo na strychu nad oborą znalazłyśmy, zapomniane przez wszystkich, suche, łożyska tytoniu. Ojciec pewnie je tam schował. Był to bardzo dobry i chodliwy towar. Teraz miałyśmy więcej pieniędzy, ale nie było co za nie kupić. Nawet człowiek, od którego dostawałyśmy miód znikł jeszcze przed nami. Jego mieszkanie stało puste, a w drzwiach wisiała kartka, że był to spekulant i oszust. Był – to znaczy, że już go nie ma, czyli znikł jak wszyscy.

Niwa musiały się skończyć z powodu deszczu. W czasie upalnego lata nie chciało mu się padać, ale za to jesienią nadrabiał straty. Człowiek z bólem zimowcem stratało bydło, człowiek jednak zebrano. Reszta mokła i gniła. Takie słabe zbiory nikogo nie martwiły. Wszystko to było państwowe.

Pewnego deszczowego dnia naczelstwo obwieściło zebranie. Stawiennictwo, jak zwykle, było obowiązkowe. Z duszą na ramieniu zajęli nas miejsca w szkolnej wietlicy. Bardzo bałam się o babcię. Przecież tylko ona mi została. Zebranie okazało się niegroźne, a nawet obiecujące i korzystne. Otóż wszyscy, którzy pracowali w polu, dostaną zapłatę w postaci ziarna. Było to dla ludzi zaskoczeniem. Kto by pomyślał, że towarzysze zdobędą dla nas taki „wspaniały czyn”. Co prawda pola i zboża należały do nas, ale jak dotychczas to wszystko nam zabierano, a tu

niespodziewanie b d nam płaci . Jako nie chciało si wierzy . Mo e to tylko art? Przecie całe lato na plantacji ziół pracowali my za skibk czarnego chleba i miseczk zupy.

Po paru dniach babcia przyniosła w koszyku troch ziarna. Niewiele tego było. Ja w swojej spódnicy na podszewce wi cej nakradłam. Zapasy na zim jednak odrobin powi kszyły si . Z ogrodu zebrały my troch kukurydzy, buraków, marchwi i du o pi knych dy . Piwnica ju nie wieciła pustk .

Najwa niejsz rzecz było szukanie opału. Drzew we własnym lesie i na ł ce nie wolno było cina . Została tylko ubiegłoroczna słoma i dalsza rozbiórka zabudowa i płotów. B dziemy ogrzewa mieszkanie tylko w bardzo mro ne dni i tylko jedno pomieszczenie. Kilka razy udało si nam przywie z lasu chrustu małym r cznym wózkiem, i to było wszystko.

O nieszcz snym chru cie dowiedziało si naczalstwo. Natychmiast zjawiło si u nas dwóch milicjantów, jak zwykle z karabinami. Szukali kradzonego drzewa. Znowu był strach, e skonfiskuj nasze skromne zapasy. Zabraliby je na pewno, ale na szcz cie – nie znale li. Na nasze głowy posypały si razy, wyzwiska i przekle stwa.

Nadchodziła znowu ci ka zima. Czułam si bardzo dziwnie. Nic mnie nie bolało, ale odczuwałam ogromne osłabienie, zawroty głowy, a nawet miałam omdlenia. Wieczorem poruszałam si po omacku. Byłam lepa. Na szcz cie rano odzyskiwałam wzrok. Trzeba było powiadomi mam . Ona przecie nie wiedziała czy jeszcze yjemy.

W takich beznadziejnych chwilach zawsze my lałam o ojcu. Gdzie on teraz jest? Czy yje? Czy my li o nas? Dlaczego tak długo milczy? A mógł naprawd wróci . We wsi tej jesieni był wzgl dny spokój. Nikogo na razie nie zamykali i nie zabijali. Niektórzy powrócili z tułaczki i nie karano ich. Bardzo du o było mierci i towarzysze pozwolili troch odetchn , odpocz .

Była ju jesie – deszczowa i chłodna pora roku. Ojciec niestety wci milczał, ale ja wci nie traciłam nadziei. Wierzyłam, e szcz cie jeszcze mnie nie opu ciło. A szcz cie to miałam nie byle jakie, ci gle yłam i to tylko si liczyło.

---

## 5.4 – Ojciec wraca

Pewnej deszczowej nocy kto cichutko zapukał do okna. To był ojciec!!! Wyczekiwany, tyle razy opłakiwany, kochany, najdro szy ojciec wrócił do nas. W t szcz liw noc jeszcze dobrze nie widziałam jego twarzy, bo mgła – kurza lepota zasłaniała mi cały wiat. Tuliłam si do niego,

całowałam chłodną, szorstką twarz, która pachniała wiatrem. Czułam słony smak łez. Ojciec płakał!

- Co oni z wami zrobili – szeptał. Zastanawiałam się kto to byli ci „oni”.
- Dlaczego jesteście takie wychudzone? – padały szybkie pytania.
- Gdzie reszta rodziny?

Babcia płacząc opowiadała, a on słuchał, a płacz nie pozwalał mu mówić.

- Przecież przysyłałem wam pieniądze? – denerwował się.

Brak pieniędzy, brak listów nie otrzymywaliśmy. Jedyna korespondencja do nas nie dochodziła, pewnie ginęła w drodze lub już na miejscu przeznaczenia.

Ukraina odcięta była od całego świata i chyba nikt nie wiedział co się tutaj działo. Ciężko zarobione kopiejki, które ojciec wysyłał nie spełniły swojego przeznaczenia. One miały zdecydować o życiu i śmierci. Mimo wszystko przetrwaliśmy. Jeszcze tej samej nocy po raz pierwszy od tylu miesięcy jadłam prawdziwy chleb, a nie czarne lepieszki. Tak smacznego chleba już chyba w życiu nie jadłam więcej. Ojciec przywiózł również kilka pszennych, białych bułeczek, smalec, a nawet odrobinę cukru. Osłodzona woda i chleb ze smalcem smakowały jak najwykwintniejsze danie w świecie. Zapach chleba wypełnił całą izbę.

Poczułam się nad wyraz szczęśliwa i bezpieczna, jak nigdy dotąd. Gdy późnym rankiem obudziłam się, zobaczyłam w domu mamę. Byliśmy nareszcie razem. Brakowało tylko dziadka. W niektórych domach wymarli wszyscy, mieliśmy szczęście, nie da się zaprzeczyć. Mama nie głodowała tak bardzo jak my, ale również wyglądała na dzień. Ciężka praca, a przede wszystkim ciężkie niedosypianie zrobiły takie same spustoszenie jak głód. W tamtych ciężkich czasach, nawet nieopłacalna praca w szpitalu była jakimś ratunkiem. Otóż mama przynosiła ze szpitala różne lekarstwa, od ywki, oraz tran. Przecież w żadnej aptece nie kupilibyśmy tych leków. Kuracja przebiegała sprawnie. Stopniowo wracałam do zdrowia. Piłam lekarstwa i jadłam wszystko, co choć trochę nadawało się do jedzenia.

Ojciec był w republice białoruskiej nie cierpiał głodu. Wtedy, gdy na północ uciekał to była późna jesienna pora. Dla niego podróż pociągami, a podróż pieszo nie była lekka, ani bezpieczna, a koniec jej był nieznany. Wszystko zakończyło się jednak szczęśliwie. Granica między radziecką Ukrainą i Białorusią była strzeżona niczym granica wrogiego mocarstwa, ale ojcu nawet dokumentów nie sprawdzano. Znowu ten przysłowiowy łut szczęścia? Z pracą nie było kłopotów. W jakimś nowo utworzonym kołchozie pracował jako cieśla przy budowie chlewni. Luksusów tam nie było, jednak takiego głodu jak na Ukrainie nie przeżywał, dlatego to nie wiedział, że ludność u nas masowo umierała. Gazety o tym nie pisały, listy nie dochodziły. Byliśmy od siebie odcięci oceanem milczenia i tajemnic.

Zima roku 1933/34 zbliżała się jednak nieubłaganie i znowu niosła nieznaną. Ludzie nadal umierali, ale nie tylko z głodu. Gruźlica, tyfus, czerwonka były przyczyną licznych zgonów. Mierza była nienasycona. Na zamrożonych, pokrytych kałami i mrozonym błotem ulicach leżały zwłoki dorosłych i dzieci, teraz tylko nie latały po nich muchy. Im było już za zimno.

Nadal było bardzo ciężko, skromne zapasy szybko topniały. Nawet ojciec bał się zimy. Ja nie miałam obuwia, a tak ciężko ciepłego zimowego okrycia. Wciąż chodziłam boso po mrozonym błocie. Ale od czego pomysłowość ojca. Z jakichś starych chodaków – zniszczonych i wydeptanych, zrobił dla mnie mieszane haczykowane „buty”, ale bosa już nie byłam. Ze starej, walającej się po strychu kapoty babcia uszyła płaszcz. Nareszcie miałam ciepło. Znowu zaczęłam handlować – nosiłam na plecach drzewo. Za zarobione kopiejki kupowałam kaszę i czarny chleb.

Dodatkowo jedna plaga gnębiła mnie i babcię. Były to wszy. Wybieranie ich z głowy, tak zwane iskanie, nic nie pomagało. Jedynych środków do zwalczania tego robactwa nie było. Ubranie moje na było wygotowane, ale głowy? Stało na tym, że warkocze zostaną obcięte, babcia już była ogolona. Po namyśle mama postanowiła spróbować piwoższy naft. Ten środek okazał się bardzo skuteczny, ale był zbyt silny. Skóra na głowie pokryła się białkami od poparzenia, ale warkocze zostały uratowane.

Gdy popadał pierwszy śnieg i mróz na dobre skuł całą ziemię przyszło nowe nieszczęście. Tym ciosem była ciężka choroba ojca. Skąd zimą porwała się czerwonka? Muchy już przecie wyginęły. Przypuszczam, że w lecie zapobiegała jej gorzka herbata z piołunu, lecz teraz jej nie piliśmy. Z ojcem było bardzo ciężko. A że nie mieliśmy po ciele, to leżał on na ubiegłorocznej słomie. Chować się po kątach płakałam i prosiłam Boga o ratunek. Wiedziałam, że ludzie zarażeni tymi chorobami niechybnie umierali. I znowu szpital okazał się pomocny. Mama przynosiła jakieś lekarstwa, które ojciec pił, a my czekaliśmy na cud ocalenia. I ojciec wyzdrowiał. Po chorobie wychudzony – już bardziej podobny do nas – stracił nadzieję, zwłaszcza, że dom znowu był pusty.

Pewnego razu za utargowane kopiejki kupiłam ołty, kukurydziany chleb, który był jak zwykle niedopieczony i bardzo się kruszył. Aby donieść do domu ołty, wilgotne okruchy kupiłam „Prawdę”, w którą je zapakowałam. I o dziwo gazeta przydała się. Były w niej bowiem opisy wspaniałych sukcesów partii i rzędu. Chętno się wykonaniem i przekroczeniem planów na odcinku kolektywizacji i tym podobne. Pisano, że będą, które popełniono były nieuniknione, a nawet potrzebne, ponieważ na białych dachach partia zdobywa władzę i uczy się rządzić krajem. Kułacy i „pomieszczyki” zostali wyniszczeni. Tyle – mniej więcej – zrozumiałam, z tego co czytał ojciec.

Min ło znowu kilka „normalnych dni”, bardzo ci skich i głodnych. Nikt nic nie wiedział i niczego dobrego si nie spodziewał. A tu nagle, jak za dotkni ciem czarodziejskiej ró d ki, nasz mały wiejski sklep o ył. Na regałach znalazł si wie y, pachn cy chleb. Po drugiej stronie stały worki z kasz , m k , grochem. Codziennie rano przywo ono wie e mleko. Pod sklepem ustawiały si długie kolejki. Je eli zakupy si udały, to na obiad mieli my du e, z jasnej m ki – kluchy na mleku. Ka de z nas dostawało porcj tych pyszno ci. Błyskawicznie zjadłam mich kluchów i wcale nie czułam syto ci. Jak to si mogło zmie ci w moim, zdawałoby si niedu ym brzuchu.

Nareszcie zjawiłam si w szkole. Teraz dopiero zobaczyłam jak mało dzieci ocalało. Było nas o połow mniej. A nie do uwierzenia, e w ci gu wiosny i lata zmarło a tyle. Ci, którzy prze yli, stopniowo powracali do tego wiata. Nikt chyba nie zaprzeczy, e stali my si wybra cami losu. A ilu zmarło dorosłych... adne statystyki (pó niej) nie podały tego w miar dokładnie. Gin li my jak muchy. A kto kiedykolwiek liczył padłe muchy? Od jesieni 1932 roku do pó nej jesieni 1933 roku adne z dzieci nie chodziło do szkoły, czyli cały długi rok szkolny, ale jakim cudem, wszyscy bez wyj tku byli my w nast pnej klasie!?

Zdawałoby si , e wszystko złe zostało za nami. I chocia głód nie doskwierał ju tak bardzo, to jednak ycie toczyło si w wielkiej n dzy i niedostatku. Prawdziwy chleb był w sklepie prawie codziennie, ale nie było go za co kupi .

Ojciec bardzo długo poszukiwał pracy, ale poszukiwał nadaremnie. Jako kułak i wróg narodu nie miał prawa do pracy. Zreszt pracy nie miało wielu innych. Tylu ludzi zgin ło, a mimo to dla ocalałych zaj cia nie było. W ko cu jednak ojciec zacz ł pracowa w fabryce jako tragarz. Nie trwało to długo. Uszkodzony w czasie tortur kr gosłup natychmiast dał o sobie zna . Pewnego razu tata upadł nios c worek cukru i natychmiast został zwolniony, jako uchylaj cy si od pracy, z tak zwanym „wilczym biletem”, czyli ujemn charakterystyk . Z takim papierem ju na pewno nie miał szans na prac .

Tak sko czyła si kariera mojego ojca, a y trzeba było dalej. Jako szewc nie miał racji bytu, bo nie było z czego szy obuwia. Nale ało wymy li co innego. Z s siadem – panem Rykanowskim, równie kułakiem poszli do miasta z podstawowymi narz dziami szuka zaj cia. Od domu do domu chodzili prosz c ludzi o jak kolwiek prac . Byli po prostu ebrakami. R bali drzewo, zamiatali podwórza, wywozili nieczysto ci. Troch za wykonan prac , troch z lito ci dostawali marne grosze, ale chleb w domu ju był.

Przyszły wi ta „Bo ego Narodzenia”, o których zapomnieli my. Doro li na pewno pami tali, ale dzieciom nic si nie mówiło.

## 6.1 – Błogosławieństwo pracy

---

Nadeszła wiosna 1934 roku. Już w kwietniu przestałam chodzić do szkoły. Musiałam iść do pracy – zarabiam na życie, a miałam wówczas skończony 13 lat. Bez przeszkód zostałam przyjęta do pracy na dworcu kolejowym w Greczany. Nie wymagano od dzieci żadnych papierów lub charakterystyk.

Zamiatałam perony, pielłam chwasty na torach. Brygady dzieci także kopały rowy i nosiły drewniane podkłady kolejowe. Była to bardzo ciężka praca. Wracałam do domu pół żywa. Dopiero gdy nastąpiła zima, a ziemia zamarzała, brygady dzieci także rozwiłażano.

Byłam tak chuda i wysuszona, że po raz drugi w życiu nie poznawałam siebie. Z lusterka patrzyła na mnie twarz dorosłej, zmęczonej osoby, a nie dziecka. Bardzo okrzepłam, zahartowałam się, byłam w miarę silna. Zarobiłam niewiele, ale kupiono mi płaszcz, wprawdzie nie nowy, ale jeszcze w dobrym stanie. Od ojca dostałam „nowe” buty, przerobione ze starych. Wyglądałam trochę schludniej.

Dopiero późną jesienią zjawiłam się w szkole. Byłam już w następnej klasie! W czasie zimy szkoła nie była ogrzewana. Zanosili my się od kaszlu. Nadal panowały choroby, a śmierci nie miało dość.

Zbliżyli się następni święta Bożego Narodzenia. Obchodzili my je bardzo uroczysto – na kolację wigilijną zaprosili my się siadów. Zamiast opłatka mieli my czarny chleb. Przełamali my się nim i złożyli my sobie najserdeczniejsze życzenia wszystkiego najlepszego. Do samego rana śpiewali my kolędy i modlili my się, dziękując Bogu za ocalenie.

Czuli my się wybranymi losu i ludźmi bardzo szczęśliwymi. Przecież w naszej wiosce, niegdyś dużej i zamożnej, ocalało mniej niż połowa ludności. Były wioski, dalej od miasta, gdzie nie ocalał nikt. Hitler mordował ludzi inaczej. Budowanie wielkich fabryk śmierci oraz krematoriów było przedsięwzięciem kosztownym. W komunistycznym państwie, rządzonym rzekomo przez robotników i chłopów, gdzie z głosem nieustannie płynęła wesoła muzyka i słowa o szczęściu, o radości życia, nikt nas masowo nie zabijał. Ludzie umierali bez niczyjej pomocy – całymi wioskami, całymi dzielnicami w miastach.

Taki zamierzony, lub niezamierzony sposób zabijania nie kosztował nic. Kiedy głód ustał, ludzie nie szukali winnych. Byli my szczęśliwi, że żyjemy. A winnych przecież nie było, zwłaszcza, że o głodzie nie wolno było mówić.

Dzisiejsi historycy i badacze liczą ile to ludzi zmarło na Ukrainie. W tamtych czasach nikt nas nie liczył, ani żywych, ani tym bardziej umarłych. Wydawało się, że jest to niemal zakazane. Umierali my, bo tak

trzeba było, umierali my planowo. Może nawet z tego tytułu ktoś otrzymał order „Czerwonej Gwiazdy”?

Cał długi zimą nasza szczupliwa czwórka dzielnie walczyła o przetrwanie. Szczupliwiec uciekał do nas. Otóż w Płoskirowie został otwarty warsztat szewski, tak zwana artel, w której ojciec otrzymał pracę. Na razie reperowano obuwie. Za tę pracę płacono niewiele, ale chleb znowu w domu był.

Z nastaniem wiosny zaczęły kobiece i dzieci szyc sandały – płótniaczki, drewniaczki, a nawet męskie półbuty. Siłą rzeczy zarobki zwiększyły się nieco. Zapowiadało się, że będzie nam trochę lepiej.

Mama również dostała pracę przy wydobywaniu torfu. Miała dosyć harówki w szpitalu. Była to ciężka praca, którą wykonywały wyłącznie kobiety i dzieci. Może nie pełnili kierownicze stanowiska jako kierownicy, brygadziści i poganiacze.

Mama pracowała nie skarżąc się na los i jako wytrzymała do późnej jesieni. Jako przodownica pracy dostała nawet bezpłatnie opały na zimę. Cieszyliśmy się, że nie trzeba będzie krać chrustu we własnym lesie. Życie stawało się znów niejsze. Sklepy przemysłowe i z ubraniami nadal nie istniały, ale na bazarze było wszystkiego pełno.

---

## 6.2 – Portret Pawlika Morozowa

---

Rzeczy zrabowane w czasie rozkułaczania i przymusowej kolektywizacji leżały gdzieś w ukryciu i czekały na odpowiedni czas, czekały na ludzkie zapomnienie. Mama starała się kupować rzeczy najbardziej potrzebne. To zubało nasz i tak biedny spirani. Trzeba było bardzo oszczędzać, by znowu móc zwinąć koniec z kołosem, ale ja mimo to cieszyłam się bardzo, gdy w domu pojawiło się coś ładnego i potrzebnego.

Przestały mnie męczyć myśli o głodzie i śmierci. Stopniowo wymazywałam z pamięci cierpienie i udręk. Czułam się bezpieczna, ale jak długo? Zdawało się, że nacjonalizm i GPU zapomniało o ojcu. Nie byliśmy przez nich nachodzeni. W sąsiedniej wsi przybyło dużo ludzi obcych, przeważnie Rosjan, którzy zamieszkali w kułackich chatkach lub w tych, których mieszkańcy wymarli z głodu.

Rosjanie uważali nas za ludzi niższej kategorii. Z niepojętą nienawiścią ubliżali nam jadłowicie, nazywając Lachami, Polaczkami lub Mazurami. Nie mogłam pojąć, jak słowo Polak lub Mazur mogło być wyzwiskiem. Przecież żyliśmy tu zawsze i ta wieś była naszą wsią, a kraj – naszą ojczyzną. Miejscowi Ukraińcy i żydzi zawsze nazywali nas Mazurami, ale nie czuliśmy się przez to gorszymi.

Jaka ci ła atmosfera wisiała w powietrzu. Prasa, radio pi ętnowały i oczerniały Polsk ę – faszystowsk ą (?!), a Polacy napi ętnowani zostali pi ętnem ludzi niebezpiecznych, zdrajców, wrogów ludu, zwłaszcza, ę Polska była tak blisko.

Przeczuwali my, ę nowe zło zbli ę si ę nieuchronnie, ale nikt nie potrafił przewidzie ę, co ono ze sob ę przyniesie. Znowu najbardziej zagro ęny był ojciec. Czy nast ępi ę nowe aresztowania? Jak ratowa ę ojca? Przecie ę to dzi ęki ojcu ę życie stawało si ę wzgl ędnie zno ęnym. Były pieni ędze, był chleb. Stopniowo zrzucali my z siebie podarte, ę bracze łachmany. Stawali my si ę podobni do normalnych ludzi.

Ja oczywi ęście chodziłam jeszcze do szkoły, ale ju ę w Płoskirowie. C ęco to była za szkoła!? Istne muzeum gipsowych figur. Na korytarzu stały białe postacie Lenina i Stalina oraz ró ęnych rozmiarów popiersia. Na ęcianach wisiały kolorowe plakaty, na których Stalin po ojcowsku tulił dzieci ró ęnych narodów i kolorów skóry. Na innych robotnicy i chłopi obdarowywali Stalina kwiatami i dzi ękowali mu za wszystko co dla nich uczynił. Kiedy tak patrzyłam na plakaty, na u ęmiechni ę te białe gipsowe postacie, to mimo woli my ę ęłam, ę to co prze ęyli my, chyba nie było jego dziełem, ę to kto ę inny – bardzo zły i obcy, bez zezwolenia i wiedzy Stalina dopu ęcił si ę zbrodniczych czynów. Przecie ę w ęódz tak mile u ęmiecha si ę do dzieci.

Dzieliłam si ę swoimi my ęłami i spostrze ęzeniami z rodzicami, a oni nic nie mówili tylko z politowaniem kiwali głowami i smutno si ę u ęmiechali. Dopiero po wielu latach zrozumiałam, ę nie mogli w ęówczas nic powiedzie ę. Bali si ę mnie. W tamtych czasach jakie ę bezmy ęłne i niewinne dzieci ęce paplanie bardzo cz ęsto ko ęczyło si ę u ęwi ęzieniem lub ęmierci rodziców lub s ęiadów.

Nikt nikomu nie ufał. ęona bała si ę m ę a, m ę bał si ę ęny. W obecno ęci dzieci doro ęli rozmawiali bardzo ostro ęnie. Dzieci były niebezpieczne. Takim wła ęnie gierojem, który wydał własnych rodziców i stał si ę przyczyn ę ich ęmierci był Pawlik Morozow, nazywany przez nas "Pawka". W szkole zach ęcano dzieci by ę brały z niego przykład.

Co my ę ęłam wtedy o jego czynie? Pot ępiałam go oczywi ęście, ale jednocze ęnie współczułam. Propaganda, ci ęgłe wychwalanie jego post ępku, mówienie o nim jak o bohaterze, zasiały ziarno zła w dzieci ęcych umysłach. Doro ęli starali si ę o nim nie mówi ę, szczególnie po ęród dzieci.

Portrety Pawlika wisiały obok portretów Lenina i Stalina. On był nawet ładnym chłopcem, a gł ęód nie odbił pi ętna na jego twarzy. Buzia u ęmiechała mu si ę od ucha do ucha, czego nie mo ęna było powiedzie ę o naszych wci ę smutnych twarzach. Niekt ęóre dzieci uwa ęały, ę to wielki



zaszczyt wisie tak blisko portretu Józefa Wisarionowicza. Tak my łączyli dzieci dygnitarzy partyjnych, bo i one uczęszczały do naszej szkoły.

Chociaż głodu już nie było, to znamię cierpienia i strachu jeszcze nie znikło. Zbyt długo trwało zmaganie się ze śmiercią, z niewielkimi chwilami odpoczynku, który decydował o przeżyciu (dieta rybna). Na ulicach trzeba jeszcze było zacząć.

---

## 7.1 – Zepchani do byłych wagonów

---

Nadszedł rok 1935. Po mroźnej i niespokojnej zimie nastąpiło ciepłe i pogodne pod koniec lat 30. Ten naprawdę spokojny czas miał nawet swój nazwisko – pieredyska.

Zajęcia walk o byt nie przestawali my być czynni. Po tylu latach nauczyli się omijać przeszkody i zagrożenia. Sporadyczne ucieczki, wymykanie się z rąk oprawców opłacało się. Na ogromnych przestworzach Kraju Rad można było chwilowo ukryć się, zawieruszyć. Wystarczyło mieć dowód osobisty (paszport) bez zbędnych, niejasnych adnotacji i bezpieczeństwo na parę miesięcy było pewne, lecz nie dłużej.

Dla ludzi samotnych, nie obarczonych rodzinami i obowiązkami było to rozwinięciem dobrym. Opiekunowie i ojcowie rodzin takich szans nie mieli. Musieli poddać się losowi, jeżeli nie chcieli, by ich najbliżsi ginęli.

Okres niw i wytężonej pracy rolników był zawsze najspokojniejszy. Ten spokój nie był przypadkowy, pozwalał bowiem zebrać plony. Uważam, że było to bardzo chytre i podstawne. Niwa jednak nie trwała długo, nadchodziła jesień. Kto miał szczęście i odwagę, ten wyjeżdżał, po prostu uciekał. Jednak takich szczęśliwców nie było wielu.

Kto nie miał stałej pracy to już nie mógł nigdzie się urządzić z powodu polskości. Narodowo polska stała się uciśnionym balastem i przeszkodą do życia. Jak powiedział Józef Wisarionowicz nienawidził Polaków! Niektórzy twierdzili, że on mścił się za 1920 rok, za „cud nad Wisłą”. Myślę, że było w tym trochę prawdy, bo żadna mniejszość narodowa nie była tak zawzięcie niszczone jak właśnie Polacy.

Był pochmurny, jesienny dzień. Od samego rana się piła chłodny deszcz. Mimo brzydkiej pogody towarzysze biegali po wsi i oznajmiali, że niektóre rodziny zostaną deportowane w głąb Rosji. Moi rodzice również podlegali pod ten paragraf. Ojciec dostał papier, z którego wynikało, że mieszkanie nasze skonfiskowano za jakieś długi, a my z powodu polskości musimy opuścić teren przygraniczny. Nasza obecność, przy samej granicy z Polską, zagraża rzekomo bezpieczeństwu państwa. Musimy natychmiast szykować się do drogi.

Były te wagony już stały na stacji. Płakali ludzie i płakało niebo! Na nic więc była walka z głodem i ogromna chęć. Ci, którzy zesłani byli w latach 1929-1932 nigdy nie dali znaku chęci. Byli my więc przygotowani na najgorsze. Ale krótki był okres wypoczynku, pieredyszki.

Nie szykowaliśmy się, nie było właściwie co szykować. Parapakunków z pościelą i ubraniami – to było wszystko. Nie było nawet wystarczającej ilości chleba. Ale czy miało to jakieś znaczenie? Przyjaciele, ludzie, którzy mieli na razie szczęście i zostawali na miejscu przynieśli trochę żywności.

Niektórzy doradzali ucieczkę, zwłaszcza, że milicja była nieobecna lub gdzieś ukryta.

- Dwoje młodych i silnych ludzi da sobie radę – mówili.

A co się stanie ze mną i z babcią – myślałam zrozpaczona.

Mimo woli wsłuchiwałam się w te rozmowy i było mi smutno, przykro i beznadziejnie. Jestem niepotrzebna, jestem ciężarem, zawalidrogą. Byłam jedynym dzieckiem, a mimo to czułam się wtedy zbędna i niepotrzebna. Rodzice nie uciekli. Jakże byli bezradni i bezsilni.

- Jeżeli mamy ginąć to wszyscy razem – zdecydował ojciec.

Wkrótce nadjechał wóz i stanął przed naszym domem. Czas wyruszać w drogę.

Ogarnął mnie paniczny strach. Słyszałam jak dzwonił mi z dala. Byłam pewna, że jedziemy na stracenie. Trzej bracia ojca dołączyli z nami „na zawsze”. To po dojeździe sprawdzili się – bracia już nigdy więcej się nie spotkali. W 1936 roku i oni zostali wywiezieni do Kazachstanu i tam zginęli z głodu i zimy. Od 1930 do 1936 roku zginęło w naszej rodzinie siedem osób razem z dziadkami (rodzicami ojca). Ginęły również niemowlęta, ale już nie pamiętam tam ile było mierci tych najmniejszych i najbardziej bezbronnych.

Na ulicy Kamienieckiej, prowadzącej do dworca, nasz wóz dojechał do całej kolumny pojazdów. Jechało nas wielu, a ludzie z miasta i ze wsi odprowadzali zesłańców. Milicja (o dziwo!) nie rozprzeczowała odprowadzających. Kolumna furmanek z zesłańcami posuwała się po woli mokrym brukiem i była wybitnie polska.

Ogromny tłum ze śpiewem „Wi ty Boże, wi ty mocny..” szedł wytrwale aż do stacji kolejowej. Ostatni raz objawili my towarzyszy, że jesteśmy Polakami. Jeszcze raz staraliśmy się potwierdzić nasz polskość, nie pamiętam na nic. Było nam wszystko jedno.

Wagony były już stałe, a lokomotywa dyszała potężnie. Bardzo szybko wrzucono ludzi do wagonów, pociąg ruszył i oddalał się. Opuszczaliśmy rodzinne strony, a śpiew stopniowo cichł. Co nas jeszcze czeka? Dokąd nas zawiozł ?

W wagonach było bardzo ciasno i duszno. Małe otwory imitujące okienka były zakratowane drutem kolczastym. Od czasu do czasu ktoś stawał na bagażach i patrzył na zasnutą mgłą, oddalający się wiat. Na napotkanych stacjach dołączano nowe wagony z Polakami. Bardzo wolno posuwali się na wschód.

Pociąg zatrzymywał się na bocznych torach i stał nieraz nawet po kilka dni. Zdawało się, że podróż nigdy się nie skończy, że tu zginie. Gdyby tak się stało, to nikt nie odpowiadałby za to. Grunt, że byłoby nas trochę mniej.

Wagony cuchnęły niczym kloaka. Z nastaniem mrozów cierpieli my również z powodu zimna. Całe ubranie przesiąknięte było smrodem, okropnym trupim odorem. Latem 1933 roku nawet chciałam się tego dostatecznie dowiedzieć. Ciekawa byłam co przewożono tymi wagonami? Zwłoki ludzkie, czy padłe zwierzęta?

Tylko na niektórych stacjach pozwalano nabierać kąpiatku (wrzątku). Dopiero teraz zrozumieliśmy, jakie dobrodziejstwo wyświadczyli nam siadli i przyjaciele, którzy ofiarowali trochę żywności. Po raz drugi „zdychalibyśmy” z głodu, ponieważ na stacjach nie wolno było wysiadać. To był pociąg wiozący zbrodniarzy.

Potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy nad otworem w podłodze, w czasie jazdy pociągu. Mijane stacyjki były tak małe, ubogie i zaniedbane, że z pewnością ci nie było tam żadnych sklepów z żywnością. Im bardziej posuwali się na wschód, tym bardziej dokuczał chłód, a w wagonie nie było przecież żadnego urządzenia ogrzewającego.

niegi pokryły pola, a szron zdobił drzewa, krzewy i chwasty. Osiedla ludzkie wyglądały coraz nędzniej. Chyba nawet przed rewolucją ich mieszkańcom nie powodziło się najlepiej.

Ojciec wyciął w deskach wagonu otwór, aby wpuścić trochę świeżego powietrza. Ten otwór służył również jako małe okienko do obserwacji wiatu, który nieubłaganie zostawał za nami. Wioski i stacje spotykaliśmy coraz rzadziej i teren stawał się coraz mniej zadrzewiony. Osady te wyglądały jak obornik wywieziony w pole i rozrzucony na małe kupki. Dym wydobywał się z tych małych, pokrytych niegami kopczyków.

Co to były za osiedla? Kto mieszkał i żył tak nędznie w szarym polu? A może to byli zesłani wygnanci? Tu jednak nas nie wyładowano. Jechaliśmy dalej i czekaliśmy na jakiś koniec.

## 7.2 – Ognisko w cerkwi

---

W naszym wagonie nie było małych dzieci, ale w innych płakały tak głośno, że nie sposób było wytrzymać – krajało się serce. Na długich postojach, w szczerym polu, płacz maluczkich doprowadzał do rozpacz. Byli my szczęśliwi, że pociąg znowu ruszał. Stukot kół i klekot starych, sfatygowanych wagonów zagłuszał głośny płacz dzieci i jęki rodziców.

Później dowiedzieliśmy się, że dużo dzieci i osób starszych zmarło w czasie podróży. „Stróżem porządku” zabierali od rozpaczonych rodziców drobne, martwe ciała i wymięzione, wychudzone ciała staruszków. Bóg jeden wiedział co oni z tymi zwłokami robili? Mówiono, że wyrzucali je na pole – przecie to żadna sensacja. Byliśmy w Związku Radzieckim, a tam w każdym miejscu w ziemi lub na powierzchni leżały zwłoki ludzkie. Naród jednak wciąż się odradza i znowu jest nas bardzo dużo.

Nareszcie równina skończyła się. Pokazały się najpierw nieduże, a potem coraz większe pagórki, góry.  
- Jedziemy w kierunku Uralu – powiedział ojciec.

Naraz całkiem niespodziewanie pociąg zatrzymał się. Konwojenci biegali od wagonu do wagonu i ogłaszali koniec podróży. Wyładowano nas prosto na śnieg, a pociąg z pustymi wagonami odjechał. Na zimnie i mrozie czekali my bardzo długo, a przyjechały sanie.

Zawieziono nas do miasteczka – Troickoje obwód Woroszyłowgrodzki. Była to jeszcze Ukraina. Stacja kolejowa nosiła nazwę Łantratowka. Już sam budynek stacji nie wróżył nic dobrego. Napis był ledwie czytelny. Tynk poodpadał od ścian i gdzieś niedługo wyzierała czerwona, przedrewolucyjna cegła. Na każdym kroku widoczna była bieda i nuda. Ludność wyglądała gorzej niż w Sybirze, a na Ukrainie.

- Jeśli tutaj ludzie, to my również będziemy potrafili – powiedział ojciec. – Cieszymy się i dziękujemy Bogu, że nie wylądowali my w tundrze lub na ziemi Franciszka Józefa – dodał z uśmiechem. Poczuliśmy się lepiej, bo byliśmy wdzięczni losowi za to, że znowu udało się do nas.

Ale czy to był „uśmiech losu”?

Tutejsza zabiedzona ludność okazała się bardzo serdeczna. Wszyscy wyrażali chęć pomocy. Małymi saniami dojechaliśmy do centrum miasteczka. Zostaliśmy wysadzeni na placu obok dużej, ładnej cerkwi. Konie dostały siana a woźnice ukryli się gdzieś przed zimnem. Zimowy, ponury dzień dobiegał końca, a my niecierpliwie czekali, co będzie dalej.

dalej. Mro ny, suchy nieg pokrywał białym całunem ludzi i ich baga e. Było tak zimno, e a robiło si słabo i sennie.

Ojciec poszedł szuka jakiego ratunku, ale nie uszedł za daleko. Na ka dym rogu stała milicja, byli my wi c pod stał obserwacj naszych "opiekunów". eby było mieszniej, sprawdzali dokumenty, których nikt nie miał. Jeszcze w domu paszporty-dowody osobiste były odebrane. Na tłumaczenie, e zamarzniemy na niegu i mrozie milicjanci odpowiadali szyderczym i zło liwym miechem.

Przypadkowi przechodnie doradzili by my poszli do cerkwi. Skorzystali my z tej rady. Kiedy ci kie cerkiewne drzwi zamkn ły si za nami z łoskotem ogarn ło mnie przera enie. Było tam pełno gryz cego oczy dymu. Czaiło si nowe niebezpiecze stwo. Czy by pułapka? Mo e to tutaj nast pi koniec? Cofn łam si , zostawiłam rodziców, chciałam ucieka , ale nie potrafiłam otworzy ci kich drzwi. Zesztywniałe na mrozie r ce były nieposłuszne.

Gdy oczy przyzwyczały si do ciemno ci, zobaczyłam ludzi siedz cych wokół płon cego ogniska. O Bo e! do czego to doszło! W cerkwi płon ło ognisko! I chocia dym uchodził przez cz ciowo powybijane szyby, to oczy bardzo łzawiły i czułam nieprzyjemn gorycz w ustach. Buzuj ce ciepło ogniska jednak n ciło. Babcia wyci gaj c r ce nad ogniskiem, grzała si i prosiła Boga o wybaczenie, przecie jeste my tylko lud mi.

Pó n noc zjawili si milicjanci i kazali ludziom, którzy tu byli przed nami, wychodzi z cerkwi. Oni równie byli zesła cami – Niemcy nadwoł a scy. Ich zabrano i my teraz zaj li my miejsce przy ognisku. Była to straszna noc, najgorsza od chwili opuszczenia domu.

Przez powybijane okna wpadało mro ne powietrze wraz z gwiazdkami niegu. Zesztywnieli my z zimna, zwłaszcza, e sko czył si opał. Nareszcie nadszedł upragniony ranek, ale i on nie polepszył beznadziejnej sytuacji.

Mamie udało si kupi kawałek chleba. Miejscowa ludno nazywała go szerscianym. To był dziwny, j czmienny chleb pieczony razem z plewami, które kłuły jak sier dzikiego zwierza. Oprócz chleba nic wi cej nie sprzedawano. Ludzie tamtejsi byli nadzwyczaj dobrzy. Starali si jako pomaga i ul y naszej niedoli. Z pobliskiej olejarni dostali my wiadro wrz tku.

Gdzie około południa znowu byli my na saniach. Jechali my dalej w nieznanie gł bokim jarem, po obu stronach którego wznosiły si kredowe góry. U podnó a gór szumiały na wietrze zeschłe trzciny i wysoka błotna trawa. Po kilku godzinach wyjechali my na otwart przestrze . Tu wiatr przenikał a do ko ci. Krótki zimowy dzie chował si za górami.

Aby rozgrzać się trochę, biegłam przy saniach a do zmęczenia. Biegli również rodzice. Jedynie babcia nie miała już sił na rozgrzewkę. Zmęczone, obolałe nogi odmawiały już posłuszeństwa. Nie skarżyła się i nie narzekała, taka była zawsze. Po wyrazie jej smutnych oczu i pobladłej twarzy wiedziałam, że cierpi, ale jak mogłam ulżyć jej cierpieniu? Sama moja litość i miłość nie wystarczały.

W czasie tej podróży odmroziła palce obu nóg. Już do końca życia odczuwała tego skutki. Przy najmniejszym ochłodzeniu palce puchły i czerwieniały. Nareszcie późną noc dotarliśmy na miejsce przeznaczone dla nas.

Naszym oczom ukazała się nieduża, tonąca w ciemnościach wieś. Sanie sunęły długą, całkowicie pustą ulicą. Po jej obu stronach majaczyły niskie, ciemne i ponure chatynki, w przeważającej części puste, bez okien i drzwi. Mijaliśmy je jednak, a znaleźliśmy się na końcu wsi.

Dalej była już tylko pusta ciemna przestrzeń.

---

### 7.3 – Nowy “dom”

---

W oddali stał biały jak duch pałacyk, siedziba dawnych panów. Stał samotnie i biel swój rozjaśniał ponury mrok nocy. Cały ten widok, na tle granatowego nieba był jak przerażający, co-upiorny krajobraz z zawałów wiatów.

Baliśmy się bardzo. Zdawało mi się, że jakieś nieziemskie siły zawiozły nas wprost do piekła. Mimo strachu i zmęczenia pod wiadomie czekałam na odrobinę ciepła i odpoczynku, ba, nawet marzyłam o umyciu się. Przecież tyle tygodni nie widzieliśmy ani wody, ani mydła. Niestety pozostało to tylko w sferze marzeń.

Piękny pałacyk, z balkonem i kolumnienkami okazał się kompletną ruiną. Tam gdzie kiedyś znajdowały się okna i drzwi były jedynie postrzępione, sypące tynk otwory, w których gwizdał wiatr.

- To jest wasze mieszkanie – powiedział milicjant – Tu zostaniecie na zawsze wy polskie szczury!  
A więc i tutaj trzeba znosić obelgi.

Długim korytarzem dzielącym pokoje bez drzwi, prowadził nas milicjant do naszego „lokum”. W nim były jeszcze drzwi, ale nie było okien. Podłogi również nie było, a na piasek przez otwory okienne nawiał wiatr. W rogu pokoju, przy drzwiach, stał biały kaflowy piec, jakim cudem ocalały. Brakowało w nim jedynie drzwiczek. Był nawet opał. Na podwórzu przed gankiem leżała sterta słonecznikowych łodyg, przysypana śniegiem. To nie

był przypadek. Na rozkaz władz to miejsce szykowano dla kogoś, może dla nas?

Tak więc wyglądała nasza nowa przystańcyowa. Jak mamy żyć w tych warunkach, gdzie się ogrzejemy? Wszystkie trzy załazyłyśmy się łzami. Ojciec, wieczny optymista, pocieszał, że lepsze nawet takie życie niż śmierć, jeszcze na razie żyjemy.

Gdy milicjanci odeszli zjawiała się natychmiast miejscowa ludność. Mimo nocy i chłodu przyszli zobaczyć, kogo tu przywieźli. A więc jednak mieszkał ktoś w tej wiosce. Byli to bardzo biedni ludzie, przeważnie kobiety. Ich ubrania składały się ze starych, brudnych kufajek. Podarty i poprzecierany materiał tworzył podłogę z pasów-wstążek, które powiewały na wietrze niczym indiańskie ozdoby. Oni przeżyli niejedną biedę, niejedną głód i a więc nadto dobrze znali gorzki smak życia, dlatego byli współczujący i życzliwi.

Wszyscy zostaliśmy przyjęci pod ich skromny i ubogi dach i dostaliśmy po garnuszku gorzej wody. Spałam bardzo długo w chatce na sianie, odsypiałam całą noc podróż. W tym czasie nasze lokum zostało wysprzątane. Rodzice wyrzucili śmieć, okna zostały zasłonięte trzcinami, których było tu pod dostatkiem, a w kącie leżała sterta ostrej, błotnej trawy. To była nasza podłoga i ochrona przed zimnem.

W piecu paliło się bez przerwy, ale ciepła w tym pomieszczeniu nie było. Pozatykane sianem i trzcinami okna nie przepuszczały nawet najmniejszego promyczka światła. Panowała ciemność i było jak w grobie. Świeczki lub lampy naftowej nie można było ani kupić, ani pozyskać. Jedynym źródłem wietlenia był płonący piec, który rzucał migoczące światło na ponure wnętrza pokoju. Jak będziemy żyć, co będzie jutro?

Codzienny, bardzo skromny posiłek gotowała mama, na dwóch cegiełkach. Niebawem zabrakło pieniędzy na chleb i kaszę, a to było nasze podstawowe pożywienie. Czy byśmy zostali wywiezieni z rodzinnych stron tylko po to, by tutaj zginąć z zimna i głodu? Dlaczego i po co? W roku 1933 wyginęli tu prawie wszyscy, jedynie kilka rodzin gnieździło się w czworakach obok pałacu. Wioska była wyludniona. To była Ukraina, głód zrobił swoje. Polacy i Ukraińcy to, zdawało się, dwie najbardziej znienawidzone nacje. Nie oszczędzano nas, traktowano, ale my mimo wszystko jeszcze żyliśmy.

Bardzo szybko zaprzyjaźniliśmy się z miejscową ludnością. Ojciec reperował im obuwie – starym zwyczajem, ze starych robił nowe, a oni coś nieco płacili, trochę za usługę, a trochę z łitości. Inaczej niechybnie zginęlibyśmy z głodu.

Była tam również „rodzina”, składająca się z przygarbionego, starszego pana i kobiety. Do nich chodziłam bardzo często, aby się umyć i trochę

pogrza nogi. Kobięcina imieniem Dunia opowiadała o swoim życiu. Kiedy była nawet szczęśliwa i wesoła, ale w latach przymusowej kolektywizacji, tak niedawno temu, straciła wszystko. Razem z matką, ojcem i dwójką dzieci zostali wywłaszczeni i pozbawieni środków do życia. Nadszedł głód, który nie oszczędzał nikogo, więc dzieci musiały umrzeć.

Po śmierci córek matka Duni poszedł w świat. Może był to odruch rozpacz, a może ucieczka przed śmiercią. Od tego czasu minęły już dwa lata, a on nie dawał znaku życia. Na pewno zginął jak wielu innych. Biedna, nieszczęśliwa kobieta wciąż popłakiwała i czekała na powrót matki. Na życie zarabiała pracując razem ze swoim ojcem w nowym kółchozie. Było tam kilka krów, które ocalały i dwie czy trzy pary koni. Te właśnie konie przywoziły nas z miasteczka.

Dla nas pracy już nie było, szczególnie w porze zimowej. Dunia pracowała jako dojarka i czasem udawało jej się przemyć szklankę mleka. Miała tak płaską, fikuśną butelkę, którą mogła bardzo łatwo schować. Podziwiałam pomysłowość, pracowitość i spryt Duni.

Mimo, że chatka była mała, jednoizbowa, to było w niej bardzo czysto. Na ścianach wisiały wycinanki z gazet. Półki do naczyń kuchennych ozdobione były papierowymi serwetkami, obrus na stole też był gazetowy. Chatka Duni miała jeszcze tę jedną zaletę, że zaraz obok niej znajdowała się studnia (nasz pałac takiego luksusu nie posiadał). Może kiedyś istniało ujęcie wody, ale zostało zniszczone. Nosili my więc wodę z daleka, albo po prostu topili mydło.

---

## 7.4 – Szukajcie szkoły

---

Po kilku dniach pobytu w wiosce powstał jeszcze jeden problem. Otóż musiałam koniecznie chodzić do szkoły. „Prikazu” władz nie można było zignorować, bo groziły kary wraz z pozbawieniem rodziców praw rodzicielskich. I znowu sytuacja bez wyjścia, bo w promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie było żadnej szkoły.

Chodziłam po wsi i szukałam pomieszczenia, które choć trochę przypominałyby szkołę. Nic takiego nie znalazłam. Wieś była dużym cmentarzyskiem. W zniszczonych chatkach hulał wiatr i zrywał resztki poszycia z dachów. Czułam, że grozi mi powrót do domu, czyli przytułku dla dzieci, ale nawet nie bałam się. Po tym wszystkim co przeżyłam nic już nie mogło mnie przestraszyć.

Rodzice jednak postanowili szukać ratunku, nie tylko dla mnie, ale i dla całej rodziny, ponieważ znowu groziła nam śmierć z głodu i zimna. Do późnej nocy szeptali, naradzali się co czynić i jak się ratować.



Nazajutrz wczesnym rankiem, razem z ojcem podążaliśmy do miasteczka szukać szkoły i pracy. Brnęliśmy w głąb białym niegus przez zasypy i wyboje. Od wszechogarniającej bieli aksamitu oczy bolały. Zmęczeni czyli my się okropnie, ale jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu dotarliśmy do miasteczka. Nie zabłądzili my. Góry były nam drogowskazem. Na horyzoncie ukazała się ciemna, ponura miedzińca – Troickoje.

Oglądane po raz drugi wydawało się bardziej podobne do wsi, niż do miasta. Jedynie cerkiew i komin fabryki oleju górowały nad domami, ale tutaj było życie – ludzie na ulicach, dym z kominów, gwar. Jakaś otucha wstąpiła w nasze serca.

Ale oprócz nadziei nie mieliśmy nic. Wczesny zimowy zmrok zapadał bardzo szybko, a mroźny wiatr przeszywał ciało na wskroś. Marzyłam o odpoczynku i szklance gorącej wody. Bałam się nadchodzącej nocy. Nawet nasze nowe mieszkanie (na wsi), bez okien, było jakimś schronieniem, bo tutaj byliśmy na ulicy, nikomu nieznanymi, niepotrzebnymi i obcymi.

Ojciec milczał. Szliśmy pustymi ulicami, gniejąc się wzdłuż torów kolejowych. Kierowali nas na dworzec. Tu dostaliśmy po szklance wrzątku. Bardzo brudna, za miecioną siemieczkami (słonecznikiem), mroczna i zadymiona poczekalnia była przepiętna. Ludzie czekający na jakieś pociągi, albo po prostu bezdomni ogrzali ten przybytek nędzą. Z trudem znaleźliśmy skrawek wolnego miejsca na posadzce, pod ścianą.

Zmęczona i głodna drzemałam. Ojciec również miał oczy zamknięte, ale czy spał? Właściwie to usnąć tutaj było niemożliwe, ponieważ czarny, obrobiony tytuł, w wywiechanej kufajce chodził między podróżnymi i lagier szturczał piętami. Nie wiem po co on to robił i dlaczego w Związku Radzieckim na każdej, nawet najmniejszej stacji, tak postępowano.

Rano odszukaliśmy szkołę, która mieściła się w centrum miasteczka. Przyjęcie mnie w poczet uczniów odbyło się bardzo szybko, bez kłopotów. W następnym dniu już mogłam zacząć naukę. Największym problemem było znalezienie dla mnie jakiegoś mieszkania, jakiegoś kątka przy rodzinie.

Chodzenie od domu do domu na nic się zdało. Ostatni desk ratunku był dom Rajispolkomu (rejonowy komitet wykonawczy). Może władza nam coś doradzi? Przecież oni decydują o wszystkim. Z duszą na ramieniu przekroczyliśmy próg tego państwowego urzędu, o którym zawsze baliśmy się nawet my sami.

Urzednicy zaskoczeni byli naszymi wizytami. Ojciec bardzo szybko opowiedział o co nam chodzi, ale nie potrafiono nam nic doradzić. Wyszliśmy więc z urzędu zmęczeni, zrezygnowani, z zamiarem natychmiastowego powrotu na wieś. Szliśmy rodzkiem jezdni, bo chodniki tonęły w niegu. Tylko gdzie

niegdzie widziałam lady przy wejściach do domów. Nikt nie sprzątał i nie odrzucał śmieci. Nadejdzie wiosna, to sam stopnieje.

Nagle za nami rozległ się krzyk!

- Hej wy, Polaczki wracajcie, rozkazuję wam natychmiast wracać!

Struchlałam, a wszystka krew uciekła mi do serca. Stałam jak wryta i patrzyłam na ojca. Wydawał się być spokojny, ale też zastygł w miejscu. Milicjant wciąż wzywał nas do powrotu. W końcu zniecierpliwiony sam podszedł do nas.

Był zirytowany naszym nieposłuszeństwem. Chwycił ojca za rękaw i pociągnął za sobą, a on odwrócił się jeszcze i powiedział tylko:

- egnaj!

Wciąż stałam w miejscu i miałam wrażenie, że nogi przymarzły mi do śmieci. To moja wina – myślałam – To dla mnie weszli my w sam paszczę wilka. To znaczy, że nie uniknę domu dziecka. Gdyby nie ja, rodziców nie byłoby tutaj, uciekliby na koniec świata.

Czułam się winna. Jak z tym być? Co powiem mamie i babci? Nie, ja do domu nie wrócę. Pójdę do władzy i powiem, niech mnie również zamkną razem z ojcem. I o dziwo nogi zrobiły się znowu posłuszne. Szłam szybko do urzędu.

---

## 7.5 – Nowa zabawka

---

Już miałam chwycić za klamkę, gdy nagle drzwi otworzyły się. Zobaczyłam ojca w towarzystwie ołdaka, który kilkanaście minut temu, w brutalny sposób zaciągnął go do biura. Ojciec po swoim wesole mrugnął i uśmiechnął się. Zrozumiałam, że na razie nic mu nie grozi. Uspokoiliłam się i czekałam.

Za chwilę wiedziałam już, że mój problem mieszkaniowy został rozwiązany. Otóż jeden z dygnitarzy przyjmie mnie do swojego domu, w którym będzie miała dostęp do nauki i miejsce do spania. Zapłaty od ojca nie będą dane, dlatego, że miałam się opiekować dwójkiem dzieci – bliźniaków. To były warunki o jakich nam się nawet nie śniło. Byli my przecież bez grosza, a ja żadnej pracy się nie bałam.

Byłam jednak ostrożna. Milicjant zaprowadził nas do nowego drewnianego domu, różniąc się od innych schludnością i rozmiarem. Przywitała nas młoda jeszcze kobieta, ubrana w kwiecisty podomki. Pierwszą jej czynnością było, bardzo upokarzająco dla mnie, sprawdzenie czy aby nie jestem zawszona. Na moje szczęście, dzięki Duni, byłam względnie czysta,

choć po ciężkiej podróży i warunkach mieszkaniowych mogło być inaczej.

Do „domu” już nie wróciłam. Ojciec kupił jeszcze trochę żywności, oddał ostatnie kopiejki jakie miał i rozstali się. Po raz pierwszy zostałam całkiem sama wśród obcych ludzi. Z początku nie miałam czasu zastanawiać się nad swoją sytuacją. Oglądałam i podziwiałam duże mieszkanie. We wszystkich pokojach ściany pokryte były wzorzystymi kilimami.

W jednym z pokoi dostałam mały kącik do spania i nauki. To był właśnie pokój bliźniaków, moich przyszłych podopiecznych. Od razu przekonałam się, że dzieci dadzą mi porządnie szkołę. Jakimi szpilkami, czy mołotami, kłuły mnie gdzie popadło.

Moja mimowolna obrona, cofanie się pod ścianę, zasłanianie rękoma wywoływało u dzieci, a szczególnie u mamy, wesołość i zadowolenie. Była ona wyraźnie dumna ze swoich pociech. Cała trójka wybornie bawiła się moją bezbronnością. I tak już pozostało. Codziennie odbywały się takie zabawy, a dzieci miały ciągle jakieś nowe pomysły. W jednym dniu było szczypanie, w drugim gryzienie lub kopanie. Miałam wrażenie, że dzieci były przez kogoś szkolone, bo kopniaki zawsze trafiały w bolesne miejsca, w kostkę, w kolano.

Ojciec dzieci, oficer służby bezpieczeństwa, był nawet dobry. Czasami, gdy już nie wytrzymałam i bliska byłam płaczu, bronił mnie przerywając wesołe zabawy z czego mama nie była zadowolona. Mimo to ojciec bardzo się bał. Uprzejmy i sztucznie serdeczny rozmawiał ze mną tak jakbym była przesłuchiwana. Przypuszczam, że on nie umiał inaczej rozmawiać, ze względu na swoją funkcję w milicji.

Książki i zeszyty kupione za ostatnie kopiejki chowałam w drewnianej skrzyni. Na razie dzieci tam nie chodziły. Wyżyłam się już czmiennym chlebem, herbatą i odciętym mlekiem. Nie miałam określonych porcji posiłków. Jadłam wtedy, gdy zdołałam coś kupić lub jeżeli ojciec mi coś przyniósł. Czasami w jadłodajni udawało się kupić rosolniku lub krupniku, który smakował mi bardzo, ale nie zdarzało się to często.

Najgorsze były ciągłe upokorzenia i tortury. Ona nigdy mnie nie opuszczała. Była ze mną wszędzie: w szkole, na ulicy, a nawet w domu. Często zastanawiałam się, dlaczego w czasie głodu w 1933 roku tak kurczowo trzymałam się życia. Znowu przecie głodowałam i na dodatek nie byłam „kimś” tylko „czymś”, byłam zabawką dla małych urwisów, a do obrony nie miałam prawa. Jeżeli życie pozostanie takim na zawsze, to czy warto w ogóle żyć?

Pewnego razu przechodząc bez celu ulicami znalazłam się obok niestrzeżonego przejazdu kolejowego. Nadchodził długi, długi pociąg towarowy. Myślałam

bardzo szybko – moje życie wydawało się całkiem bezsensowne i niepotrzebne. W jednej chwili przestałam być wiecznie głodna, już nie biegałam dla bliźniaków, a w szkole przestałam być upokarzana z powodu ogromnych zaległości w nauce i wreszcie przestałam się bać przytułku dla sierot.

W miarę zbliżania się pociągu odczuwałam coraz większe drżenie ziemi pod stopami, ogłuszał mnie huk. Nagle w ostatniej chwili ogarnął mnie lęk. Jakiś mimowolny impuls, instynkt samozachowawczy, kazał mi się cofnąć. Znajdowałam się tu przy pędzących wagonach, bardzo blisko turkoczących kół. Pęd powietrza przewrócił mnie na boki.

Po chwili ocknęłam się. Przy mnie stali ludzie, a pociąg już nie było. - Jak mogła być taka nieostrożna. Miała szczęście, że żyjesz! – słyszałam karcące głosy.

Wstałam i bez słowa odeszłam zawstydzona swoim postępkami. Od tej chwili nawet w najcięższych chwilach nie wróciła do mnie myśl o samobójstwie.

Pewnego razu nie mogłam już dłużej znieść znania się nad mną malców, rozplakałam się i wyszłam z mieszkania. Od tego czasu na kwatery wracałam już tylko na noc.

Lekcje odrabiałam w wietlicy. Zaprzyjaźniłam się z dziećmi, z którymi przebywałam wszystkie wolne chwile. Kiedy wietlica zamykana, szłam na dworzec kolejowy, siadałam przy oknie i czytałam aż do zmierzchu. Tak płynął wolnym nurtem dzień za dniem.

---

## 8.1 – Wiosenna odwil

---

Nadchodziła szara, późna wiosna roku 1936. Byłam już prawie dorosła, miałam piętnaście lat. U nas wiosna szła w ród zieleni, ze śpiewem ptactwa, kumkaniem ślabek, tutaj – była szara i smutna. Ludzie równie szarzy, brudni, przygnębieni jakby nie dostrzegali nadejścia najpiękniejszej pory roku.

Moje życie poprawiło się również. Ojciec jak zwykle troskliwy i zaradny przeniósł się ze wsi do miasteczka. Pracował w arteli szewskiej, wynajmował dla siebie kucyk przy rodzinie. Mnie również przyjeźli przyjaciele i dobrzy ludzie. Było w tym domu ciasno i biednie, ale swojsko. Proszę mi wierzyć, że tak skromnych, wrażliwych ludzi nie spotykało się często; może dlatego tak masowo umierali w 1933 roku. Ufaliłi demu, z każdym dzielili się najmniejszym kawałeczkiem chleba, a następnego dnia sami umierali z głodu. Taka niestety jest sprawiedliwość. I słusznie, że ma zawiązać oczy.

Wkrótce okazało się, że usilne pisanie listów dało efekty. Jakiś niezauważony przez cenzora list dotarł do adresata, i z rodzinnych stron nadeszła dość spora paczka z cebulami. To pospolite, rozpowszechnione warzywo, dla nas było rarytasem i lekarstwem. Wszyscy podziwiali dorodny kształt i aromat pomarańczowych kul. I chociaż paczka wydawała się duża, to jednak była zbyt mała, bowiem trzeba było podzielić się tymi pysznościami z ludźmi. Przecież oni także dzielili się z nami wszystkim, co posiadali, a nie było tego wiele.

Czekaliśmy na wiosnę z tą skotnicą, ale ona nie przynosiła nic dobrego. Śnieg topniał i odsłaniał szary wyboisty drogocinek, w której potworzyły się kałuże, wypełnione kredową mazią. Zamoczone w niej obuwie robiło się całkiem białe.

Wśród tego smutnego krajobrazu znowu trzeba było coś wymyślić, aby się ratować. Rodzice usilnie poszukiwali mieszkania dla całej rodziny. Na wsi chaty stały puste, ale tu w miasteczku nie, więc było to zadanie trudne. Ojciec ze swoim zawodem stał się bardzo popularny. On zresztą miał kilka fachów. Znał się doskonale na stolarce, pracował również jako cieśla, murarz, tynkarz. Po prostu złota rączka.

Zawsze go podziwiałam, nie tylko za wszechstronne zdolności, ale za dobre serce i wieczny optymizm. Śmiecie rzucało mu tyle kłód pod nogi, że jego zdolności nie były wykorzystywane.

Najpraktyczniejszym okazał się zawód szewca. Wykonywane przez ojca obuwie podobało się miejscowym elegantkom i elicie rzemieślniczej. Był kamasznikiem i szewcem. Naprawdę starał się i wyczarowywał najrozmaitsze fasony. Pracy miał bardzo dużo. Miejscowi szewcy byli tak mierni, że ojciec nie mógł za wiele liczyć na ich pomoc.

Po surowiec trzeba było jechać do większego miasta. Ojciec jako fachowiec był delegowany po takie zakupy do Doniecka, a nawet do Charkowa. To podsunęło mi myśl, by upomnieć się o dowód osobisty, który w takich podróżach był nieodzowny.

I udało się! Były trudności i sprzeciw, ale w końcu władze zmuszone zostały potrzebą i koniecznością, by uczynić zadość prośbie ojca. I co ciekawe, ojciec potrafił wzbudzić zaufanie towarzyszy. Myślę, że to humor, talent do rozmieszania, bo on umiał żartować, opowiadał dowcipy. Ta umiejętność wielokrotnie ratowała go z opresji.

W krótkim czasie najprawdźszy dowód, na kilkuletni okres, stał się własnością ojca. I tak w beznadziejnej sytuacji promyczek szczęścia rozjaśnił mrok. Nawet mieszkanie dla całej rodziny się znalazło. Tak jakby tylko czekało na nas.

Na skraju miasteczka, nie wiadomo dlaczego, stała zapomniana przez wszystkich chatka. Ale ojciec z Bosk pomoc potrafił skleci drzwi z różnych klinów i deseczek. Jak e mieszne były te drzwi – różnokolorowe, wypukło-wkl sę współczesne dzieło sztuki.

Kredy i gliny mieli my pod dostatkiem, dlatego ciany połatali my grubymi kawałkami kredy, a po wygładzeniu pomalowali my kilkakrotnie na biało. Mieszkanie stało jasne i gotowe. To nic, e małe. Po tylu miesiącach przebywania w ruinach pałacu ta mała chatynka wydawała się cudownym azylem i przytułkiem.

Nie było w niej drewnianej podłogi, lecz klepisko z udeptanej gliny. Takie podłogi były tutaj w wielu chatach, nawet w miasteczku. Co sobot gospodynie „od wie ały” je krowim nawozem, który pełnił rolę farby. Nawóz krowi był bardzo ceniony, bowiem krów było tu niewiele.

Nareszcie byli my razem, a ja miałam swój ukochany babci – opiekunkę i powierniczkę. Mama również znalazła pracę, jako sprzedawczyni w fabryce oleju. Biedna mama, nie miała zawodu i nie była taka zdolna jak ojciec. Musiała więc zawsze pracować ciężko, a zarabiała tyle co kot napłakał. Mimo to była zadowolona, bo nawet na to „stanowisko” chętnych nie brakowało. Miała również przydział oleju, co nie było obojętne.

Po kilku miesiącach chłodu, głodu, upokorzeń i rozpaczycy wszystko z nadzieją wiosny i lata zmieniło się na lepsze. Jak małe były nasze wymagania i jak bardzo potrafili my się cieszyć z byle czego. Znowu podnosimy głowy i z ufnością spoglądamy w przyszłość. Na jak długo?

Wiosna, kochana wiosna wynagradzała zimową niedolę. Nawet stanie w kolejkach po chleb przestało być takim uciążliwym. We własnej, małej chatynce zrobiło się wesoło. Dzięki pomysłowości ojca mieli my nawet nieduży „stół”, zbity ze starych desek. Przykryty gazetami służył do wszystkiego. Teraz jadali my przy stole, odrabiałam lekcje przy stole, pisałam listy przy stole... Wąwny to był mebel.

Mnóstwo listów wysyłałam co tydzień, a odpowiedzi nie było. Byli my odizolowani od ludzi i świata, ale jeszcze żyli my i to się tylko liczyło. Nareszcie nadszedł długo oczekiwany list z Płoskirowa. „Kamienny mur” jednak miał gdzieś małe punkty, przez które przeleciała do nas smutna wiadomość. Może dlatego doszedł, bo był bardzo tragiczny.

Dowiedzieli my się, że trzech braci ojca zostali wywiezieni do Kazachstanu. Serce mi mówiło, że kuzyna Stasia, z którą uczyłam się po polsku, z którą czytałam polskie książki, już nigdy nie zobaczę. To przeczucie było prorocze. Staszek przeżył następny głód i chłód na stepach Kazachstanu. Głównym zło było jednak jako żołnierz Armii Czerwonej w obronie „Ojczyzny” i batuszki Stalina. Zginął tu, w Polsce, przy forsowaniu Odry.

Kto jeszcze został w ojczystej wsi? Kogo zły los jeszcze oszczędził? To były pytania, na które nikt nie znał odpowiedzi. Nasza rodzina, wbrew wszystkim przeciwno ciom losu, odzyskiwała poczucie człowieczeństwa. Było nam teraz znacznie lepiej. Cieszył się malutki własny kocioł, cieszyły się białe ściany, cieszyła podłoga pomalowana krowim nawozem.

Ojciec z każdym podróży przywoził coś potrzebnego do domu. W Charkowie na bazarze kupowało się przedmioty wiadomego pochodzenia. To kułacy byli ich posiadaczami. W naszym domu pojawiło się kilka porcelanowych talerzy, kilka filiżanek. Na półeczce przykrytej serwetką z gazety ozdobił ubogi izdebek. Jedzenie i picie z tych naczyń smakowało inaczej.

Przypominały się dawne dobre czasy.

---

## 8.2 – Kolejna ucieczka

---

Nasz „dobrobyt” nie podobał się miejscowym władzom. Również tamtejsza ludność nam zazdrościła. Ojciec czasem protestował, ale mogli nas drugi raz rozkułaczyć. Władza jednak nie mogła dopuścić do tego, by zesłany czuli się ludźmi. Nie podobało się również to, że tak szybko wstajemy z klęczek – przecież byliśmy Polakami, narodem napiętnowanym, byliśmy wrogami ludu i władzy radzieckiej.

- Trzeba uciekać, gdzie oczy poniosą, i to szybko – mówił ojciec. – Zgubi się gdzie daleko, w takim miejscu, by nas nikt nie znalazł. Rosja jest ogromna, znajdzie się dla nas miejsce spokojne i bezpieczne – twierdził uparcie.

Jeszcze się łudził, miał nadzieję. A może oszukiwał się, by nas pocieszyć? Wiadomo przecież było, że Rosja to jeden wielki obóz niewolniczy, potężny gułag. Każde zakątek, każde skrawek ziemi podlegał kontroli. Wszędzie: w tajdze, tundrze, na bezkresnych stepach Kazachstanu, a nawet na dalekiej północy – Ziemi Franciszka Józefa i innych wyspach podbiegunowych leżała kosmaty rękawic towarzysza Stalina.

Tak więc tata obejrzał jeszcze naszą chatynkę, naprawił, co się dało i za kilka dni, niekontrolowany, wyjechał jak wolny człowiek, bo miał przecież dowód osobisty. Dopiero po paru dniach wyszło na jaw, że porzucił pracę i rodzinę. Mama starała się przekonać naczalstwo, że uciekł do kochanki. Nie wiadomo – uwierzono jej, czy nie.

Mijało upalne lato a od ojca nie było żadnej wiadomości. Niewielkie oszczędności szybko topniały; mama często popłakiwała i chyba w końcu sama uwierzyła, że zostałyśmy porzucone.

Na polach kołchozowych dojrzewały słoneczniki – były one tam podstawową rośliną uprawną. Zboża na kredowych polach nie udawały się zupełnie. Na małych działkach przydomowych sadzono nawet ziemniaki, ale urodzaj był gorzej niż mizerny. Jeszcze w grudzie dobrze rodziły się kawony i melony. Kiedy już matka zaczęła pracować w kołchozie. Uczestniczyłam w słonecznikowych zbiorach, później przy zbiorze kawonów, melonów, i tak aż do późnej jesieni.

Zaczęły się przygotowania do zimy a ojciec wciąż milczał. Wsuszone na słońcu i wietrze łodygi słonecznikowe miały nam służyć jako opał, a popiół jako rodek piorunowy. Zresztą wszyscy go tutaj używali zamiast mydła i proszku, to ta bielizna wyglądała jak szare szmaty. Z nadejściem jesieni życie stawało się koszmarem. Zeszły zimy, przeważnie nie mówili, wciąż uciekali. Pojmanych bez skrępowań rozstrzeliwano, ale to nie odstraszало odwodnych.

Pewnego jesiennego wieczoru zjawiała się w naszej chatce Dunia, siostrzyczka i przyjaciółka ze wsi. Była chora i podróż wyczerpała ją bardzo. Wciąż milczała, dopiero gdy nasyciła głód gorącą zupą i napiła się miętowej herbaty, jej język się rozwinął.

Wyjęła z kieszeni wymięty, sfatygowany list. Na pewno długo go nosiła nie wiedząc, co z nim począć – czy go oddać władzom, czy nam? Jednak nad strachem przeważała dobroć. Przyniosła nam list od ojca, mimo swojej choroby. Co to była za radość, jakie wielkie szczęście! Ojciec żyje i nie zapomniał o nas! Cieszyłyśmy się ogromnie.

Dunia przez łzy, które spływały po jej policzkach, błado uśmiechała się do nas. Nie uczestniczyła w naszej radości – jej mąż nie napisał, nie powrócił. A jedyny mężczyzna w domu, dziadek, zmarł latem. Została sama jak palec. Byłyśmy jej wdzięczne za poświęcenie i odwagę, ale nas nie zdradziła i nie oddała listu naczałstwu, choć wiedziała, jakie niebezpieczeństwo jej grozi. Zamieszkała więc u nas i poszukiwała pracy w miasteczku.

Ojciec pisał, że jest w Połtawie, wynajął mieszkanie i pracuje w swoim zawodzie. Bardzo prosił, żeby babcia do niego przyjechała. Znowu odetchnęłyśmy pełną piersią, powróciła nadzieja i wiara w Opatrzność.

Babcia uradowana szykowała się do podróży. Zaczęła chodzić po sklepach i poszukiwanie jakiegoś miłego obuwia na jej chore nogi. W sklepach jak zwykle były pustki. Zamiast zimowych butów pojawiły się złociste sandały letnie, szyte z szat liturgicznych. Głównie przetykane srebrnymi i złotymi nitkami błyszcząły na półkach i rozjaśniały ponure wnętrza.

Po długich tygodniach stania w kolejkach, wyczekiwania na jakiś towar, szczęście uśmiechnęło się do ludzi. Nadeszła niewielka ilość towaru, ale



mama stała blisko lady, więc kalosze dostała. To była podstawa, bo babcia miała mi kielbki walonki uszyte przez ojca ze starej kufajki. Jedno zmartwienie miałyśmy z głowy.

Drugim, w mniejszym problemem była sama podróż. Przecież babcia nie potrafiła mówić po rosyjsku. Wszystko rozumiała, potrafiła nawet czytać, ale nie wymówiła jednego rosyjskiego słowa. Miała do tej mowy straszne uprzedzenie. Nie potrafiliśmy jej przekonać, że mówić po rosyjsku miałyby łatwiejsze życie. Lecz babcia nawet tutaj, na zesłaniu, podczas zakupów czy rozmowy z tutejszym ludem wciąż zawsze była Polką. I była z tego bardzo dumna.

Jechała jednak chciała. Pierwszy raz samotnie wybierała się w podróż, ale była wesoła i dobrej myśli. Wszystko zakochała się w szczytliwie. Nasza dzielna babcia bez szwanku dotarła na miejsce.

Zostałyśmy z mamą w dwójkę w naszej chałupinie, którą cieszyłyśmy się latem, a która teraz nie zdawała egzaminu. Jesienne deszcze i słoty przemoczyły ściany. Od wilgoci potworzyły się na nich czarne plamy pleśni. Palenie łądogami ze słonecznika nie bardzo pomagało. Zapowiadała się więc już druga pod rząd ciemna zima.

Kiedy nadeszły mrozy ściany naszej chatki pokryły się grubym szronem. Mieszkałyśmy jak w nieogrzewanym, eskimoskim domku. Było nam bardzo zimno i ciemno. Wzrostło i woda zamarzała jak na dworze. W nocy tuliłyśmy się do siebie i ogrzewałyśmy własnymi ciałami. Zostało tylko wspomnienie gorącego lata. Dunia również nas opuściła, w swojej chatce miała ciepło.

---

### 8.3 – Mijała wymarła wieś

---

Gdzieś w środku zimy nadeszła wiadomość od ojca, wzywał nas do siebie. Trzeba natychmiast jechać do Połtawy, pod podany adres. To dzięki Duni, która przynosiła nam te radosne wiadomości. A radość nasza była ogromna. Pomału zaczęłyśmy się szykować do podróży.

Trzeba było się jako zabezpieczyć, zrobić małe zapasy żywności, a to nie należało do łatwych. Sklepy wieciły pustkami, ale co tam kupiłyśmy. Czekaliśmy na niebezpieczną podróż. Trzeba przemierzyć kawał drogi pieszo, by wyjść ze strzeżonego dnia i nocą obszar – ze strefy zeszłości.

Mama wzięła w fabryce kilka dni urlopu, celem zmylenia czujności, by natychmiast nas nie poszukiwano. W ciągu tych paru dni uciekłybyśmy trochę i może nawet uniknęłybyśmy po cegu. Została nam jeszcze doba. Musimy zdecydować – uciekać czy zostać?

W razie wpadki mama natychmiast zginie. Ciarki przeszły mi po plecach. A ja? Ja, jako nieletnia byłam w lepszym położeniu. Na razie b d ła, ale pa stwo odpowiednio zaopiekuje si mn – groziłby mi poprawczak, czyli wi zienie dla nieletnich. To ju lepsza natychmiastowa mier .

Rozmawiały my ca noc i stan ło na tym, e zaryzykujemy. Mo e si uda? Dopiero nad ranem zmorzył mnie niespokojny sen, a mama w ogóle nie zmrugała oczu. Gdy si obudziłam było ju pó ne popołudnie, a nasze skromniutkie baga e zostały spakowane. Na dworze co si zmieniło. nieg był mi kki i nie skrzypiał pod nogami, a szron na cianach skurczył si i był ciemniejszy, wilgotny. Przyszła chwilowa odwil .

Korzystaj c z ładniejszej aury, wyruszyły my. Jeszcze tylko krótka modlitwa, bolesny skurcz serca i wyruszamy w nieznane. Czy unikniemy pogoni, czy Bóg zachowa nas przy yciu? Pragnienie wyrwania si z piekła niewoli było silniejsze od strachu i mierci.

Małe okienko zasłoniły my firank , chatk zamkn ły my na kij, i w drog . Id c znowu modl si i prosz Boga o opiek . Pochmurne niebo i ciemno ci sprzyjaj ucieczce. Na niebie nie wida ani jednej gwiazdki, która by nas prowadziła, tylko od czasu do czasu zza chmur wyływa okr ły ksi ycy. Na plecach mamy worki-plecaki z niezb dnymi rzeczami i chlebem. Całe nasze postacie otulaj ciepłe chusty, które w 1932 roku ocalały, schowane pod łó ko i teraz tak si przydały.

Bez alu opu ciły my miejsce zesłania i nasz "eskimosk " chatk .  
- Nie ogl daj si – upomina mama – eby my nigdy nie musiały tu wróci !

Ulice s całkiem puste, ale strach nas goni. Idziemy bardzo szybko. Po mini ciu miasteczka czujemy ju zm czenie. Trzeba zwolni , by starczyło si do ko ca do ko ca podró y. Do witu przeszły my spory kawał drogi, kieruj c si według drogowskazów. Jeste my szcz liwe, e nam si udaje. Na drodze napotykamy wymarł wie . Dopóki nie wida ludzi, których boimy si jak mierci, idziemy dalej. Ale zm czenie daje ju o sobie zna . Trzeba koniecznie odpocz , zwłaszcza, e noc min ła, a w dzie wsz dzie czyha niebezpiecze stwo. Wybieramy jedn z pustych chat. Przytulone do siebie mocno zasypiamy.

Kiedy si budz , mama ju nie pi. Za oknem znowu jest noc. Zjadamy po kromce chleba i ruszamy w dalsz drog . Po przespaniu całego dnia czuj si spokojna i bezpieczna. Noc jest ja niejsza ni poprzednia a ksi ycy pokazuje nam kierunek.

Naraz dolatuje z oddali t tent koni.

- To na pewno patrol! – mówi mama. – Czy by ju tutaj miał by koniec naszej ucieczki?

A dziwi, że strach nie zmniejszył przytomności ci umysłu. Oczywiście szukamy miejsca do schronienia, ale oprócz wysokich traw i ubiegłorocznych zeschniętych trzciny nic nie widzimy. Z drogi szybko skręcimy w rów i kierujemy się na trzciny. Zamierzni ty niegłamić się pod nogami, a lady na nim się głębiej i więcej. Już w trzcinach kładziemy się na niegł i czekamy – ciemne dwie postacie widoczne z daleka a za bardzo. Nie ma cudów – zauważ nas!

Strach jest tak wielki, że drży całe ciało, z by głęno dzwoni. W ciekła byłam na siebie, dlaczego tak drży? Co to jest z tymi zębami? Mama przecie równie się bała, ale wydawała się być spokojną – leżąc na złodowiaczym niegu modliła się cichutko. Ja nawet modlić się nie mogłam.

Jeśli ci nieubłaganie zbliżali się do naszej kryjówki. I nagle stał się cud! Duża granatowa chmura zasłoniła księżyc. Na chwilę zapanowała zupełna ciemność. Nie widać było wiejących ładów na niegu i ciemnych postaci na niegu. Patrol mijają nas. Chyba tym razem jesteśmy uratowane.

Stopniowo ustępuje skurcz serca. Teraz i ja modlę się, proszę Boga o ratunek, który już nadszedł. Czekamy jeszcze chwilę i dopiero, kiedy tętent zupełnie się oddalił wychodzimy na drogę. Mama patrzy jeszcze chwilę na nasz niegł kryjówkę.

- Gdyby nie ta wielka chmura, którą przywiał północny wiatr, byłoby już po nas! – szepnęła. – Przecie byłyśmy całkiem widoczne.

Zapamiętałam sobie to wydarzenie na całe życie. Czarna chmura stała się naszym ratunkiem. Co napełniło nas nadzieją i otuchą, może to była opatrzność. Kto niewidzialny czuwał nad nami.

Szybko idziemy dalej, a do zmierzchnia. Mijamy następną wieś, prawie wymarłą. Jedyne kilka chatek żyje. Poznajemy to po wydeptanym niegu i oknach. Chaty z żywymi ludźmi otulone były trzcynami, które chroniły przed wiatrem i mrozem.

Na końcu wsi stała chatka, nawet nie brzydka, w której były okna, ale nikt tu nie mieszkał, nikt nie wydeptał niegu.

- Tu odpoczniemy – postanowiła mama.

Grzędziemy w wysokim niegu. Powoli odsunęłyśmy wyjęte z zawiasów drzwi i weszłyśmy do rodka. Oczom naszym ukazał się niesamowity widok. Dwa białe szkielety ludzkie, okryte jakimiś łachmanami leżały obok siebie zagradzając przejście.

- Wszelki duch Pana Boga chwali – szepnęła mama i dała mi znak ręki. Wzywała mnie. – Chodź, chodź, nie bój się, to tylko umarli.

Nagle z ulicy doszedł stukot kopyt koni i głos na rozmowa. A wi c to ju nast pny patrol tej nocy. Nie ma czasu na strach, na zastanawianie si . Z sieni szybko wchodzimy do izby i zastygamy w bezruchu za resztkami drzwi.

Słysza odgłos kroków, padaj drzwi wej ciowe! Id , id ! Złapi nas!  
Naraz rozległ si ochrypły, zdławiony strachem krzyk.

- Uciekajmy, tu s trupy, szkielety!

Wystraszeni milicjanci uciekli, wsiedli na konie i galopem pop dzili przed siebie. A my ukl kły my obok zbielełych ko ci, modl c si i płacz c na przemian.

Modliły my si za dusze zmarłych mierci głodow , które w tak niesamowity sposób uratowały nas tej nocy. Spały my tutaj cały dzie , pewne, e nic złego nam si nie stanie. Naszego snu pilnowały dwa duchy.

---

## 8.4 – Poci giem do Połtawy

---

Dalsza podróż nie była ju taka szcz liwa. lady zacierał padaj cy nieg, a gwiazdy i ksi yc zasłoniły chmury. Zacz ły my bł dzi . Powracały my w to samo miejsce po kilka razy. W ko cu dotarły my do jakiego lasu.

Czy to ze strachu, czy ze zm czenia, działo si z nami co niedobrego. Cz ciowo z głodu i pragnienia zapadałam w dziwne odr twienie. Teraz nawet nie mog sobie przypomnie co to był za las. Czy on w ogóle istniał? Karłowate, nierówno porośłe drzewa z powyginanymi konarami, przypominały ksi kow ilustracj bajek. Widziałam nawet duchy. Jakie dwie nie nobiałe sarny, a mo e kozy figlowały mi dzy drzewami. Doprawdy do dzi nie umiem wytłumaczy tego zjawiska. Nie wiem czy była to halucynacja czy rzeczywisto . Byłam ju tak zm czona, głodna i wyczerpana, e mogły to by widziadła. Moje nogi, a szczególnie stopy, bolały i „paliły ogniem”.

Nareszcie jednak niebo wypogodziło si . Mo e przestaniemy bł dzi . Nie wiedziały my, nie przeczuwały my, e stacja kolejowa była bardzo blisko. Nagle postyszałam gwizd lokomotywy i swojski zapach dymu. Nast pnie zza mgły wyłoniły si zabudowania stacji. Było ni Urazowo, do którego tak długo bł dz c, szły my. Wym czone dotarły my do celu.

Była tu woda, kapiatok. Wysuszona staruszka w brudnej i podartej kufajce sprzedawała ten yciodajny płyn. Po raz pierwszy w yciu czułam słodki smak wody. Nigdy dot d tego tak nie doceniałam. Dla mnie woda była zawsze bez smaku.

Tutaj już nie było patroli. Pilnie strzeżona strefa z zesłanymi została za nami. Teraz trzeba było zdobyć bilety do Charkowa. Mama ostro nie zlustrowała całej poczekalni, a ja podeszłam do kasy i bez żadnych przeszkód kupiłam dwa bilety. Z biletami w rękach, szczęśliwa i dumna podeszłam do mamy.

Nagle w ciągu paru minut z zaszczutego zwierciadła stałam się człowiekiem. U miechni te oczy mamy mówiły same za siebie. Jesteśmy pełnoprawnymi obywatelami tego kraju, normalnymi pasażerami i wolno nam chyba usiąść w poczekalni. Ostro no, jednak nie zawadzi. Usiadłyśmy na posadzce, bo tak wszyscy siedzieli, albo – leżeli. Byłyśmy blisko drzwi – w razie niebezpieczeństwa łatwiej będzie uciekać.

Na szczęście kontroli akurat w tym momencie nie było. Nie wiadomo dlaczego nie wolno było spać. Chodził między ludźmi brodaty kolejarz i haczykowatym kijem budził piochów. Jeżeli ktoś uparcie i na nowo zasypiał, to ów kolejarz wyrzucał go z poczekalni. Bałam się i brodacza i jego kija, więc w krytycznych chwilach sama wychodziłam na powietrze. To była ciężka walka z głodem, zimnem, strachem i przede wszystkim – zmęczeniem.

Nareszcie nadszedł nasz pociąg. Wagony nie były zbyt przepełnione. Przed odpoczynkiem musiałam opatrzyć nogi, które były w okropnym stanie; puchły na stopach popękane, a z ran ścisnęła się krew. Zmęczenie jednak wzięło górę i mimo pulsującego bólu usnęłam. Nie wiem, jak długo spałam. Na następnych stacjach wsiadali nowi pasażerowie, zaczął tworzyć się tłok. Musiałam włożyć buty na obolałe nogi i cicho siedziałam drzemliwie.

Miejsce zesłania było już daleko, Charków blisko. Gwizd parowozów, zgrzyt wagonów, zwiastował koniec jednej części podróży. Wsiadłam z pociągu i kulejąc doszłam do poczekalni. Tu było pełno народу, przy kasach biletowych ogromne kolejki. Nie było miejsca do siedzenia a obrzęknięte nogi pulsowały bólem. Każdy krok był katorem, w butach czułam mokro od krwi.

Cierpiałam stojąc w kolejce po bilety, podczas gdy mama, równie kulejąc, chodziła po poczekalni i obserwowała czy przy kasach nie dają dowodów osobistych. Tak, niestety! Wrywkowo sprawdzali dokumenty. Wpadłam w panikę – co robić? Czyby cały nasz wysiłek miał pójść na marne? Może trzeba wracać a może nawet stanie się najgorsze.

Zrozumiałam w mig, co nas czeka i wówczas nogi odmówiły mi posłuszeństwa, wiatr zawirował, pociemniało w oczach... Kiedy odzyskałam przytomność, zobaczyłam obce twarze pochylające się nad mną. Leżałam na ławce bez płaszcza a głowa ociekała wodą. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, zapomniałam o podróży, głodzie i tłoku w sercu. Przez chwilę byłam nieobecna na tym nieludzkim wiecieniu i było mi z tym dobrze.

Okazało się, że moje omdlenie nas uratowało; bez kolejki i sprawdzania dowodów dostałam dwa bilety do Połtawy. Myśli, że był to czysty odruch współczucia – nasz wygląd wszak był opłakany. Ale najważniejsze, że znowu byłyśmy uratowane, kolejny raz udało się do nas szczęście. Wolimy nie myśleć, co stałoby się, gdyby nas pojmano.

Obie chore, zmęczone do granic wytrzymałości, zmieszałyśmy się z masą ludzką, która po brzegi wypełniała wielką poczekalnię dworcową. Na gazetach, łachmanach lub wprost na betonie siedzieliśmy i leżeliśmy podróżnicy. Duszący zapach dymu z machorki, fetor brudu i potu był nie do zniesienia, ale na dworze było bardzo zimno. Po krótkiej odwilży znowu przycisnęliśmy drzwi.

Oczekiwanie na pociąg do Połtawy trwało bardzo długo, a może tylko mi się tak zdawało, czułam się bowiem coraz gorzej. A jak czuła się mama? Przestałam reagować na cokolwiek.

Kiedy pociąg nadszedł i wsiadłyśmy do wagonu, odetchnęłam z ulgą. Już nie pamiętam, czy był to dzień, czy może noc. Dostrzegaliśmy ludzi w naszym wagonie, ale byli oni gdzieś daleko, okryci falującą mgłą. Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Był to koniec podróży, ale mi się zdawało, że nigdy nie osiągniemy żadnego celu. Na stacji wykrzesywałam z siebie niedzne resztki siły i szłam za mamą, a nogi z trudem szurały po ziemi. Ojca na stacji nie było; przecie nie został przez nas powiadomiony. Widocznie jeszcze nie doświadczyłyśmy – trzeba było nadal błądzić.

Powłócząc nogami dotarłyśmy do parku i tu się zaczęły nasze poszukiwania. Chodziłyśmy wokół niego a obelisk ze zrywającym się do lotu ptakiem ukazywał się nam z różnych stron. Nie miałyśmy odwagi pytać ludzi. W końcu przyszło opamiętanie, skręciłyśmy we właściwą ulicę.

Na dalekim przedmieściu była nasza przystań i koniec młodości. Kiedy drzwi mieszkania się otworzyły i zobaczyłam w nich babcię, nerwy rozluźniły się, przestały być posłuszne. Upadłam i straciłam poczucie rzeczywistości.

Gdy obecnie, po przeszło sześćdziesięciu latach wspominam te chwile, to nie mogę pozbyć się wrażenia, że same byśmy tego nie dokonały. Kto musiał czuwać nad nami. Takie ucieczki bowiem bardzo niewielu się udawały, większość ginęła. Szczególne niebezpieczeństwo groziło młodym, starszych prawie nie kontrolowano. Nasze błądzenie po wymarłych, bezludnych wsiach, zmęczenie i choroba nie złamały odwagi, uporczywości wyrwania się z elaznych kleszczy niewoli. Oszukałyśmy zniechęcone naczalstwo – jeszcze teraz odczuwam satysfakcję i radość. Kto przecie musiał ocaleć. Nawet w najniebezpieczniejszych sytuacjach pojedynczym osobom udaje się wyrwać z zaklętego kręgu. I jestem ogromnie wdzięczna losowi, przeznaczeniu i nie wiem komu jeszcze, że to szczęście stało się właśnie naszym udziałem.

## 9.1 – Machina terroru

---

Chwilowo uratowani znowu zaczynamy od nowa. Który to już raz od 1932 roku? – teraz jest przecie 1937. Dzięki staraniom obojga rodziców zaczęli my żyć nawet na niezłym, jak na tamte warunki „poziomie”. Mieliśmy małe łóżko, słoneczny pokój w drewnianym domku na przedmieściu Połtawy. Niedaleko błyszczała w zimowym słońcu rzeka Worska.

W pokoiku nie mieliśmy mebli, ale było ciepło i przytulnie. Sypialiśmy i jedliśmy posiłki wprost z podłogi. Syn właścicielki, dyrektor, przyjechał z mamą do pracy w wielkim kombinacie miast. Dzięki temu mieliśmy prawie codziennie zupę na kocią, a na oknie w werandzie mroził się śnieg. Te wszystkie pyszności mama kupowała w kiosku przyzakładowym. Czasami udawało się przemyć kawałek mięsa, a nawet kiełbasy. W sklepach w mieście były wtedy straszne pustki. Czyli znowu dopisał nam łut szczęścia?

Połtawa była bardzo ładnym miastem, tym bardziej kochanym, że przyjechał nas – tułaczy – jak swoich. Wszędzie wokół odczuwało się historię; tu przecie Szwedzi ponieśli sromotną klęskę. Tyle tam było pamiątek, tyle zabytków. Ogromny kurhan i mogiły poległych ozdobiono różowym marmurem. Obok kurhanu stał olbrzymi kościół (a może cerkiew), ale wtedy wciąż była w opłakanym stanie i służyła do przechowywania zboża. Dalej ciągnęła się topolowa aleja, a za nią rozległy park. Latem na jego zacisznych polanach Cyganie rozkładali swoje namioty, rozpalali ogniska i śpiewali smutny, rzewny pieśń. Miasto porastały bujne drzewa, kamieniczki „starego miasta” były barwne i ukwiecone. Ludność, z poczuciem humoru, była nam bardzo bliska. Czuliśmy się jak w domu, jak w Płoskirowie.

Ale sklepy, jak wszędzie, wycięły pustkami, albo w ogóle były pozamykane. Za chlebem równie stało się w kolejkach, z tym, że był to prawdziwy chleb – wielkie, okrągłe bochenki z pszennej razowej mąki pachniały jak za dawnych czasów. Kawałek za miastem, w szczerym polu, znajdował się pchli targ, zwany przez miejscową ludność tułkuczka. Można tam było kupić dosłownie wszystko. Towary były nieznanego pochodzenia. Sklepy państwowe były przecie puste, a na targu sprzedawano całkiem nowe rzeczy i kupony materiału, które choć były drogie, to szły jak woda. Kto miał pieniądze, ten był ubrany i syty. Najbogatsi byli oczywiście komunisty, ale trzeba przyznać, że takiej nędzy, jak w Troickoje, czy Karłowie, tutaj się nie spotykało.

Dzięki Bogu za to wszystko. Ciągłe i od nowa wracałam myślami do tego, że nad naszą rodziną czuwa Opatrzność. Choć przeżyliśmy tyle złego: biedę, głód, wygnanie i prześladowania, to przecie wciąż byliśmy razem i czuliśmy się dobrze. Tylko dziadka nie było już z nami.

Wiosna w Połtawie była cała w zieleni i kwiatach. Wszędzie pachniały bzy, maj mienił się wszystkimi kolorami tęczy. Pracy w mieście nie brakowało, bo została wybudowana fabryka włókiennicza. Mama dostała dowód osobisty, czyli stała się pełnoprawnym obywatelem, a tym samym człowiekiem. Ojciec jako dobry fachowiec potrafił zarobić na dostatnie życie, a mama zaopatrywała nas w żywność. Do naszego pokoiku powrócił śmiech i wesele.

Ale szczęśliwi, nie głodni i względnie bezpieczni byliśmy tylko do jesieni 1937 roku. Tak krótko!

Na samych wierzchołkach władzy już wcześniej działały się tragiczne wydarzenia. W pierwszym rzędzie na stracenie szli ludzie znajdujący się na najwyższych szczeblach drabiny rządowej. W Pałacu kremlowskim, w Radzie Najwyższej wykryto bowiem "wrogów rewolucji", wrogów władzy radzieckiej, płatnych agentów kapitalizmu.

Głównym było o Bucharynie, Trockim i innych, którzy "zdradzili" Kraj Rad. Na murach i słupach ogłoszeniowych wisiały plakaty, na których ogromna rzesza towarzysza Jełowa wyciskała krew z "wrogów ludu". W tym śmiertelnym ucisku wili się i ociekali krwią ludzie znani i nieznani, ludzie zwykli i ci postawieni na najwyższym stopniu, a wszystko to było przedstawione bardzo realistycznie.

Ministrem spraw wewnętrznych był wówczas towarzysz Wyszyński, Polak. Znowu powrócił strach, zaczęło być głownie o masowych aresztowaniach. Na pierwszy ogień poszli nauczyciele, inżynierowie, lekarze, kadra oficerska, literaci i ludzie narodowoci nie rosyjskiej, a w szczególności Polacy.

Pięknie lato mijало i mijала radość i spokój.

Była już późna jesień, gdy wybrali się wszyscy do miasta, zobaczyć coś nowego. Był dzień wolny od pracy (wychodnoy). Na co dzień gwarne i ludne miasto wyglądało jak wymarłe. Przy wjeździe natomiast stała bardzo długa kolejka, która szybko posuwała się do przodu. Tutaj dopiero było głownie! Ludzie płakali, prosili o litość i chociaż jak krótko wiadomo o najbliższych. Stróże porządkiem obojczy, nieczuli i niedostępnie rzadko komu udzielali informacji.

Wstrząsni ci bezmiarem nieszczęśliwi powrócili do domu, ale i tutaj już nie zastali spokoju. Rozkręcona machina terroru działała bardzo szybko. Syn naszej gospodyni – dyrektor mińskiego kombinatu – został tej nocy aresztowany. Właśnie noce były zawsze najgorsze; terror lubił noc.

W naszym pokoiku, znowu jak przed laty, zaczęło się nocne czuwanie. Po kolejnych paru godzinach dyżuru wstaliśmy przy oknie, z którego widać było całą ulicę. Po wjeździe kierownika spółdzielni szewskiej rodzice postanowili



ucieka , znowu ucieka . Ale dokąd? Ciągła była nadzieja, że dobry los pozwoli się ukryć . Dotychczas przecie ucieczki udawały się .

Najpierw wyjechał ojciec szukać bezpiecznego miejsca. Wybrał małe miasteczko Mirhorod. Za parę dni wyjechali my wszyscy.

## 9.2 – Duch pod oknem

---

I znowu zaczynamy od zera. Dla ojca znalazła się praca w spółdzielni szewskiej, a mama zaczęła pracować w szpitalu jako salowa. Mieszkanie wynajęli my na wsi. Był to wspaniały pokój z drewnianym prysznicem i okrągłym piecykiem do ogrzewania i gotowania strawy. Byle przetrwać najgorsze, byle nie dać się schwycić .

Ta ucieczka okazała się jednak błędem. W małym miasteczku jako Polacy byliśmy bardzo widoczni. Nie trzeba było długo czekać . Zaledwie po kilku dniach pracy ojciec wieczorem nie wrócił do domu. Tym razem cios zadano w biały dzień . To był najokrutniejszy i najbardziej bolesny cios. Zdawało mi się , że nie potrafimy żyć bez ojca. On przecie był dla nas wszystkim...

W szkole zabrakło nauczycieli, w fabrykach – fachowców. Życie jednak toczyło się dalej. Tak samo jak w czasie głodowania w 1933 roku, tak i teraz z ulicznych głośników radiowych płynęła skoczna i wesoła muzyka, a także hymny pochwalne na cześć wodza rewolucji, ojca, nauczyciela i opiekuna narodów, towarzysza Józefa Wissarionowicza.

Matka załamała się całkowicie. Wychodziła codziennie do pracy, ale w szpitalu jej nie było. Gdzie się zagubiła, wylkniona, bez iskierek nadziei. Nie wiadomo czy w ogóle coś jadła, czy spała? Z twarzą pociemniałą , wychudzoną i wzrokiem bez wyrazu nie odpowiadała na pytania. Milczała.

Lekarz stwierdził depresję i ogólne załamanie. Choroba wymagała leczenia szpitalnego. Wbrew wszelkiej logice okazało się to ratunkiem. Był to mimowolny, niezamierzony unik przed więzieniem, a w konsekwencji przed śmiercią . Wczesną wiosną , a był to już rok 1938, mama opuściła szpital, ale czy była zdrowa? Nadal milczała i była obojętna na to co się wokół niej działo. Wciąż szukała jakiegoś oparcia, ratunku i w ostateczności wróciła do Połtawy. Za kilka dni w ład za nią pojechała babcia.

W takich to okolicznościach straciłam obojga rodziców, straciłam napróżno skłębony dom rodzinny. Zostałam sama i chociaż byłam dorosła, to żadnej pracy nie dostałam. A mogłabym przecie pracować w szpitalu jak mama...

Nie miałam żadnych środków do życia. Na szczęście z pokoju mnie nie wyrzucono. Chodziłam nadal do szkoły i nie dawałam poznać po sobie, że jest mi źle. Parę groszy, które wygrzebałam w kieszeniach i portmonetce były dla mnie zerem. Zawsze jednak trażałam na ludzi dobrych. Tak była moja gospodyni – właścicielka mieszkania. Zawsze kiedy wracałam ze szkoły miała dla mnie talerz porannej zupy, a na kolację szklankę mleka.

Staralam się jej odwdziaczyć za dobro serca. Byłam w tej rodzinie czymś w rodzaju służalczy. Przestałam wierzyć w dobry i łaskawy los. Czas mijał, dni się dłużyły. Czułam się bardzo samotnie. Nie pamiętam, kiedy miałam jakieś przyjaciółki. A może wszyscy odsunęli się ode mnie?

Bez przerwy myślałam o ojcu; jak się czuje, czy torturowany cierpi. Tak bardzo pragnęłam, żeby jego cierpienia nie trwały długo. Nie wierzyłam w jego powrót – z piekła nikt jeszcze nie wrócił. Mama z babcią również milczały. Jeden, jedyny list pisany ręką babci, bardzo mało czytelny, dostałam wkrótce po jej wyjeździe. Miałam więc ich adres i bardzo dużo pisałam, a one milczały.

Całe szczęście, że praca u gospodarzy pochłaniała cały mój czas. Po całym dniu usypiałam kamiennym snem. Pewnej nocy ktoś mi się, że ktoś puka do okna, a później do drzwi. W oknie, przy świetle księżyca ujrzałam twarz ojca. Ogarnął mnie lęk. Pewnie już nie żyje, a to jest jego duch!?

Tamta odebrała mi całą siłę. Nie mogłam się obudzić, nie miałam siły wstać, żeby otworzyć drzwi. Zrobiła to właścicielka mieszkania. Ojciec żywy, nie duch, wszedł do pokoju, i nie był to wcale sen. Cóż to było za spotkanie! Padliśmy sobie w objęcia i tak trwali. Płakałam ze szczęścia i ojciec płakał i nie wstydził się swoich łez. Wychudzona twarz, przedwcześnie zbielące włosy i bardzo smutne oczy nadawały jego twarzy wyraz męczotstwa. Poznałam, że cierpiał niemało, przeżył gehennę, ale wrócił!

Długo ze mną nie zabawiał. Zjadł trochę, ogolił się i umył i jeszcze tej samej nocy wyjechał do mamy. Gdyby został do rana byłby po raz drugi aresztowany. Wczesnym rankiem zjawiała się milicja. Przyszli po ojca. Przeszukali całe obejście. Nikt z domowników nie zdradził, że ojciec był u mnie, a ja uparcie twierdziłam, że nikogo w nocy nie widziałam. Postawili więc wartę przy domu i czekali.

Dopiero po kilku dniach warta została usunięta, ale niespodziewane najcięższe siły pojawiały się. Ja listownie powiadomiłam babcię o tych wizytach. Jakże to szczęście, że milicja zgubiła trop, że nie znała adresu.

Dopiero w 1939 roku dowiedziałam się, w jaki sposób ojcu udało się wyjść z więzienia. Otóż w czasie procesu sądowego, podstawiony, fałszywy

wiadek cofnął zeznania złożone pod presją. Wszystko zostało zanotowane. Dzięki temu ojciec odzyskał wolność, chociaż oskarżenia były bardzo poważne. Groziłaby za niego kara śmierci.

Ojciec rzekomo stał wrogiem propagandy – przeciw państwu sowieckiemu. Twierdził podobno, że Polska zmieni swoje granice i będzie sięgała od Morza Czarnego do Bałtyku. „Wiadek”, który nie podpisał się pod fałszywymi zeznaniami, nigdy już nie powrócił do domu. Zginął w więzieniu, albo obozie. W tamtych czasach za uczciwość, prawdomówność, czyste sumienie i godność płaciło się najwyższymi cenami.

Tata wrócił do Połtawy, ale nie było tam bezpiecznie. Był ciałem Polakiem nie miał żadnych szans, zwłaszcza, że był Żydem. Listy gościnnie na pewno zostały rozesłane. Zameldowanie w miejscu zamieszkania równało się wyrokowi śmierci, a bez meldunku nie było pracy. I w ten sposób kółko się zamykało. Wytworzyła się sytuacja bez wyjścia.

Nawet mama, rzekomo wyleczona, mogła by w każdej chwili zaarrestowana. To nic, że pracowała. Zarobki w lakierni fabryki meblowej były tak niskie, że obie z babcią dosłownie głodowały.

Hasło „KTO NIE PRACUJE, TEN NIE JE” nie dotyczyło Polaków. Polak pracował, ale jeść nie musiał. Mieszkanie składające się z ciemnej komórki bez pieca i okna dopełniało reszty. Gdzie gotowały wodę i posiłki? Jak mogły żyć w takich warunkach? A jednak przetrwały! Jak wiele może zniesie człowiek?!

W takich lub podobnych sytuacjach niektórzy decydowali się na zbiorowe samobójstwa. Łaskawsza była natychmiastowa śmierć niż powolne konanie w obozie, lub zdychanie z głodu.

---

### 9.3 – Umarze aby żyć

---

Ojciec chciał pójść na milicję, bo innego wyjścia nie dostrzegał. Jedynie śmierć mogła być wyzwoleniem i ratunkiem. Trzeba było umrzeć aby żyć!

Ciemna komórka z nikłym wieczuskiem wyglądała jak mogiła – tata leżał na marach, bledy, wychudzony, naprawdę podobny do nieboszczyka, a siłą siedzi pomagając mamie i babci opłakiwać jego śmierć. Znalazła się nawet trumna z nieheblowanych desek.

Pod nieobecność „gości” łobnych mama nasypuje do trumny jakiego balastu i zabija je gwoździami. W ten sposób ojciec jest chwilowo uratowany. Schował się pod pryzmę i czeka. Dwukołowym rucznym wózkiem zawieszono trumnę na cmentarz...

Mama rozpacziała ogromnie, przecie znowu wytworzyła się sytuacja bez wyjścia. Co robi dalej? Jak żyć z umarłym? Jedyne ucieczka wchodzi w rachubę. Wychudzony, wymęczony torturami ojciec, uciekał w świat. Najważniejsze było to, że oddali mu dowód osobisty, w nim zapomnieli wnieść niekorzystne wpisy i adnotacje o aresztowaniu. Fakt ten zakrawał niemal na cud. Bałagan w urzędach, brak ludzi do pracy, ludzi z kwalifikacjami sprzyjał ciganom i napiętnowanym.

Mama zawczasu sprzedała ostatnią drogocenną pamiątkę, chowaną zawsze na czarną godzinę. Ona właśnie nie nadeszła – złoty łańcuszek z krzyżykiem, pamiątkę Pierwszej Komunii, w której trzeba było poświęcić się. Nazajutrz po pogrzebie zjawili się przedstawiciele władzy, ale spojili się trochę. Od tej chwili przestali również i mnie nachodzić.

Ojciec znowu uciekał ciemną noc. I znowu udało się wyrwać z zakłęcia tego kręgu. Jechał dalekobieżnym pociągami na południe. W niekończącej się podróży przemierzył ogromne przestrzenie Kraju Rad. Był na Krymie, na Kaukazie i w Kazachstanie. Najdłużej zabawiał w Azji Mrocznej. Tam czuł się najbezpieczniej.

Na stacjach wysiadał tylko po to, by trochę zarobić na życie i dalszą podróż. Na bazarach rozkładał swój prowizoryczny warsztat szewski, wprost na poboczu ulicy i reperował obuwie. W ten sposób zarabiał na chleb. Kiedy zauważał coś podejrzane to natychmiast związał swój kramik i uciekał. Nigdy nie korzystał z hoteli, a tym bardziej z prywatnych kwater. Nie było go wcale gdzie. Po prostu nie istniał dla nikogo. Najbezpieczniej czuł się w pociągach. Odpoczywał również w lasach lub na cmentarzach między zarodkami. Pił i czuwał. Nie cierpiał z powodu chłódów, bo było to już lato 1938 roku. Mył się i prał w rzekach i strumieniach. W żadnym miejscu nie przebywał długo, nie zawierał znajomości. Bez przerwy czytał gazety, a szczególnie „Prawdę”. Czasami w wiadomościach masowego przekazu można było wyłowić wzmianki o nowej polityce rządu. Co w końcu musiało się zmienić. Ci głębokie mordowanie własnego narodu nie mogło trwać zbyt długo, nastąpiłaby zagłada, a tego Stalin chyba nie chciał...

Ja byłem wciąż sama i musiałam dawać sobie radę. Byłem sierotą. W końcu musiałam wrócić do Połtawy, ponieważ tam łatwiej było o pracę. W dzień pracowałam, a wieczorami uczęszczałam do szkoły. Rząd zadbał o to, by sieroty mogły się kształcić, jeżeli które tego chciało. Mieszkałam razem z mamą i babcią wciąż w tej samej komórce bez okna.

Pracowałam gdzie popadło: w zakładzie włókienniczym, w kołchozie, oraz w fabryce mebli. To absurdalne fabryki pamiętam do dziś; wyrabiano tam w sianie, jednodrzwiowe szafki ze słabo wyheblowanych desek, lub niskie szafki nocne, zwane „tumboczkami”. Komu te mieszne meble były potrzebne? W pracy byłem dyskryminowana, podobnie jak rodzice, ci żyli przecie na mnie jak garb polska narodowo.

Ciasnota mieszkaniowa spowodowała, że zdecydowałam się na przytułek. Byłam w nim krótko, ale zdałam do wiadomości jeszcze jednego "dobrodziejstwa" państwa rządzonego rzekomo przez robotników i chłopów. Krótko mówiąc wpadłam z "deszczu pod rynek".

Od dwunastego roku życia cięko pracowałam na swoje utrzymanie, ale do nowych warunków nie sposób się było przyzwyczaić. Byli my jak zwierzęta. Nie można się temu dziwić, bo przecież te dzieci nie miały własnego domu, nie znały matczynej miłości. Ich domem była ulica, a sypialni – klatki schodowe, kanały, a czasem dworzec kolejowy. Dla nich liczyła się tylko siła i chytrość.

Nie cała młodzież oczywiście, znajdowała się w przytułkach. Chłopcy woleli zostać na wolności, trudniąc się rozbojem. Dzicy i zezwierceni napadali na ludzi, nawet w białym dniu i na najbardziej uczyszczonych ulicach. Tylko nieliczni z nich ułożyli sobie normalne życie.

Ekzystencja w przytułku była urozmaicona pod każdym względem. Zawsze panował tu hałas i kłótnie. Najgorsze jednak i zarazem najohydniejsze były szczury i pluskwy. Te ostatnie spadały na nas wprost z sufitu, a w powietrzu było ich mnóstwo. Szczury – inteligentne, w ciemności i natrętnie łączyły sobie bezkarnie podłogi kamie i po stole. Nie bały się nas i nawet nie próbowały uciekać.

Z odżywianiem również nie było najlepiej. Nie byłam wybredna i jadłam wszystko co dostałam. Z obrzydzeniem jednak wspominam kapusta niak ze zgniłej kapusty zwany "szczy". Okropne również były solone i cuchnące ryby. Ten "przysmak" jadały my na surowo.

Takie odżywianie, okropny stan sanitarny sprzyjały rozwojowi różnych chorób, nawet tyfusu, który zbierał tu obfite niwo, ale ja jako go uniknąć. Niestety już od wierzbu nie udało mi się uchronić. Ta, zdawałoby się niewinna i nie zagrażająca życiu choroba była dosyć dokuczliwa. Najgorsze były noce. Świdzące krosty mi dzy palcami i na brzuchu nie dawały usnąć. Nie umieli my sobie z tym poradzić, a wychowawcy lekceważyli problem.

Jedna z dziewczynek – spryciara i złodziejka, ukradła w kuchni butelkę esencji octowej, którą posmarowały my sobie chorą skórę. Efekt był fatalny. Poparzyły my skórę, a wierzbu pozostał, potworzyły się niegojące, mokre rany.

Kiedy choroba zaatakowała prawie cały przytułek, drgnęło moje sumienie. Zaczęła się przeciw wierzbu kuracja. W silnie ogrzonym pomieszczeniu smarowały my się wzajemnie brunatną mazią o przykrym i ostrym zapachu. Po kilku smarowaniach zostałam wyleczona. Ubranie i pościel wydezynfekowane. U niektórych dziewczyn choroba powróciła i od nowa powtarzały my kurację. Stałam się ostro na, bałam się powrotu

choroby. Bardzo często uciekałam z przytułku, pomimo kar, a czasami nawet chłosty. Zwiedziłam każdą ulicę i poznałam Połtawę bardzo dokładnie.

Na jednej z takich wdrówek poznałam sympatyczną starszą panią, Marię Pawłównę. Miałyśmy o czym rozmawiać, i czyły nas bowiem podobne przeżycia. Matka pani Marii pochodził z Polski, z Buska Zdroju. Ona natomiast z zamożnej ukraińskiej rodziny. Przed wojną i rewolucją byli bogaci, trudnili się kupiectwem. Młodzi poznali się w kurorcie w Busku i on przyjechał w ład za ukochaną do Połtawy. Byli chyba szczęśliwie. Mieli troje dzieci: dwie córki i syna.

W 1937 roku matka z synem i jednym z ich rodziców zostali zaaresztowani i straceni. Pani Maria została z córką Heleną, nauczycielką głuchoniemych. Obie bardzo cierpiały po stracie matki i trzech braci. Najstarsza córka – Zofia była zamężna z prokuratorem, zagorzałym ideowcem i komunistą, i mieszkała osobno. Pani Maria mówiła, że to ten zięć był złym duchem i nie mało przyczynił się do śmierci jej najbliższych. Nienawidziła go ogromnie, a jednocześnie nie bardzo się bała.

Ja również bałam się tego człowieka, bardzo dziwnego, nieczułego, który miał jakieś „klapki na oczach”. Nie widział, albo nie chciał widzieć, ile złego dzieje się wokół. Czy on rozumiał to, że był lepym wykonawcą i katem w bestialskim procesie mordowania narodu na wielką skalę?!

---

## 10.1 – Znowu chce się żyć!

---

Z początkiem jesieni przestałam odwiedzać swoich nowych przyjaciół, ponieważ bardzo podupałam na zdrowiu. Stałam się ociężała, leniwa i obojętna na wszystko. Nawet szczury i pluskwy już tak bardzo mnie nie denerwowały. Bardzo kaszlałam, nocami pociłam się i opadałam z sił. Przestałam chodzić do pracy i do szkoły. Leżałam w łóżku, na pogotwie tych spraw, które uwierały niemiłosiernie i nie chciało mi się nawet myśleć.

Chyba nie było ze mną najlepiej. Przyjaciele jednak nie zapomnieli o mnie. Zabrali mnie do swojego domu. Kierownictwo Dietdomu pozbyło się mnie bardzo chętnie. Zarzucono mi lenistwo i nieposłuszeństwo. Chora i leniwa byłam im ciężarem. Teraz już nie pamiętam, czy poszłam o własnych siłach, czy zaniecono mnie.

Znalazłam się w czystym i ciepłym pomieszczeniu, a panie Maria i Helena opiekowały się mną troskliwie. Już nie czułam się opuszczona i nikomu niepotrzebna. Mimo, że byłam chora to jednak pragnęłam chorować jak najdłużej i by chociaż odrobinę kochać, odczuwać czyje zatroskanie.

Bałam się powrotu do przytułku; wolałam umrzeć tam niż znowu znaleźć się w domu.

Tymczasem choroba nie ustępowała. Miałam nadzieję, że gdy skończę 18 lat, a choroba zostanie wyleczona, to zacznie nowy etap życia, już jako osoba dorosła. Marzyła mi się ucieczka w świat, tak jak to uczynił ojciec. Zazdrościłam mu wolności. Ciężko o niego myślałam. Czy on jeszcze i gdzie teraz przebywa?

W czasie trwania choroby marzyłam. Zawsze czegoś pragnęłam, ale to wszystko było nieosiągalne. Z nastaniem wiosny i ciepła choroba zaczęła ustępować. Po wielu latach, gdy mieszkałam już w Polsce, prześwietlenie rentgenowskie wykazało małe zwapnienie na lewym płucu... Chorowałam wtedy na gruźlicę.

Dopiero na wiosnę wstałam i poszłam do szkoły. Chodziłam już do dziesiątej klasy. Niewiele umiałam, ale nigdy nie powtarzałam klas. Jeszcze tylko jeden rok i będzie dorosła, mogę w pełni zdecydować o sobie. Po chorobie już nie wróciłam do przytułku, zostałam u pani Marii i Heleny.

Nadeszło ciepłe lato. Było bardzo przyjemnie. W dni wolne od pracy chodziłyśmy z panią Heleną do kina, do teatru. Moja przyjaciółka ze swoich starych ubrań i sukien szyła dla mnie jako taki przydziewek. W łachmanach, które posiadałam wstyd było gdziekolwiek się pokazać. Ubrana mniej więcej przyzwoicie byłam nieodłączną towarzyszką pani Heleny. Znowu chciało się żyć! Ja nawet wynajmowałam się do pracy w ogrodnictwie, przy pielęgnowaniu, a później zbiorze warzyw. Miałyśmy teraz trochę pomidory, kawony i inne warzywa. Napęłniałyśmy nimi piwnice. Szykowałyśmy się do zimy.

Późną jesienią wracając ze szkoły po raz drugi w życiu spotkałam „ducha”. Wrócił tatuś. Najmilszy, najwspanialszy, bardzo kochany i drogi. Wiedział, gdzie mnie szukał i czekał cierpliwie, aż wyjdę ze szkoły. Trudno opisać, jak radośnie przeżyłam wówczas. Ucałowałam szorstką, mąską twarz, przedwcześnie nie zbielałą głowę.

Ojciec był bardzo miśki i przystojny. Mimo, że był jak wół bez domu, bez rodziny, w ciężkiej podróży – przytył. Twarz mu się wygładziła, wyładniała. Bardzo mi się podobał. Jak zawsze pełen optymizmu był wesoły i pogodny. Zdawało mi się, że wcale nie nadrabiał min.

Spytaliśmy się, czy bardzo się boi.

- Nastąpiła minimalna odwilż, co w rodzaju pieredyszki - odpowiedział. – Już nie będzie uciekał!

Trzeba było więc przystosować się do nowych warunków. W miejscu zamieszkania mamy, ojciec nie mógł się pokazać. Tam przecie umarł i

został pochowany. Musiał jednak gdzieś pracować, aby żyć. Podjął bardzo odważną decyzję.

- Pójdź do arteli szewskiej! Tam nie wiedzą nic o mojej śmierci – powiedział.

I rzeczywiście nikt tam nic nie wiedział. Pamiętali tylko nagły wyjazd do Mirhorodu i nic więcej. Dawni współpracownicy powitali go z radością, bo brakowało ludzi do pracy. Dużo starych znajomych zaaresztowano i pewnie było, że już nie wrócą.

Ojciec od razu zaczął pracować, a ponieważ nie miał mieszkania zostawał na noc w stodołach. W taki bardzo szczupły i prosty sposób znalazło się względnie bezpieczne miejsce. Kierownik zapomniał zameldować ojca w miejscu pracy, więc nadal nie istniał on w żadnych aktach i dokumentach państwowych jako żywy.

Represje i mordy przygasały. Wszystkie ciosy spadały na naród falami, jak pulsujący ból, który raz się nasila, a następnie – łagodnieje. Nie znaczy to jednak, że strach minął. Ojciec bał się władzy, bał się zwykłych ludzi, bał się, aby go ktoś ze wsi nie rozpoznał. Celowo ulokował się w warsztacie w samym kącie – był właściwie niewidoczny. Do miasta wychodził tylko wtedy, gdy było to nieodzowne. Jedzenie i picie przynosiła mama. Razem z babcią nadal mieszkała na wsi w ciemnej komórce, ale to nic! Przecież jeszcze żyły i to się tylko liczyło!

W jaki sposób, właściwie chyba tylko dla nas sposób byliśmy ludźmi szczupłymi. Od roku 1932, czyli początku represji, jedynie dziadek nam zginął...

---

## 10.2 – Wrzesień 1939 roku

---

Teraz ja miałam najlepiej. Mieszkałam u pań Marii i Heleny i nawet obecnie wspominam te czasy z rozrzewaniem i łezkami w oku. Pani Maria Pawłowna umiała stworzyć atmosferę prawdziwego rodzinnego ciepła, czego u mnie w domu nie dało się już odtworzyć.

Mama traktowała mnie jak osobę obcą, wręcz niepotrzebną, ale ojciec nadal był dobry i czuły pomimo, że stał się winowajcą z wyboru. On nigdy nie wrócił do mamy jako mąż i ojciec. Nie miał takiej możliwości, przecież teoretycznie nie żył, nie był nigdzie zameldowany. W swojej stodołach żył, pracował i nawet nie źle zarabiał. Dostawałam od niego pieniądze na życie i na ubranie. Mogłam się więc lepiej ubrać i wszędzie pokazać, nie wzbudzając współczucia i nie odczuwając upokorzenia.

W roku 1939 ukończyłam dziesięć lat. A się dziwi, że to nastąpiło. Co ja wówczas umiałam? Niewiele. Otrzymałam wiadomość, na którym a



roilo si od trójek, ale ja wiedziałam, że te trójki te s jeszcze naci gane. Pani Helena w wolnych chwilach douczała mnie. Traktowała mnie jak córk . Bardzo chciała, bym podj ła studia.

- Nie masz nic do stracenia, musisz spróbowa – mówiła. – Je li nie zdasz egzaminów to b dziesz pracowała, bo y trzeba.

Po długim namy le i wahaniach zło yłam dokumenty do Instytutu Pedagogicznego i czekałam na egzaminy. Pierwszy był z matematyki. Podobno tematy nie były wcale trudne, ale nie dla mnie. Byłam ciemna jak przysłowiowa "tabaka w rogu". Siedziałam nad czyst kartk i zerkałam na swojego s siada i podziwiałam go. Pozna było, że ma wszystko w małym paluszku.

W istocie bardzo szybko sko czył, a id c odda prac podrzucił mi brudnopis. Wystarczyło tylko przepisa . To mnie nawet bawiło. Cieszyłam si , że bodaj cho by raz w yciu "nabij kogo w butelk ", i to porz dnie. Bardzo spokojnie oddałam prac i wyszłam na korytarz.

Mój nowy znajomy stał przy oknie i chyba czekał na mnie, był ciekaw czy skorzystałam z pomocy. Poznali my si . On pochodził z Kremie czuka i był sierot . Wychowywał go przytułek dla chłopców. Jego rodzice zgin li. Z biegiem czasu zawi zała si mi dzy nami przyja , a mo e nawet miło , równie tragiczna co całe moje ycie. Pokochałam swojego chłopca i on mnie pokochał. Oboje nie byli my rozpieszczani przez ycie i mo e dlatego nasza miło była czysta i dzieci ca. Nic nas nie obchodził cały wiat. yli my własnym szcz ciem. Młodo brała gór nad wszystkim.

Zły los nie oszcz dził nas jednak. Mój przyjaciel przestał przychodzi na spotkania i na wykłady. Wraz z paru innymi studentami przepadł. Nigdy go ju nie zobaczyłam... Lochy NKWD były bardzo przepastne. Widocznie był zbyt m dry i szlachetny, nie pasował, nie mógł y w tak podłym wiecie. Przez jaki czas poszukiwałam go, łudziłam si , że wróci. Niestety bramy piekła zatrzasn ły si za nim na zawsze. Bardzo t skniłam i wyczekiwałam, ale tym razem cud nie chciał si zdarzy . Ojciec miał wicej szcz cia.

ycie toczyło si dalej, starymi wytartymi torami. I tak musiało by .

Nadszedł upalny – jak rzadko kiedy – wrzesie 1939 roku. Ta gor ca jesie zamiast radowa , stała si przekle stwem dla całego wiata.

Zacz ła si II wojna wiatowa.

Polska, tak bardzo mi droga, a jednocze nie tajemnicza i nieznaną, była pierwsz ofiar tego straszliwego kataklizmu. Słuchałam radia w wydaniu sowieckim, które wcale nie ukrywało zadowolenia i rado ci z powodu napa ci Hitlera na Polsk . I ju 17 wrze nia wojska sowieckie uderzyły na

Polsk ze wschodu. Sojusznik Hitlera po pieszył mu z pomoc . Władze Zwi zku Radzieckiego nazwały ten akt agresji wojn "wyzwolenie cz ".

"Wyzwalamy spod jarzma polskich panów zachodni Ukrain i Białoru !" – głośiła prasa i radio.

"Wyzwoliciele" pachn cy krwi i dymem wracali z wojny obładowani walizami łupów. Wrócił równie zi pani Marii. Ogromne dobra zdobył w czasie "wyzwalania". Niektóre, a szczególnie ubiory, były tak pi kne, e ja takich nigdy jeszcze nie widziałam. "Kochany" zi ciulek b d c politrukiem miał prawo i przywilej kursowania z Ukrainy do Polski i odwrotnie. Przywoził coraz wi cej. Jego zachłanno nie miała granic, był nienasycony.

Zim i wiosn te miał bardzo pracowit . Trudnił si bowiem, wywózk Polaków na Sybir i Kazachstan. O nas – Polakach urodzonych w ZSRR – chwilowo zapomniano. To był nast pny, krótki okres wytchnienia, a my starali my si go jak najlepiej wykorzysta .

W 1940 roku ojciec wynaj ł dla nas nowe mieszkanie. Mama z babci z rado ci opu ciły ponur komórk bez okna. Mieli my teraz du y słoneczny pokój z kuchni i werand . Ja z alem opu ciłam pani Mari Pawłown i pani Helen . Dla ojca nic si nie zmieniło. On nadal bał si mieszka z nami i pozostał w swojej stró ówce.

Chwilowo zapomniani przez władze byli my jednak ostro ni, niebezpiecze stwo bowiem istniało nadal. Ja, gdybym nie była kobiet , zgin łabym bez wie ci tak jak mój chłopiec. A mo e yj dlatego, e w czasie najokrutniejszych prze ładowa byłam niepełnoletnia?

Ten szcz liwy okres musiał si jednak sko czy . Skoro tylko uko czyłam 18 lat stałam si bardzo widoczna. Obozy pracy potrzebowały nowej krwi.

---

### 10.3 – Niewła ciwa narodowo

---

Mój Bo e jak ja to dokładnie pami tam. Mo e l ej byłoby mi, gdyby przeszło zatarła si w mojej pami ci, ale niestety, ja to wszystko widz jak na dłoni. Zło było wielkie, powszechne i niewiarygodne dla kogo , kto sam tego nie do wiadczył. Ogarn ło cały naród. Nie potrafi tego opisa . Brak mi słów.

Szli my na zagład jak baranki na rze . Nikt si nie bronił i nie sprzeciwiał. Czasami kto odwa ył si ucieka , ale ucieczki nie ka demu si udawały. Mój ojciec, moja rodzina nale eli my do nielicznej grupki ocalonych. Dlaczego? Czy nie stała si jaka niesprawiedliwo ? Czym zasłu yli my na takie wyró nienie? Dlaczego los był dla nas tak łaskawy?

Liczna rodzina wyginęła. Duża polska wieś Greczany już dawno nie istnieje, a ja jestem, a ja pomimo swoich siedmiu lat więzienia. Mój umysł nie może tego ogarnąć. Wobec tych pomordowanych czuję jak nieuzasadnioną winę. Byłam nawet więzioną, ale uwolniono mnie!

Właśnie z chwilą ukończenia osiemnastu lat trafiłam do więzienia.

Musiałam mieć dowód osobisty, bez którego życie w czasie wojny było niemożliwe. Zrobiłam więc trzy zdjęcia, a metrykę urodzenia miałam, więc zdawałoby się, że po opłaceniu jakichś tam kosztów otrzymam dowód. Ale to tylko z początku wyglądało na takie proste.

W wyznaczonym czasie zgłosiłam się po odbiór dokumentu. Okazało się, że nie jest jeszcze zrobiony. W rubryce narodowości zostawiono puste miejsce. Miałam kilka minut czasu na zastanowienie się i wybranie dla siebie narodowości. Właściwie to wyboru nie miałam. Liczyła się jedynie narodowość rosyjska.

Ja rzecz jasna na to się nie zgodziłam i natychmiast brutalnie wciągnięto mnie do ciemnej, wilgotnej, cuchnącej kloakowej celi, w podziemiach urzędu NKWD. Znalazłam się w okropnej, o liźlej izolacji. Była pusta. Stało tam jedynie cuchnące wiadro zastępujące ubikację. Tak właśnie rozpoczęło się moje dorosłe życie...

Nie wiem jak długo siedziałam oparta o wilgotną ścianę. Czasem było tutaj zupełnie ciemno, a czasem wiecono tak ostrym wiatrem, że nawet z zamkniętymi oczyma czułam piekący ból pod powiekami. Długo bym chyba nie wytrzymała. Po przebytej chorobie nie byłam zbyt silna i odporna, szczególnie na chłód.

Kiedy ciemno ci zamieniały się w ostre wiatło, mrużąc oczy szukałam śladów po kulach na brudnych ścianach. Ale tutaj chyba nie rozstrzeliwano. Próbowałam czytać zatarte napisy. Były tam jakieś strzępki słów, całkowicie niezrozumiałe. Słuba więzienna powycierała i pozdrapywała mozolnie napisane słowa: jakieś skargi, przekleństwa, a może nawet modlitwy, żeby tacy jak ja i następnicy po mnie nie mogli nic przeczytać.

W tej scenerii myślałam o ojcu, który przesiedział w takich, albo jeszcze gorszych warunkach całą zimę. I chociaż był już na wolności, nie miałam okazji i sposobności zapytać go, jak się czuł i co przeżywał będąc „wrogiem narodu”, więzieniem politycznym. Myślał, że unikał rozmów na takie tematy. Widziałam na nogach blizny po ranach. Musiał więc być okrutnie bity i katowany.

Oparta o ścianę, wzywałam jakiegoś dobrego ducha, któryby mnie uratował. Okrutnie się bałam! Bałam się tortur, ciemności, ostrego wiatłu i śmierci, bo ona mogła nadejść w każdej chwili.

I jak tu nie wierzy w skuteczność modlitwy?! Po kilku dniach i nocach wyszłam na wolność zachowując w dowodzie narodowo-polski. Nie było to moje zasług. Po prostu los tak chciał. Kto nie siedział w więzieniu, w ciemnej izolatce, nie potrafiłby chyba cieszyć się wolnością, powrotem do dziennego światła, do słońca, do prawdziwych ludzi, tak, jak cieszyłam się ja.

Oczyłzawiły, przyzwyczajają się do słońca, a moje płakałam z radości? Przestałam nawet odczuwać głód. Nie jadłam przecie tyle dni. Gdyby mnie pani Maria nie podtrzymała, nie prowadziła, nie wyszłabym z urzędu o własnych siłach.

Dopiero w domu dowiedziałam się, dlaczego miałam tyle szczęścia, że opuściłam mury więzienia. Dobrym duchem okazał się też pani Marii. To dzięki jej probom zostałam uratowana. Jak du o mogła zdziałać taka wa na osobisto – ołnierz i działacz polityczny.

Wolność jednak nie cieszyłam się za bardzo. Zrozumiałam bowiem, że b d c pełnoletni mogłby w każdej chwili uwięzić. Jako „dziecko” bałam się przytułku, a już jako dorosła bałam się wszystkiego, bałam się śmierci. Moja sytuacja więc, pogorszyła się znacznie.

Ucieczkę ratować się nie mogłam. To ojciec umiał się wymykać oprawcom. Było mu łatwiej, był mężczyzną i miał zawód, dzięki któremu mógł jakoś żyć, a ja? Kim ja właściwie byłam? Co umiałam? Jako kobieta obawiałam się złych ludzi, mężczyzn z ich chorobliwym postępowaniem. Oprócz tego bałam się terroru.

Najważniejsze jednak było to, że odzyskałam wolność, że nie trafiłam do obozu, gdzie przestaje się być człowiekiem. A najważniejsze było to, że zachowałam polskość.

---

## 11.1 – Bombowce nad miastem

---

Nadeszło lato 1941 roku. Jak było ono piękne i pogodne. Miejskie ulice i parki wyładniały, pachniały zielenią, kwiatami i wieńcami. Chciało się żyć. Byłam młoda i marzyłam o szczęściu, radości. Serce jednak ciskało bolesny kurcz, gdy przypominał mi się mój chłopak. Ale czas goi rany i ja równie pomalutką zapominałam o nim, zacierały się w pamięci rysy jego twarzy. Musiałam o nim mniej myśleć, mniej tęsknić.

Jakie odrodzenie odczuwałam nie tylko ja. Co się zmieniło, było jakby inaczej. Nawet materialnie poprawiło się odrobinę. Sklepy przestały być pustkami. Kolejki skróciły się nieco, ale nie znikły. Tak mało potrzebowali my, by nareszcie poczuć się ludźmi. Bardzo dobrze

pami tam niedzielne popołudnia. Deptak w centrum miasta zappełniał si lud mi, przewa nie młodzi .

Spacerowali my, wsz dzie słycha było miech. Cieszyli my si yciem. Było mi w tym czasie dobrze, czułam si bezpieczna. Dwa kina – mieszcz ce si na tej samej ulicy – zappełniały si widzami. W tym czasie wy wietlano ameryka ski film pod tytułem „Wielki walc”, o yciu i twórczo ci Johanna Straussa, z pi kn muzyk . Pierwszy raz ogl dałam nie rosyjski film. Zreszt jego ogl dalno była ogromna, zwłaszcza, e bilety nie były drogie. Ja ogl dałam go kilka razy i za ka dym razem wydawał mi si ciekawszy. Byłam oczarowana, zachwycona. Zapominałam o szaro ci ycia. Troski odchodziły, zło przestawało si liczy . Młodo brała gór nad nieciekaw proz ycia.

Snułam ró ne plany na przyszło . Jesieni zamierzałam studiowa , ale niestety nie s dzone mi było zosta nauczycielk , o czym zawsze marzyłam. Bo oto naraz, niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba wybuchła nowa wojna. Sojusznik Stalina – Adolf Hitler - złamał wszystkie pakt y pisane i niepisane bez wypowiedzenia wojny przekraczaj c granice ZSRR. Zostali my zdradzeni i oszukani, a Stalin zawiódł si na Hitlerze ogromnie.

Nie pomogła ywno odbierana od ust własnemu narodowi, nie pomogły nie ko cz ce si transporty z rop naftow , w glem i innymi dobrami. Tak si zło yło, e mieszkali my w pobli u torów kolejowych i musieli my patrze na długie poci gi ci gn ce na zachód cysterny z rop , białe chłodnie z mi sem, masłem, wagony z ywym bydłem i Bóg jeden wiedział czym jeszcze! I nic to nie pomogło. Stalinowi pozostał tylko własny naród, którego on niestety nie rozpieszczął.

Wojska hitlerowskie prawie bez walki zajmowały coraz to nowe terytoria ZSRR. Nie mogłam zrozumie dlaczego wojska sowieckie bez boju, bez walki cofały si w popłochu? Tyle lat wpajano dzieciom, młodzi y, a nawet dorosłym, e Armia Radziecka jest silna, niezwy ci ona i nikt jej nie pokona. Zrozumiałam, e był to tylko mit, bajki dla małych dzieci. Nagle wszystko run ło jak domek z kart.

Czułam si oszukana, bo naprawd wierzyłam propagandzie w tym wzgl dzie. Przecie Rosja wygrała wojn z Polsk , Finlandia równie okazała si słabsza. Ale czy tak rzeczywi cie było? Dopiero ojciec wytłumaczył mi, e w wojsku sowieckim brak dowódców i strategów, bo zostali wymordowani w czasie najwi kszej czystki w latach 1936-38, e Stalin musi szkoli nowe kadry oficerskie, je eli chce zwyci a , je li chce liczy si na wiecie.

Przed wkroczeniem wojsk hitlerowskich do Połtawy prze yli my straszliwy nalot. Kilka razy w ci gu nocy nadlatywały bombowce i siały wokół zniszczenie. Najbardziej ucierpiał dworzec kolejowy i wi ksze zakłady

przemysłowe. Znowu giną niewinni ludzie. Ze zgrozą patrzyłam na płonące miasto, które pokochałam i rozumiałam, że nie wolno nam marzyć, planować naprzód, bo znajdzie się ktoś taki, kto szybko ukróci nasze nadzieje.

W dziwnych czasach upływało moje dzieciństwo i młodość. Co za los? Czy kiedy jeszcze będzie jak człowiek?

Nazajutrz po bombardowaniu wkroczyły wojska niemieckie. Nie słyszałam żadnych odgłosów walki. To był ponury, deszczowy, jesienny dzień. Niemcy nie wkroczyli sami. Prowadzili ze sobą ogromne rzesze jeńców. Deszcz z niegiem oblepiał wycieczone postacie, szkielety ludzkie. Umieszczono ich na wielkim placu, na którym przed wojną odbywały się uroczystości 1-szo majowe, albo obchody rocznicy Rewolucji Październikowej. Plac po piesznie ogrodzono drutem kolczastym, ale nikt nie pomyślał, żeby zbudować jakie pomieszczenia dla ludzi. I tak zostało do końca.

Przeżyłam głód w 1933 roku, widziałam konających z głodu, ale widok mokrych, brudnych, leżących w błocie, konających z głodu i zimna był nie do zniesienia. Nie potrafię tego opisać. Nieg, marznące błoto, a w tym błocie ludzie pokurczeni jak robactwo. Na czterech rogach placu stały wieżyczki wartownicze, a na nich w dzień i w nocy Niemcy pełnili warty.

Jeżeli który z jeńców miał jeszcze siłę, odwagę i próbował zbliżyć się do ogrodzenia to natychmiast zostawał rozstrzelany. Starali my się ułudy tym biedakom, ale było to prawie niemożliwe. Niektórzy rzucali kawałki chleba przez ogrodzenie. Wygłodzeni więźniowie rzucali się na chleb. Powstawała kotłowanina, bo jeden drugiemu wyrywał jedzenie z ręki, a wartownicy tylko na to czekali. Po serii wystrzałów wszystko cichło, a kawałki chleba mieszały się z błotem i krwią. Tak to się przeważnie kończyło.

Ci, którzy najbardziej walczyli o chleb już go nie potrzebowali, a następnego woleli już nie ryzykować. Oni wciąż jeszcze bali się śmierci.

---

## 11.2 – Pakunki z chlebem

---

Z każdym dniem było tych „chłopców” coraz mniej. Znowu jak dawniej zwłoki wywożono gdzieś w pola, do zbiorowych mogił. Ludzie pojmani w czasie łapanek kopali doły i zasypywali zmarłych. Gdzieś w głębi serca odzywało się głupie sumienie.

Jak to tak może być, by jedni żyli, mieli chleb, ciepły kocioł, a drudzy giną? Trzeba koniecznie ich ratować! Może chociaż kilka osób ocaleje. Myśli, że dla uspokojenia sumienia usiłowałam coś zrobić, nie czekałam z żałobnymi rękami.

Pewnego razu po naradzie, ja i moje trzy przyjaciółki postanowiły myśleć. Pakunki z chlebem, sucharami i cukrem trzeba było jakoś podać. Może chociaż paru z nich przedłuży życie i oczywiście – cierpienie. Do dziś nie wiem czy to było możliwe.

Chęć niesienia pomocy jednak, okazała się silniejsza od rozsądku. Miałyśmy zamiar dziewczęć młodoci i artystami upiękniać Niemca. I prawie się nam to udało. Paczki w szarym papierze z łatwością udało się przerzucić przez zasieki w zacienione miejsce. Artystki myśleć i wygłupiałyśmy się jak niemowlę. Dziwnie to wyglądało, bo bardzo słabo znałyśmy język niemiecki, ale wartownikowi się chyba podobało, bo zaczął się śmiać. Jeszcze chwila i spokojnie mogłybyśmy odejść, ale niestety kilku niesamowicie brudnych, zarówno tych i najbardziej zdesperowanych spośród więźniów-kołtunów rzuciło się na paczki wyrywając je sobie. Dlaczego tak robili? Przecież wiedzieli co ich czeka, nie był to przecież pierwszy raz? Myśleć, że niesamowity głód i zimno odebrały im zdrowy rozsądek. Oni już nie byli podobni do normalnych ludzi. A może było to po prostu samobójstwo?

Rozległy się strzały. Polała się krew. Pierwszy odruch – ucieczka! Rozbiegłyśmy się w różne strony, ale Niemcy zablokowali wszystkie ulice wokół placu i motorami, samochodami gonili i wyłapywali wszystkich znajdujących się na ulicach. Ta łapanka nie trwała długo. Załadowano wielu ludzi na więzienny, ciężarówkowy samochód, a nas razem z nimi.

Ulice opustoszały. Samochód ruszył. Nikt nie wiedział dokąd nas wiozł. Kiedyś myślałam o najgorszym. Ale nie było aż tak źle. Nie jechaliśmy długo. Samochód zatrzymał się nagle. Rozległ się zgrzyt otwieranych drzwi i brutalne okrzyki rozwścieczonych Niemców.

- Raus, raus, schnell, schnell – wrzeszczał nie młody już Niemiec.

Poznałam miejsce do którego nas przywieziono. Zobaczyłam szereg starych, drewnianych baraków, wybudowanych jeszcze przez swoich. Nie tak dawno w tych barakach więziono „politycznych”. Zbudowano je bardzo po pieśni i niezbyt dokładnie. Więzienia były w tym czasie bardzo przepełnione. Tu właśnie nas wyrzucano.

Strach mnie ogarnął. We wnętrzu baraków było brudno, cuchnęło pleśnią i zgnilizną. Podwójne prycze straszyły swoim wyglądem. Okropnie się czułam, bo już wiedziałam sobie, że łapanki spowodowały cztery głupie i naiwne dziewczyny. Nie tylko nikomu nie pomogłyśmy, ale przede wszystkim powaźnie zagrożiłyśmy życie swoje i wielu innych ludzi. I jak się z tym pogodzić i przyznać do tego? Wszyscy by nas przecież znienawidzili. Jakże to było tragiczne i jednocześnie głupie.

Nie miałyśmy czasu zastanawiać się i rozmyślać, bo trzeba było szukać jakiegoś ratunku. Zbliżyła się noc, a w barakach było mokro, zimno i

odra aj co. Odruchowo tulili my si do siebie ogrzewaj c si wzajemnie własnymi ciałami. Taka była pierwsza noc.

Nawet wartownicy pomarzli. Oni zreszt nie mieli najcieplejszych ubra na sobie. Ich płaszcze wojskowe i mundury nie były przystosowane do chłódów. Mo e to wła nie przes dziło o tym, e skoro wit opu cili my niego cinne baraki i czwórkami niczym wojsko wrócili my do miasta. Nasze nowe lokum znajdowało si teraz w szkole, bo przecie dzieci wówczas do szkoły nie chodziły.

Pomy lałam sobie, e znowu zrobiłam głupstwo nie uciekaj c z baraków. Na pewno niektórzy to zrobili, a ja głupia trz słam si z zimna zamiast korzystać z dogodnej sytuacji. Przecie nie byli my nigdzie zanotowani. Nikt o nas nic nie wiedział. Pomimo młodo ci czułam, e siły mam coraz mniej. Byłam głodna. Ju mijąa doba od ostatniego posiłku. My lałam o rodzicach. Oni wiedzieli dok d poszłam, a babcia pomagała mi nawet robi pakunki. Na pewno poszukuj mnie.

Miałam nadziej , e co si odmieni. Nie chciałam wierzy , e zgin . Nie chciałam znale si w sytuacji ludzi, którym chciały my pomóc. Całe szcz cie, e opu cili my baraki. To nie dla nas Niemcy to zrobili. To im było zimno i niebezpiecznie. Nas było du o wi cej ni stra ników. Ze zniszczonych przez czas i ludzi baraków ucieczka nie przedstawiała by adnej trudno ci.

W szkole mieli my dach nad głow , było nam troch cieplej, a Niemcy mieli nas wszystkich za drzwiami pod kluczem. Jedn ci k noc miałam za sob i wci czekałam na ratunek. Szwaby nie traciły czasu. Wygoleni, umy ci i prawie pachn cy wy miewali si z nas, bo po ci kiej, nieprzespanej nocy nie wygl dali my najlepiej.

Zacz ła si segregacja. Ładniejsze i młodsze dziewczyny z jednej strony, a brzydsze i starsze z drugiej. Z m czyznanami Niemcy nie zadawali sobie tyle trudu i zachodu. Ja niestety trafiłam do drugiej e skiej grupy. Widocznie mój wygl d zewn trzny nie był korzystny. Nie podobałam si Niemcowi. Nawet moje blond włosy nie zostały zauwa one. Czułam si upokorzona i gorsza! Zapami tałam to na całe ycie.

Grupa ładniejszych dziewcz t trafiła do kasyna niemieckiego i do sprz tania koszar, a my gorsze myły my podłogi, malowały my ciany i drzwi. Niemcy bowiem, szykowali pomieszczenia dla wojsk, których si spodziewali.

Jak długo wytrzymam bez jedzenia? Oczy zachodziły mgł , w uszach szumiało. Zbli ała si nast pna noc i co dalej? Gdy jedna z dziewcz t zemdląa narobiły my szumu. Przecie w ko cu musz nam da co do jedzenia, bo nie b dziemy mogły pracowa .



## 11.3 – W niemieckiej niewoli

---

Już po zapadnięciu zmroku szykowałyśmy się w jednej z klas do odpoczynku. Nagle otworzyły się drzwi i poczułam miły zapach chleba. Równe cegiełki-foremki chleba ułożył Niemiec na stole i dzielił kałdej po połowie. Już nigdy w życiu nie jadłam tak smacznego chleba jak wówczas.

Później jadłyśmy równie żupy z kotła wojskowego. Same je gotowałyśmy z ziemniaków i buraków dostarczanych przez naszego czynownika z pobliskiego kołchozu. Przeżyłam następną głodną post, bo zupy były bez żadnej omasty, ale i tak miałyśmy lepiej niż jeńcy na placu defilad.

Dostawałyśmy nawet mydło, którym jednak nie można było umyć się. Twarde kamyczki szarego koloru nie myły, a zdrapywały brud. Byłyśmy więc niedomyte, albo raczej brudne. Tego nie można było powiedzieć o Szwabach. Oni myli się i golili codziennie, zawsze więc byli czysti.

Sprzątanie w szkole szybko się skończyło i wyszliśmy na ulicę. Tu był ogrom pracy, bo ciężkie czołgi i samochody rozjeżdżyły już i tak złe drogi. Dopiero wówczas rodzice odnaleźli mnie. Cieszyli się ogromnie, ale i ja byłam szczęśliwa, że ich mam i że jest ktoś jeszcze na tym świecie, komu na mnie zależy.

Czasami udawało się im podrzucić trochę żywności, a to znaczyło dla mnie tyle co życie. Może to komuś wydawało się dziwne, ale z Niemcami łatwiej się było dogadać niż ze swoimi, szczególnie ze stróżykami porządku. Jaki komplement, miłe spojrzenie, uprzejme słowo, a do tego jakaś drobna łapówka w postaci owoców rozbrajała ich. Przecież mimo wszystko oni również byli ludźmi. Może to skłoniło ich do domu, do rodziny. W czasie krótkiego odpoczynku opowiadali o sobie, o swojej ojczyźnie, o rodzinie. Zawiązywała się w tym przyjaźń. Ruski wartownik niestety nie mógłby się zwierzać, ani przyjaźnić. Od niemowląt mieliśmy zakodowany strach i nieufność. Według ruskich wszędzie czaił się wróg. Zrozumiałam, że za wszelką cenę trzeba wejść w łaski wartowników. Może się to w przyszłości przyda.

Zbliżała się zima. Noce były mroźne, zaczął padać śnieg. W zimie na przełomie 1941 i 1942 roku śniegi były bardzo obfite. Wówczas to przerzucono nas na lotnisko do oczyszczania pasów startowych, ale teraz miałyśmy ciepłe mieszkanie. Rodzice nie mieli już do mnie dostępu. Zresztą tutaj tak beznadziejnie nie było. Czasami miałyśmy nawet chleb, no i oczywiście żupy z kotła, ale pożywniejsze.

Na lotnisku byliśmy odcięci od świata. Tylko czasami docierał jakiś okrucieństwo wiadomości. Byłam ciekawa co dzieje się z chłopcami na placu. Jak oni się czują? A oni niestety wszyscy zginęli. Niemcy nawet nie zadawali sobie trudu by chować ich w zbiorowych mogiłach. Zwłoki po prostu były palone.

Układano rzędy sosnowych konarów i rzędy zwłok. Wszystko oblewano benzyną i paliło się ognisko ludzkie.

Zatykałam uszy by jak najmniej słuchać takich okropności. Ci sami wymuszkani Niemcy, którzy niemal z tkliwością opowiadali nam o swoich dzieciach, w tym wypadku zachowywali się jak dzikie bestie w ludzkim ciele.

Ciężka praca przy sprzątaniu śniegu, wyrzucaniu lodu powodowała ogromne wycieńczenie, które zagłuszało odruch nienawiści i chęć zemsty. Wieczorem zasypiałam szybko i spałam na twardych deskach kamiennym snem. Z nadzieją wiosny czułam się bardzo źle. Wychudzona, z pociemniałą cerą, na pewno urodzić nie grzeszyłam. Najgorsze były oczy. Powieki pokrywały się „jęczmieniem”. Gdy jeden się goił to natychmiast tworzył się następnym. Może to z zimna, może z wycieńczenia, brudu, a może po prostu od mycia się piaskowym mydłem.

Bałam się owrzodzenia na całym ciele, tak jak to było w okresie głodu w 1933 roku. Gdyby tak się stało, to Niemcy nie patyczkowaliby się ze mną. Zostałabym rozstrzelana. Ale dzięki Bogu nadeszła ciepła i słoneczna wiosna. Śniegi i lody stopniały, a my przestały być potrzebne na lotnisku. Znowu wróciłyśmy na drogę. Zasypywałyśmy wyboje i kałuże, a ja często widywałam ukradkiem ojca albo matkę. Oni zawsze w jakimś rowie lub zarowach zostawiali pakunek z żywnością.

Może promienie słoneczne, a może odrobina żywności od rodziców stała się dobrodziejstwem dla moich oczu. Przestałam odczuwać swędzenie powiek i „jęczmień” stopniowo ustąpił. Z kawałka lusterka patrzyłam na mnie opalona na złoty kolor, nawet nie brzydka twarz dziewczyny, bo miałam już wówczas 21 lat.

Przerzucono nasz kobiecy brygad do pracy w kolchozie. Spałyśmy bardzo wygodnie w stodole na słomie, a owoców i warzyw było pod dostatkiem. Wartownicy niemieccy nie byli dla nas śmielenkami. Kilku z nich już nie pierwszej młodości, bardzo pięknie mówiło po polsku. Oni prawdopodobnie pochodzili ze Łukasza i z pewnością byli Polakami, chociaż o tym nigdy nie wspominali. Na mnie – Polkę patrzyli łaskawszym okiem.

Kilka razy ojciec rozmawiał z jednym z nich. Szkoda, że nawet nie pamiętam jego imienia. Domyślałam się, że był Polakiem. Często z nim rozmawiałam i prosiłam, żeby pomógł mi wyrwać się z obozu. Przeczynałam, że ojciec również powoli działał w tym kierunku, zwłaszcza, że to właśnie ciwie nie był jeszcze jakimś rygorystycznym obozem. Nie nosiliśmy nawet pasiaków. Dlatego moje ubranie i obuwie zniszczyło się doszczętnie. Z nastaniem lata chodziłam bosą. Nie należało to do przyjemności. Miałam poobijane palce u nóg, a stopy stwardniały niczym podeszwy.

W końcu nadeszła upragniona wolność. Wiele po wzięciu, pieniędzy i odwagi ze strony rodziny, a szczególnie ojca kosztowało moje wykupienie, ale wszystko się udało. W domu nareszcie przez dniemyta zaczynałam wszystko od nowa...

## 11.4 – Na rodzinnej ziemi

---

Już po kilku dniach czułam się wypoczęta i szczęśliwa. To nic, że wojna trwała. Staralam się o niej nie myśleć. Materialnie nie było nam źle, mojemu nawet lepiej niż przed wojną. Ojciec zarabiał nie źle, bo Niemcy doceniali jego szewski fach, mama zaś pracowała w szpitalu w którym znajdowali się ranni Niemcy i również coś wносиła do domowego budżetu.

Nawizali my nawet łacznie z resztkami Polaków z rodzinnej wioski. Hania Dyjak, daleka krewna ze strony mamy pisała, że mieszkanie nasze stoi puste i niszczy się. Te kilka słów wystarczyło, by obudzić w rodzicach nadzieję na odzyskanie własności i powrotu do rodzinnych stron. Jedynym tematem w czasie wieczornych rozmów była rodzinna wieś, dom rodzinny, cmentarze, wspomnienia i wspomnienia!

Rozmowy rodziców denerwowały mnie trochę, ponieważ się już przyzwyczaiłam do tutejszej sympatycznej ludności. Połtawa to przecie takie ładne miasto. Miałam kochaną Marię Pawłównę, jej córkę Helenę, która darzyła mnie matczyną miłością, miałam swoje przyjaciółki. Był też Instytut Pedagogiczny, który koniecznie pragnęłam ukończyć i zdobyć upragniony tytuł nauczycielki. Moją po wojnie będzie jeszcze studiowała? Przecie ta zawierucha nie będzie trwała wiecznie i Niemcy wrócą do siebie.

Znowu snułam marzenia, ale bałam się obiecywać sobie zbyt wiele. Na nic zdały się moje protesty i udowadnianie słusznych racji. Ojciec i mamiegnęła ziemia rodzinna, własny kąt, cmentarze i Bóg jeden wiedział co jeszcze!? Jak postanowili, tak zrobili. Ojciec sprzedał nie tak dawno kupioną chałupę i jeszcze inne rzeczy, i za te pieniądze udało się kupić u Cyganów starą szopę i lichutki wóz.

Byłam ogromnie rozczarowana i zawiedziona. Potrzebne i z trudem zdobyte rzeczy, a nawet chałupę zamieniono na politowania godny zaprzęg. Moją ojciec chciał uciec z tamtych stron, bo musiał się ukrywać? Jako nieboszczyk nie mógł egzystować normalnie, nie mógł się nawet zameldować. W domu nie mówiło się o tym. To był temat jakby wstydlivy, jakby dotyczył tylko i wyłącznie ojca.

Ruszając w drogę poegnaliśmy się z przyjaciółmi i sąsiadami. Lato 1942 roku było ciepłe i pogodne, a podróż nie byłaby bardzo złą, gdyby nie

„wypadka”. Niemcy bowiem, doł czyli nas do taboru cygańskiego i pędzili gdzie do obozu, a pó niej do pieca... Znowu mier wystawiła swoje kły.

Szybka jazda i wyboje na drogach nadwerżyły nasz romek transportu do tego stopnia, że pękło koło i wóz zatrzymał się na środku drogi. Niemcy szaleli ze złości, a ojciec dostał kilka razy harapem po plecach. Ja prosiłam, błagałam by nas zostawiono. Już wtedy mogłam się z nimi dobrze porozumieć, bo nauczyłam się trochę mówić w obozie. I co ciekawe, że z okupantem chociaż z trudem, ale można było dogadać, czego nie udałoby się nigdy ze swoimi. Ci głę to podkreślam i do znudzenia powtarzam.

Pozbyli się resztek pieniędzy przeznaczonych na żywność, ale nasz wóz zepchnięto na pobocze, a tabor pojechał dalej. Znowu cud? Ludzie z pobliskiego kołchozu pomogli i za parę godzin koło zostało wymienione i ruszyli dalej. Trzeba było zachować jak najwikszą ostrożność. Jechali teraz bocznymi drogami, a na mostach tylko ojciec znajdował się na wozie, my natomiast podaliśmy mu za niego pojedynkę i w rozproszeniu. To nie rzucało się tak bardzo w oczy.

Gorzej było z jedzeniem. Głód doskwierał, a kupić nie mieliśmy za co. Pieniądze oddaliśmy przecież Niemcom. Wzięli nam więc jak ostatni nędzarze, ale byliśmy coraz bliżej celu. Podróż przedłużała się trochę, ale w końcu dotarliśmy na miejsce. Po tylu latach poniewierki, a trudno było uwierzyć, że znowu jesteśmy w rodzinnej wsi, na rodzinnej ziemi i we własnych kątach.

Remont mieszkania był nieodzowny i znowu dobrzy ludzie pomagali. Gdy nareszcie weszliśmy do czystego lokum radości nie było końca, tak w nim było jasno i tyle przestrzeni. Ile razy od roku 1932 zaczęliśmy od początku? Liczyłam i nie mogłam się doliczyć. Najbliższej rodziny już nie było. W ciągu tych lat krewni wyginęli lub zostali gdzieś wywiezieni. Zostały tylko polskie sieroty, jakim cudem ocalone. Niektórzy już urodzili, wydorośli i walczyli za Ojczyznę lub byli tani sił robotniczych, jak ich ojcowie, ale teraz służyli Niemcom. Moja cała rodzina również pracowała, by żyć i by uniknąć wywózek na przymusowe roboty do Niemiec lub do obozu. Jedni wywozili, a teraz drudzy czynią to samo. Jakże to było wtedy „modne”.

Ciśnieniami samochodami przyjeżdżali na wieś Niemcy, którzy wyszukiwali dorodniejszą młodzież, a sołtys niestety rad, nierad musiał im pomagać. Odbывał się werbunek ludzi, przede wszystkim na przymusowe roboty do Rzeszy. Uciekinierów szybko wyłapywano, bo w naszych stronach nie za bardzo było się gdzie schronić. Lasy iglaste na czarnej ziemi nie rosły, a liście zostały doszczętnie wytrzebione.

W czasie werbunku, tak samo jak w czasie łapanek Szwaby bardzo dobrze się zabezpieczali. Wszędzie, na każdym rogu stał uzbrojony wartownik,

który mógł w każdej chwili uciekiniera zabić. Oprócz Niemców słub wartownicy pełnili Węgry. Byli bardzo gorliwi i bardzo trudno było ich oszukać. Niemcy natomiast byli łasi na złoto. Czasami udawało się wykupić pojedyncze osoby.

Po takich łapankach i werbunkach ludność ogółem była doszczętnie. Okupanci zabierali tylu ludzi ilu zdołał pomieścić samochód, który natychmiast odjeżdżał na zachód – w odwrotnym kierunku niż wywozili swoich. I ład za nimi ginął.

Po wojnie parę osób wróciło tylko po to by natychmiast trafić do więzienia lub obozu sowieckiego. Tacy ludzie nie mogli żyć, przecie oni widzieli inny świat. Pomimo działań wojennych na pewno zauważyli różnice poziomu życia w Rosji i w Niemczech. Przecie przed wojną wmawiano nam, że za granicami ZSRR panuje zafobanie, niedożywienie i głód. I właśnie nie za to, że poznali prawdę musieli zginąć.

Bałam się łapanek, a gorzki smak życia w obozie poznałam w Połtawie. Jedynym ratunkiem przed wywózką była praca, którą udało mi się dostać na dworcu kolejowym, jako tragarz (nosilszczyk). Dławiłam ciężkie walizy z łupami. Niemcy bowiem wracali do domu na urlopy i wielebili nagrabione rzeczy łudnie z obrazami i ikonami.

Niemiecki szef zastrzegł sobie, bym schludnie, a nawet względnie ładnie wyglądała, bo inaczej zostanie zwolniona i utraci tak lukratywną posadę. Ładniejsze ubrania niestety zniszczyły mi się w obozie, albo zamieniłam je na kawałek chleba! Mając więc jedną tylko sukienkę szanowałam ją bardzo. Jeżeli zabrudziłam, to prałam wieczorem po pracy, rano prasowałam i już biegłam do pracy czysta i schludna jak dała szef. To prawdopodobnie budziło zaufanie.

Zarabiałam niewiele, to ojciec utrzymywał rodzinę, a i ludziom pomagał. Nigdy nie odmówił nikomu pomocy, ale i siadł, pomimo, że nie Polacy potrafili by wdziaczni.

Dostali my od siadego cielaka – byczka, bardzo chudego. Na skórze miał mnóstwo dziwnych narośli. Wydawało się, że to zwierzę niedługo pożyje, ale spróbowanie nie zawadziło. Dobra opieka, pachnące siano w łobie, a nawet trochę czegoś ciwego odmieniło go. Stopniowo gubił guzy, przytył, urósł i stał się naszą maskotką.

---

## 12.1 – mierz z honorem

---

Kończyło się szczęśliwe lato, nadchodziła jesień i zima. Gromadzili my opał, chociaż lasu już nie było. Na ławkach przy rowach melioracyjnych rosły wysokie wierzby i to one ten opał stanowiły. Na bazarze kupiłam

zielony, pomimo, że już nie nowy, ale ładny płaszcz zimowy. Ojciec wyczarował za starych pieniądze nowe buty. Tylko on to potrafił. Ze starego białego swetra zrobiłam ciepły beret i szalik na szydełku i już byłam ubrana. Szef nie będzie mi ubliżał, że wyglądam niechlujnie.

Nadeszły więc ta Bożego Narodzenia i Nowego 1943 Roku. Zdawało mi się, że bieda chwilowo nas omijała. Mieliśmy własny, ciepły kocioł, a dom był czysty i nie głodny. Po wielu, wielu latach nareszcie bez strachu śpiewaliśmy kolędy, a na stole stały naczynia ze świeżymi potrawami. Były ryby smażone, ryby w galarecie, kutia z miodem, uszka z kapustą. Czy to nie luksus? Wciąż przecież trwała wojna. Ludzie wciąż ginęli, a u nas w domu taki dobrobyt.

Oprócz tego w chlewiku stoi maskotka, czarno-biały byczek, przyzwyczajony do ludzi i rozpieszczany przez nas wszystkich, a szczególnie przeze mnie. Mówiłam, że jest inteligentny, tylko nie umie mówić. Nawet w pracy mniej dawałam, bo kto miał zamiar wrócić do domu, ten wrócił na wieś. Spóźnieńskich było mało.

Wieś mijają szybko, a życie toczyło się dalej. Praca, praca, bardzo ciężka praca wypełniała całe dni, a nawet noce. Najgorsze były zmiany nocne. Pracowałyśmy we dwie. Gdy ja pracowałam w nocy moja rówieśnica – Zosia Olanin z Płoskirowa w dzień, i tak na zmianę. W nocy czujnie zatrzymywały się pociski z rannymi. Nareszcie i dla Niemców wojna stała się krwawa. Okaże miasto, okaże wieś, okaże skrawek ziemi toczyły się zacięte walki. Lała się krew i to nie tylko nasza, ginęli również Niemcy.

Mrozy stały się naszymi sprzymierzeńcami.

- A dobrze wam tak – myślałam. – To za młodzieńca, która zginęła na placu w Poławie i nie tylko. To za matki i matki w obozach. To za żydów mordowanych bez końca.

Miałam wrażenie, że Niemcy wstydzą się swoich porażek. Oni, zwycięzcy „bogowie wojny” przewożeni byli w bydłowych wagonach, nie starczyło dla nich wagonów osobowych. Przyszła pora i na nich – nareszcie! Musieli cierpieć i umierać, bo Hitler tak chciał. Dopóki byli młodzi i zdrowi, dopóty byli potrzebni. Stawali się miśmi armatnim. Cóż może znaczy krzyż zasługi i order, gdy żołnierz zostaje ranny?

Ohydne i bluźniercze „Gott mit uns” na pojazdach. Po co zasłaniał się Bogiem?

Ale tacy to oni byli, niczym Krzyżacy w dawnych wiekach. Powoli, ale skutecznie karta się jednak odwracała. Musiało to nastąpić wcześniej czy później. Zima najbardziej dawała się im we znaki, a była długa i ciężka również dla mnie. Denerwowały mnie i męczyły ciękie walizy i paki. Kiedy Niemiec coś targał – czego nie zdążyli zniszczyć komuniści, to wywieźli hitlerowcy.

Prawie codziennie jechały transporty z rannymi. Ci oprócz ran nie mieli nic, żadnych bagaży. Zima powoli odchodziła. Topniały śniegi i lody, a słońce przygrzewało coraz mocniej. Słoneczne, jasne dni ożywiały całą przyrodę. Ja również wtedy czułam się doskonale, zapominając o wojnie.

Nasza maskotka, byczek był tłuściutki, wesoły i zadziorny.  
- Czas najwyższy zamienić go na krowę, bo w końcu nas pobodzie – powiedział ojciec.

Za parę dni zamiast byczka, w obórce stała chuda i niedźna biało-czerwona krowa. To zwierzę okazało się bardzo spokojne i niewybredne. Miało duży apetyt i szybko odzyskiwało „formę”. Szef rzeźni miał rację, dając od ojca dopłatę. Ona u kogoś po prostu z trudem przetrwała zimę, głodowała i dlatego tak wychudła. Liczyło się jedynie to, że mieliśmy swoje mleko.

Tak więc w czasie niemieckiej okupacji zaczęliśmy żyć jak ludzie. Czy to nie mieszane? Niemcy zajęci sobą i swoimi porażkami na froncie nie interesowali się naszym dobytkiem i tak zostało. A może to dzięki sołtysowi, który chronił swoich?

Jak już wspomniałam krowa odżyła, wyładniała i dawała dużo mleka. Już nie pamiętam tam, kiedy ostatnio tak dobrze nam się powodziło. Może jeszcze przed rokiem 1933? Mleko i przetworów starczało nie tylko dla nas, można było nawet trochę sprzedać. Ludzie przychodzili do nas do domu i kupowali.

Znajomi Żydzi z miasta nie mieli pieniędzy, ale po kryjomu dostali od babci mleka albo masła. Niemcy pod karą śmierci zabraniali wspomagać Żydów, ale babcia nie pomna na zakazy i zastraszanie robiła swoje. Jeszcze gdy byłam w obozie nauczyła się dyskretnie i niepostrzeżenie podrzucać paczki, pakowane w szary, nie rzucając się w oczy papierem, w krzaki lub zarost. Na pewno nie kiedy pakunek trafił do osoby dla której był przeznaczony, ale kto biedny na pewno skorzystał.

Na nic się jednak zdała babcina pomoc. Tego lata bowiem, całą społeczność żydowską miasteczka Płoskirów, Niemcy wymordowali w parę dni. Już wcześniej zostały wykopane długie niczym okopy, doły. Ludzie spodziewali się, że hitlerowcy coś knują. Niektórzy twierdzili, że są to faktycznie okopy, bo cofając się okupant zamierza tutaj stawić odpór nacierającym wojskom.

Żydzi jednak wiedzieli co ich czeka. Niektórzy popełniali samobójstwa. Bardzo znany i ceniony lekarz (niestety nie pamiętam jego nazwiska), który ostatnio leczył rannych Niemców, zginął wraz z rodziną. To było rodzinne samobójstwo. Mamo, ona i dwoje dzieci usnęli przy stole zastawionym trunkami i jadłem. Odwrotnie ubrani, z gwiazdami Dawida na piersiach siedzieli z głowami opartymi na stole. Nieletnie dzieci pewnie

si nawet nie domy lały, e umieraj . W takich pozycjach zastał ich wo ny, który przyszedł sprawdzi , dlaczego lekarz nie zjawił si w pracy.

Lekarz, m dny i szlachetny człowiek nie pozwolił, by oprawcy drwili I szydzili z ludzi w chwili mierci. Umarł jak bohater, jak człowiek wolny. A pogrzeb miał taki, na jaki z pewno ci zasu ył. Wszyscy, całe niemal miasto i wie szli w kondukcje, a orkiestra grała marsz ałobny Chopina. Zewsz d słycha było płacz, to pewno łkali ci, którym uratował ycie. Sam jednak musiał zgin .

Mimo, e cmentarz ydowski wygl dał dzi ki faszystom jak pobojuwisko, to wła nie tam pochowali my naszego dobroczy c . Znalazł si nawet kamieniarz, który wykuł na nagrobku napis po hebrajsku, zgodnie z ostatni wol doktora.

---

## 12.2 – Wracaj "swoi", a z nimi strach

---

Pogrzeb był tak spontanicznym widowiskiem, e Niemcy poczuli si wobec nas bezsilni, zwłaszcza, e to głównie niemieccy pacjenci stracili lekarza. Niektórzy łudzili si jeszcze, e to smutne wydarzenie powstrzyma faszystów przed mordem ydów, którzy jeszcze ocaleli.

Wkrótce si okazało, jak bardzo si mylili. Po paru dniach gruchn ła bowiem wie , e sp dzono ydów na plac przy ulicy Kamienieckiej. Na t wiadomo ruszyli my biegiem do miasta. Czułam si , jakbym spieszyła im na ratunek. Gdy dotarli my na miejsce, oczom ukazały si z awczasu wykopane doły, rzekomo okopy, które teraz miały spełni sw haniebn funkcj , grzebi c dziesi tki niewinnych ofiar. ydzi ju szli na rze w milczeniu, bez słowa skargi, pogodzeni z losem. Po obu stronach szeregu kroczyli uzbrojeni po z by faszy ci. Szukałam w ród skaza ców znajomych twarzy, ale oni wszyscy wydawali mi si znajomi i bliscy.

Zacz łam gło no płaka . W tej chwili zobaczyłam wykrzywion w nienawi ci twarz Niemca, który potraktował mnie takim kopniakiem, e upadłam z sił na ziemi , kalecz c kolana. To ju drugi raz w yciu zostałam tak potraktowana.

Dalej ju nie szłam; zabrakło siły. Zastanawiałam si tylko, dlaczego oni si nie bronili, dlaczego szli pokornie, jak baranki? I czy wiat o tym wszystkim wiedział? A gdzie byli ci, którzy nim rz dzili? Nie po raz pierwszy buntowałam przeciwko złu tego wiata. Nie poszłam dalej za tymi, którzy za chwil b d zabici, nie chciałam uczestniczy w tym makabrycznym orszaku.

Tłumaczyłam si krwawi cymi kolanami, ale tak naprawd ja si po prostu bałam. Bałam si , e nie b d potrafiła opanowa płaczu i pohamowa



napiętych do granic nerwów. Miernotnie i kałam si Niemców, a jednocze nie czułam do nich olbrzymi odraz, zło i nienawi. Brzydziłam si tymi potworami. My i , e wojna zabiła w nich wszelkie ludzkie uczucia. Ile to krwi wsi kn ło w ziemi? Mo e dlatego jest ona taka czarna i urodzajna.

Wróciłam do pustego domu, bo cała rodzina była jeszcze w mie cie. To jeszcze bardziej pot gowało beznadziej i rozpacz. Płakałam tak długo, a zm czona z opuchni tymi oczami usn łam. Dopiero pó nym wieczorem wrócili rodzice z babci , ale ja nie chciałam słuca relacji z masakry niewinnych ludzi, kobiet, dzieci i starców. W poniedziałek jakby nic si nie wydarzyło stawiałam si do pracy.

Brzydziłam si sob , e słu takim potworom, ale czy miałam jakie wyj cie?

Całe ycie wydawało mi si bezsensowne. Jak daleko si gałam pami ci wci było beznadziejnie, wci trwała walka o ka dy dzie ycia. To był ju rok 1943 a walka rozpocz ła si ju w roku 1930. Dziwny wydał mi si wiat. Jedni gin li, drudzy ju podrastali, a jeszcze inni rodzili si . Tylko po to by oprawcy mieli materiał, mieli ludzi na których okrutnie i bezkarnie si wy ywali. Pola i lasy usiane były masowymi grobami na których niewidzialne r ce stawały krzy e, znaki ka ni i m cze stwa.

W takiej ponurej atmosferze mijało lato. Ojciec nie był ju cigany i jemu to zawdzi czamy „dobrobyt”. Z du ego ogrodu zebrali my plony. Ziemiaki urodziły bardzo ładnie, mieli my wi c wszelkie warzywa. Pomimo mojej nienawi ci do Niemców byłam im w jaki sposób wdzi czna za ycie bez głodu. W naszej wiosce prawie w ka dym domu była krowa albo koza i głodu nikt nie cierpiał.

Komuni ci natomiast nie tolerowali dobrobytu. Zadowoleni byli tylko wówczas, gdy panował strach, głód i n dza. Tylko w takich okoliczno ciach mieli nas wszystkich w gar ci.

Nadchodziła zima – druga na rodzinnej ziemi. Ja wci pracowałam na stacji kolejowej i zaobserwowałam, e naje d cy nie czuli si dobrze na rosyjskim terytorium. Klimat równie im nie słu ył. Długie poci gi z rannymi jechały na zachód codziennie. Wojsko wykrwawione i zdziestkowane cofało si . Faszyci wracali do siebie, a wygl dali n dnie. Ju nie było wkoło nich atmosfery czysto ci i zadbania.

W wi ta Bo ego Narodzenia i Nowego Roku 1944 w domu było bardzo przyjemnie. Mieli my nawet opłatek! Kto przemycił go do nas. Ja ju nie pami tałam, kiedy ostatnio mieli my opłatek na wi ta. Patrzyłam na delikatny cieniutki biały chleb z podziwem i zachwytem. Tyle było w nim wi to ci i bosko ci, e i kałam si wzi go do ust. Dobry nastrój był jednak chwilowy i wybitnie wi teczny.

Po Nowym Roku zeszedłam na ziemie. Wojna była coraz bardziej krwawa, a linia frontu znowu zbliżała się do nas. Bardzo często maruderzy albo dezercerzy ukradkiem podchodzili do osiedli ludzkich i kradli, co tylko wpadło im w ręce – drób, jajka i inne produkty. Niemcy starszego rocznika, którzy byli tu władzą robili to samo. Zabierali cielęta, krowy a nawet drób. Prawdopodobnie ta żywność miała trafić na front dla walczącego wojska.

Dawało się wyczuć, że wojska niemieckie oprócz chłodu cierpiły również głód i wciśnięcie cofają się. Z dnia na dzień okupant stawał się coraz bardziej nieprzyjemny, jeżeli chodzi o to tak określili. Niemcy zdawali sobie prawdopodobnie sprawę, że są to ich ostatnie dni na Ukrainie. Krótko więc trwałoby nasze spokojniejsze i odrobinę dostatniejsze życie. Z wszystkim co mieliśmy, a do tego nie było, chowaliśmy się. Najtrudniej było z krowami, ale jakoś się udawało.

W takiej atmosferze pełnej strachu i niepewności mijają zima. Wraz z wiosną przybliżała się linia frontu. Już nawet słychać było odgłosy walki. Niemieckie władze uciekły w popłochu i panice zanim nadeszły wojska. Baliśmy się frontu, nalotów, ale nic takiego się nie wydarzyło. Niepotrzebnie siedzieliśmy godzinami w schronach wykopanych w ziemi.

Pod osłoną nocy faszystowskie wojska uciekły bez walki. Nie słyszałam żadnego strzału. Dopiero nazajutrz wkroczyły wojska sowieckie. Po tylu latach okupacji wrócili „swoi”. Z jednej strony byliśmy szczęśliwi, że okupanci opuścili nasz kraj, z drugiej – powrócił strach przed rodzimymi władzami. Powitaliśmy ich bardzo uroczyście chlebem i solą, czekając jak zachowa się nasza władza.

Oficerowie mieli naramienniki na mundurach, a na głowach wielkie okrągłe czapki. Wyglądali bardzo dostojnie, prawie jak oficerowie carskiego wojska. Szeregowi byli również schludnie ubrani. To już nie było nędzne i obdarto wojsko jakie widziałam na początku wojny.

Miałam nadzieję, że cała polityka władzy tak się zmieniła, że nie będzie to zmiany powierzchowne. Niektórzy przebieżkiwali co nawet o wolności religii. Na zapas martwiłam się, że nie mamy księdza a kościoły i cerkwie zostały zburzone.

Niestety były to tylko złudne nadzieje. Bardzo szybko, bo po tygodniu przyjechali do naszej wsi komisarze do walki z kontrrewolucją i – o zgrozo! – znowu zakwaterowali się w naszej chacie. Powrócił strach. Stłoczeni w kuchni czekaliśmy na najgorsze. Pokoje zostały zajęte przez towarzyszy na biuro i sypialnie. Ojca w domu już nie było – ukrywał się. Na szczęście wiosna była ciepła i można było spać na dworze. Zaczęły się przesłuchania i tortury. W wiosnę znowu wypełniły się „przestępcami”, zdrajcami i wrogami ludu. Przesłuchiwało się nie tylko Polaków, zresztą Polaków już prawie nie było.

Wci dziwiłam się i pytałam, komu i jakie korzyści przynosi nieustanna przemoc i niszczenie własnego narodu? Niemcy te mordowali, ale oni byli obcy. Po co niszczy własny naród już i tak zdzieleni tkowani przez wojnę? Ludzie przecież będą potrzebni. Trzeba odbudowywać kraj po wojennych zniszczeniach.

## Stare zdjęcia

---

Mały przerywnik. W związku z przeszłością babci niewiele zachowało się pamiątek materialnych. Jednak babcia zdołała ocalić kilka starych zdjęć, przedstawiających osoby jej najbliższe. Najstarsze zachowane zdjęcie pochodzi z roku 1930 i przedstawia młodą Zofię Pawłowską w towarzystwie rodziców - [Błażeja Okińskiego](#) i [Karoliny Najduk](#). Babcia nie wspomina o tym wprost we wspomnieniach, ale oczywiście w czasach opisanych nosiła nazwisko pani Okińska. Błażej był z rodu szlacheckiego, natomiast Karolina była prostą, chłopską córką. Co ciekawe – fotografował matkę babci, nie wiadomo dlaczego. Dostarczył zdjęcia wybrakowane. Babcia nigdy nie dowiedziała się dlaczego. Natomiast pani Basia sugeruje, że zapewne zdjęcie było mojej prababce potrzebne do jakiegoś dokumentu. Jest to wielce prawdopodobne. Dziękuję za tę odpowiedź!



Ocalało też na szczęście zdjęcie obojga rodziców, już bez żadnych wad i usterek. Jednak z okresu zdecydowanie późniejszego, to jest z lat czterdziestych. Dokładna data zrobienia zdjęcia jest nieznana. Zapewne została ołówkiem zapisana z tyłu zdjęcia, bo widać tam przypominające pismo pozostało ci, jednak już całkowicie nieczytelne. Proszę przyjrzeć się charakterystycznej zmianie wizerunku Błażeja Okieckiego, jak wyraźnie zaznacza się na jego obliczu zmiana sytuacji i położenia rodziny w ciągu tych lat.



Trzecim zachowanym zdjęciem z tamtych czasów jest portret ukochanych opiekunek babci z Połtawy: pań Marii i Heleny Markiewicz. Babcia do dziś wspomina, że mogła u nich zostać i byłaby szczęśliwa. Dlatego to zdjęcie także ocalało i zawsze trzymała blisko siebie.



Poza tymi zdjęciami babcia mówi, że istnieje jeszcze jedno, zrobione w czasach jej wczesnego dzieciństwa, w Greczanych na Łce. Niestety wygląda na to, że gdzieś się zapodziało. Mam nadzieję, że uda nam się je znaleźć – wtedy tak je pokażę Wam. Przejrzyjcie te stare rodzinne albumy. Może liwe, że uda się odszukać inne, już nawet w rodzinnej pamięci zaginione zdjęcia. Oczywiście obiecuję, że w takim wypadku oczywiście je wkleję tutaj.

Natomiast po publikacji odpowiedniego odcinka planuję umieścić tutaj skany księżeczek pamiątkowych i zdjęcia odpowiadających im medali, które babcia zdobyła w czasie jej wojskowej kariery. Jest tam m. in. medal za udział w bitwach o Berlin.

Cały ten wpis proszę potraktować jako przerywnik-ciekawostki przed wznowieniem odcinków.

---

### 12.3 – "Dobrowolne" zesłania

---

Odbudowa i owszem zaczęła się od razu. Nie było mo liwo ci, aby ktokolwiek odważył się nie pracować lub pracować na swoim i dla siebie. Slogan: „kto nie pracuje ten nie je” obowiązywał tak samo jak przed wojną. Cała wielka Rosja stała się ogromnym obozem pracy niewolniczej bez drutów kolczastych i krematoriów.

Znowu zawitał głód, powróciła głodowa śmierć. Ci, którzy dzisiaj grzebali zmarłych umierali jutro. Niepotrzebne więc były egzekucje, gazy trujące

ani piece do spalania zwłok. Taka zagłada nie kosztowała ani kopiejki, mo e jedynie z wyj tkiem wapna chlorowanego, którym masowo oblewano stosy zwłok.

Nikt nigdy nie b dzie w stanie obliczy ile narodu zgin ło przy budowie Białomor kanału, przy budowie metra w Moskwie, Kijowie, ile przepadło na Kołymie, w Kazachstanie, na wyspach Bieguna Północnego i w bardzo wielu innych miejscach zagłady. Po wojnie do tego grona doszli jeszcze Polacy z zachodniej Ukrainy i Białorusi. Dochodziły wie ci o prze ładowaniach i wywózkach Tatarów, Czeczenów, Niemców Nadwoł a skich i innych mniejszo ci narodowych.

My równie spodziewali my si takiego losu. Ani jeden dzie , ani jedna noc nie były spokojne i bezpieczne. Ojciec trwał w ci głym pogotowiu. Miał wci spakowane najpotrzebniejsze rzeczy. Znowu zamierzał ucieka , chocia jego zdrowie nie było ju takie jak dawniej.

Wszyscy pracowali my dla "dobra ojczyzny" – tak to si pi knie nazywało. Mama wróciła do pracy w szpitalu, ojciec – w swoim zawodzie, a ja na dworcu kolejowym w kancelarii. Pierwszy raz podj łam si takiej pracy i to dzi ki s iadce Rosjance, która przed wojn pracowała w ksi gowoci. Wieczorami du o mi tłumaczyła, uczyła jak nalicza wypłaty dla pracowników, jak prowadzi ksi gowoci i w ogóle jak pracowa w biurze.

Bardzo mi pomogła, ale w tamtych czasach sama umiej tno nie wystarczała. Potrzebna był bardzo wielka cierpliwo i pomysłowo . Bałam si , e nie podołam temu wyzwaniu. Pierwsza praca umysłowa, a ja orłem nie byłam. Prawda, od dziecka pracowałam, ale zawsze tylko fizycznie. Za wszelk cen jednak musiałam wszystko szybko poj . Du ego wyboru zreszt nie miałam.

Na szcz cie wszystko si jako układało. Sam naczelnik stacji troch mi dopomógł. Był to jeszcze dosy młody sympatyczny człowiek, przed którym odczuwałam respekt. Moje ksi gowe pocz tki były trudne zwłaszcza, e w ka dym miejscu odczuwało si ogromne braki. Nie miałam papieru, atramentu nie było teczek. Całe szcz cie, e okupant zostawił stosy szarego, pakowego papieru. W stosach brudnej makulatury wyszukiwałam całe kawałki i prasowałam.

Dla jednej osoby pracy było tak du o, e zaj ta byłam od witu do nocy. W ko cu naczelnik zlitował si i zatrudnił jeszcze jedn osob . Była to ładna i rezolutna czarnulka, ukrai ska dziewczyna o imieniu Luba. Jaka szkoda, e nie zapami tałam jej nazwiska. Nie było nam dane zaprzyja ni si , pracowały my razem bardzo krótko. Wiem tylko, e była sierot , niech tnie jednak mówiła o swojej rodzinie. Mo e celowo unikała tego tematu.

Gdzie w końcu lipca obie dostały my pismo od władz z rejonu, że „dobrowolnie” zgodzamy się pracować przy budowie syberyjskiej kolei żelaznej. Co za diabelska sztuczka! Odmowa zrobiłaby ze mnie „wroga ludu”, a wówczas nie wiadomo co by się stało. Przed wojną miliony wrogów ludu zginęło w najrozmaitszy sposób.

Następnego dnia przyjdę do pracy dwie dziewczyny, które musiałam przeszkolić. Luba do pracy nie przyszła. Nikt o jej zniknięciu nic nie wiedział, a wszyscy udawali, że się nic nie stało. Już nigdy jej więcej nie zobaczyłam. Luba była odważna i czasem potrafiła powiedzieć kilka słów przeciwko gorszej prawdzie prosto w twarz. Ta cywilna odwaga nie mogła się podobać. Ja taką odwagę nie grzeszyłam, może dlatego przetrwałam?

Po zniknięciu Ukrainki czułam się osamotniona, bezbronna i osaczona. Stałam się więc nieustraszoną dziewczyną. Dziwiło mnie, że po śmierci mojej osoby tyle uwagi i zachodu. Wciąż szukałam jakiegoś wyjścia z tej opresji, ale nie wiedziałam co robić. Nagle przyszedł mi do głowy pomysł by ochotniczo zgłosić się do wojska! Było to lepsze niż Sybir, praca ponad siły i powolne konanie. Rodzice przyznali mi rację.

Aby ten pomysł zrealizować potrzebowałam czasu i choć odrobinę wolności. Komendant wojenny w Płoskirowie urzędował w godzinach przedpołudniowych. W tym czasie i ja pracowałam i do tego byłam pod strażą. Chciałam zachorować i dostać zwolnienie lekarskie, ale jak na złe choroby w tamtym czasie nie miały się mnie. Nie mogłam się więc wyrwać z biura ani na chwilę. Mama przynosiła nawet ze szpitala jakieś cuchnące płyny nieznanego pochodzenia, które piłam. Później czułam się okropnie, ale gorączki nie miałam i zwolnienia nie dostawałam.

Wyglądało na to, że ratunek oddała się. W końcu zdobyłam się na desperacki krok. Poparzyłam sobie prawą rękę gorącym tłuszczem. Wyglądało to okropnie, ale dostałam tylko zastrzyki przeciw zakażeniu i na tym się skończyło! Dalej musiałam być w pracy.

Na „dobrowolne” zesłania wytypowano już wszystkie resztki polskiej młodzieży. Dzieci i starszych zostawiono na szczęście w spokoju. Wywózki całymi rodzinami przestały się widocznie opłacać. Moja koleżanka i daleka krewna Teofila, również była objęta tą akcją. Starzałyśmy się by razem, to dodawało odwagi i było odrobinę łatwiej. Byłyśmy takie młode! Wspólne rozmowy lub czytanie księzek trwały nieraz całą noc, czas nieuchronnie uciekał.

Wydawało się, że ostatni promyk nadziei zgasł, gdy pewnego dnia, nie wiadomo jak udało nam się zmylić strażników i wymknęłyśmy się do Komendy Wojskowej. Wszystko poszło doskonale! Za butelką samogonu otrzymałyśmy powołanie do wojska. Nie zastanawiałyśmy się wówczas czy było to dla nas lepsze wyjście niż niewolnicza praca w lasach Syberii. A przecie wojna trwała nadal i na wszystkich frontach ginęli ludzie.

Pocieszały my się jedynie, że mogłyśmy chociaż w niewielkim stopniu zdecydować o własnym losie, obojętnie jaki by on nie był.

## 12.4 – Pociąg z polskim wojskiem

---

Los pomimo wszystko uśmiechnął się do nas. W tym samym czasie, w tym samym dniu przejeżdżałam przez stację Greczany pociąg z polskim wojskiem. Była to w większości polska młodzież wracająca z zesłania. Naszego szczęścia nie da się opisać! Mogli nas zabrać ze sobą! Nawet powołania do wojska, które nas kosztowały tyle nerwów stały się niepotrzebne.

Wróciłyśmy do domu po egnaście z rodzinami. W czasie pakowania przypadkowo spojrzałam przez okno i cierpiałam ze strachu. Uliczki zbliżyły się do naszego domu dwóch uzbrojonych wojskowych albo milicjantów. A więc stało się! Idą po nas. Na ucieczkę było już za późno, słychać było ich ciękie buciory przed domem. Co robić? – myślałam zrozpaczona. Trzeba jednak próbować!

Instynktownie schowałyśmy się na strychu. W pokoju zostały otwarte plecaki i torby podróżne. Może ich nie zauważą? Ze strychu nasłuchiwałam co się dzieje na dole. Milicjanci szukali nas wszędzie, przewracali meble, trzaskali drzwiami. Słyszałam płacz mamy. Wyszli na chwilę na podwórze i już cieszyłam się, że się udało. Ale oni niestety powrócili i weszli na strych. Wszystko skończono! Nie udało się! – pomyślałam.

Strach brał górę nad rozsądkiem. Już chciałam wyjść z ukrycia i poddać się, ale moja przyjaciółka pociągnęła mnie za rękaw tak silnie, że osunęłam się na podłogę i leżąc czekałam. Na strychu było ciemnowo i prawie pusto. Wałało się parę starych mebli i niepotrzebnych gratów, a w samym szczycie stało kilka snopów równo poukładanej i zwizanej słomy, pociemniałej ze starości. Za dawnych lat kiedy zboże to jeszcze sierpami lub koszoną kosami, a młócenie odbywało się za pomocą cepów powstawały takie równe wielkie snopy. Nazywali je okłotami. Zdaje mi się, że te nazwy zapoyczyli my z języka ukraińskiego – okołot. Byli my tutaj, a ojczyzną naszą było Podole na Ukrainie.

To z takiej słomy dziadek (ojciec mamy) wyczarowywał różne piękne i potrzebne rzeczy i sprzęty: kapelusze na upalne lato, lekkie ozdobne koszyczki na pieczywo, maty, a nawet wysokie pojemniki na zboże. W takich właśnie słomiankach wzmocnionych wiklinowymi wótkami rodzice przechowywali fasolę, ziarno kukurydzy lub dyni.

W tych pociemniałych i osnutych pajęczynami okłotach była nasza kryjówka. Milicjanci przeklinając, penetrowali strych. Leżałam bez czucia i słyszałam głodne bicie własnego serca. Po rozwaleniu staroci przyszedł czas na klucie



snopów bagnetami. Osiedły wieloletni kurz unosił się w powietrzu potęgając półmrok. Dusiliśmy się. Tak bardzo się bałam. Co się stanie jak bagnet zanurzy się w moim ciele? Czy wytrzymam te próby? Czy zabij nas od razu, czy tylko porani? Chciałam stać się prochem, kurzem czym niewidocznym. Bo w końcu co my my sobie reprezentowały? Dwie młode niedoświadczone dziewczyny, a państwo i władza zadaje sobie tyle trudu by nas ujarzmić. Nie mogło mi się to pomieścić w głowie!

Dławiący i duszący kurz okazał się zbawienny. Oprawcy zaczęli potęgować kichać i kaszleć i przeklinać opuszczeni strychnię. Do dziś nie pojmuję dlaczego nas nie znaleźli? Wydaje mi się, że nie mogło to być takie trudne. Byłoby nie chcieli nas znaleźć, byłoby człowieczeństwo wzięło górę nad zezwierzęceniem. Milicjanci rozkaz wykonali i nie ponosili odpowiedzialności dalej. Tak myślimy dziś, ale jaka była prawda już nigdy się nie dowiem.

Gdybym sama tego nie przeżyła nie uwierzyłabym, tak cudowne i zdawałoby się proste było to ocalenie. Skoro tylko milicjanci opuścili nasz dom, szybko ruszyłyśmy w drogę. Uciekałyśmy między ogrodami, między grządkami, między rzędami wysokiej kukurydzy i konopi. Nie było nas prawie widać. Byle dalej, byle do stacji. Ale tutaj... zobaczyłyśmy jedynie tylną część pociągu coraz szybciej oddalającą się ze stacji. Zabrakło kilku minut.

W pierwszej chwili nie wiedziałam co poczynić, gdzie teraz szukać ratunku. Tliła się we mnie tylko wiadomość, że nie można na siebie załamywać to może oznaczać najgorsze. Szybko postanawiamy dogonić pociąg samochodem. Stoimy na drodze i próbujemy zatrzymać jakikolwiek samochód jadący w kierunku Polski. Kilka aut minęło nas, lecz po chwili stanęła łaskawie obok rozklekotana ciężarówka z workami. Wgramoliłyśmy się szybko na pakiet szczelnie, że gonimy pociąg.

Na jakiej stacji przed granicą skład zatrzymał się. My również wysiadłyśmy my płacąc uczynnemu kierowcy. Patrząc na siebie miałyśmy się i płakałyśmy równocześnie. Łzy szczęścia mieszały się z cementem z ciężarówki, którą jechałyśmy. Całe byłyśmy umorusane tym białym pyłem. Opyłone, zapłakane i szczelnie znalazłyśmy się wśród polskich ołnierzy. W miechu i kartonach było coś nie miara, ale nas to nie obchodziło, zapomniałam o wstydzie i skrępowaniu.

Po umyciu przedstawiono nas ołnierzowi, który się nami zajął. Trafiłyśmy do dziewczęcego wagonu. Jego pasażerki wracały do Polski i cieszyły się, że za chwilę pociąg przekroczy granicę i wszyscy znajdziemy się w Ojczyźnie. Nareszcie w ukochanej Polsce!

Byłam znowu w byłym wagonie, który przypominał mi tragiczne wydarzenia z dzieciństwa, ale teraz to było coś zupełnie innego. Dziewczyna przyjął nas do swego grona bardzo serdecznie, a my

opowiadały my o naszych tarapatach i szczeliwej ucieczce. Ja wci miałam chorą rękę – pamiętam po symulowanym poparzeniu. Rana bolała mnie i paprała się. Szczególnie palce wskazujące i serdeczny dawały mi siwe znaki. Nasze nowe towarzyszki powiadomiły lekarza, który zajechał się mną. Byłam niemiłe zaskoczona, bo medyk okazał się nie być Polakiem i na dodatek cuchnął alkoholem.

- Dlaczego nie Polak? – zadawałam sobie pytanie.

Na tej małej stacyjce, której nazwy nie pamiętam poczułam się bardzo krótko. Niebawem ruszyli my dalej na zachód, a ja nareszcie poczułam się bezpieczna. Dopiero wtedy uzmysłowiłam sobie, że nie egnałam się z rodziną tak jak powinna się egnać jedyna córka z kochanymi rodzicami. Nie było w tym pospiesznym rozstaniu ani krzyty serdecznie. Nikt nie uronił ani jednej łzy. Wiedziałam, że nie było wtedy ojca, on cię gdzieś ukrywał.

Nie odczuwałam tęsknoty za domem rodzinnym, którego właściwie ciwie nigdy nie miałam, a ojczyzna nie była mi znana. Kraj rodzinny był dla mnie okrutnym macoch. Do dwunastego roku życia byłam kochana i czułam się szczęśliwa a zarazem potrzebna. Później wszystko się zmieniło. Zmienili się ludzie. Stali my sobie obojętni i nieczuli na krzywdy innych, a czasem nawet na cierpienia najbliższych. Kiedyś ratował się na własną rękę i jeżeli się udało to chwalała mu za to. Ja również byłam podobna.

Obojętna, zimna i ostro na. Życie mnie tego nauczyło i życie tego ode mnie wymagało. Myślałam sobie, że ekstremalne warunki i cię gdzie zagrozenia sprawiają, że stajemy się inni, niepodobni do siebie. Nawet mierzą przez swój masowo, powszechno i cię gdzie obecno – obojętnie, chociaż boimy się jej. Ale to może raczej tylko zwierzęcy instynkt.

Nie wiem czy miałam rację myśleć w ten sposób?

---

## 12.5 – W wojsku „polskim”

---

Bezpiecznie siedziałam na podłodze bydlęcego wagonu i słuchałam miarowego stukotu kół i piewu dziewcząt. Zrobiło mi się błogo i z oczu popłynęły łzy. Zdziwiło mnie, że mogłam jeszcze płakać. Dawno już przestałam się rozczulać nad sobą i nad innymi. A współpasaerki piewały polskie piosenki, których ja w ogóle nie znałam. Cieszyły się, że wracają i że na zawsze opuściły nieludzką ziemię. Wiadomo, że z nich została kogoś z najbliższych, nierzadko zakopanego w syberyjskiej zmarzlinie. Poczulałam się częścią tego zespołu, prawie żołnierzem jadącym na front.

Dojechaliśmy do małej stacyjki zwanej Sumy i opuściliśmy wagony. Nocowali my w lesie w namiotach. Przed snem odbył się wypad i odśpiewano „Rot”. Rano, zaraz po nadaniu wojsko ruszyło w dalsz

tras . W czasie marszu marzyła mi się ucieczka. Marzenia jednak nie nabrały realnego kształtu. Nie miałam dokąd uciekać. Byłam tu obca i kraj był mi obcy i nieznany.

Wieczorem dotarliśmy do mety, a moje nogi były w opłakanym stanie. Pięty pocierałam do krwi. Przypomniła mi się ucieczka z zesłania. Piękna i ciepła pogoda nastrajała jednak optymistycznie, zwłaszcza, że następnego dnia był zaplanowany odpoczynek. Raniutko obudziły mnie głośnie dzwony kościelne. Była to niedziela i ludzie spieszyli na poranną mszę w świątyni. Po wielu latach tułaczki, bez księdza i bez Kościoła ogromnie zapragnęłam uczestniczyć we mszy, zmieszawszy się z tutejszą ludnością i być jednym z nich.

Niestety moje pragnienie nie miało się zrealizować. Podziwiałam tylko grupki ludzi pięknie i odświętnie ubranych, spieszących na nabożeństwo. A my mieliśmy się stawić do dowódcy, którego nikt jeszcze nie znał i nie widział. Dowództwo bowiem nie jechało razem z nami "eszelonem". Idąc z kolejką do sztabu dowiedziałam się, że to miasteczko nosi nazwę Lubartów. A więc Polska...

Wtedy to, w tę niedzielę obie dostałyśmy umundurowanie wojskowe. Co ciekawe – nigdy już nie spotkałam dziewcząt z którymi przyjechałam do Polski. One zniknęły. Prawdopodobnie tylko jechały z wojskiem, a w wojsku służby nie miały zamiaru. Wracały po prostu do rodzin.

Było mi przykro, że zostałyśmy tylko dwie. Osieroczone Polki z Rosji, słabo i z ruskim akcentem mówiące po polsku. Znowu odczułam swój odmienny i niemożliwy. To boleło. W tym samym dniu poznałam dowództwo mojej jednostki – 4 Brygady Saperów II Armii Wojska Polskiego. Byłam zaskoczona, a nawet zaszokowana tym, że było ono wśród kucharzy i sanitariuszy, którzy absolutnie nie znali języka polskiego. Polakami było tylko kilku oficerów niższej rangi. Miałam wrażenie, że to kpina z nas wszystkich, którzy łudzili się, że wojsko jest polskie. To nie był jednak zły sen, takie były fakty.

Ponieważ dobrze znałam język rosyjski i mówiłam po polsku, dlatego przydzielona zostałam do pracy w sztabie. Otrzymałam dwa słowniki: polsko-rosyjski i rosyjsko-polski. Wyglądało na to, że zostałam tłumaczem. Moja kolejka rozpoczęła pracę jako tłumaczka.

Po paru dniach ruszyliśmy dalej, bliżej Warszawy. Wydawało mi się, że spieszymy na pomoc walczącej stolicy. Dotarliśmy nawet całkiem blisko, ale dalej nie posunęliśmy się ani na krok. Jednostka rozlokowała się obok jakiejś małej wioski i tu zostaliśmy długo. Jedzenie pogarszało się z dnia na dzień. Zbliżała się jesień i zaczęły się deszczowe chmurne dni. Ziemiaki często były podtapiane. Sztab i służba zdrowia mieściły się w wiejskich chatkach, nie w ziemiankach. Obie z kolejką mieszkałyśmy równie w wiejskiej chacie. Nie była ogrzewana, więc zimno było prawie

tak jak na dworze. W czasie snu okrywały my się szynelami, bo żadnych koców ani pościeli nie było.

Ja jakoś trzymałam się, ale moja koleżanka zachorowała na zapalenie płuc. Była bardzo chora i odwożono ją do szpitala w Siedlcach. Bardzo się o nią martwiłam, bałam się, że nie przeżyje. Bezradnie stałam na drodze i patrzyłam na odjeżdżający samochód, który zabierał jedyną bliską mi osobę. Myślałam o domu, o rodzicach, o babci, która była dla mnie bardzo opiekunem i dobrą, a którą bardzo kochałam.

Całe życie walczyłam ze złem, uciekałam od niego, szukałam schronienia i ratunku. Ale czy znalazłam? Czy moja ucieczka do wojska nie była pomyłką?

Jedynym przytulnym miejscem był sztab, mieszczący się w wiejskiej chacie. Tutaj było sucho i ciepło. Codziennie rano żołnierze przynosili meldunki ze wszystkich kompanii. Bardzo nudnie wyglądała ta młodzież, jeszcze tak niedawno rozpieszczana i szczęśliwa z powrotu do kraju, do domu, do Polski. Deszcze, zimno, złe odżywianie poczyniły spustoszenie. Między kartkami brulionów z meldunkami bardzo często znajdowałam jeszcze żywe, pełzające wszy. Czułam się okropnie i współczułam biednym żołnierzom.

A Warszawa wciąż walczyła, cierpiała i pewnie czekała na pomoc. Niestety nasze wojsko ani drgnęło. Gniliśmy w podtopionych ziemiankach, a wszy nas zjadały. Rosyjscy dowódcy mieli swoje tajne rozkazy, o których polscy żołnierze nie mieli pojęcia. Nie potrafiłam pojąć, dlaczego tak długo tkwimy tutaj i na co czekamy. Stolica walczy i woła o pomoc!

Kiedyś, kto otwarcie kwestionował dziwne zarządzenia zniknął bez śladu. Skąd ja to znam? Bardzo wielu młodych, niewiele o przyjeździe do wojska ludzi dezercerowało. Prości, wiejscy chłopcy nie rozumieli, nie wiedzieli co ich czeka. Przeważnie nie znajdowano ich w domu rodzinnym. Koniec był prozaiczny zarazem i tragiczny. Śmierć wojenny i śmierć. A Rosjanie czynili to z nieukrywaną przyjemnością. Czy nie było to zbyt okrutne? Ale wojna ma swoje prawa...

Nadeszła zima i zasypała ziemianki śniegiem. Szerzyły się choroby, a za nimi kroczyła śmierć. Znowu śmierć. W samym środku zimy nadszedł rozkaz wymarszu. Od razu pojawiła się nadzieja na lepsze, bo gorzej już chyba być nie mogło. Młodzież chciała walczyć, odczuć smak wojny, bo nasza jednostka jeszcze nie uczestniczyła w żadnych, choćby małych potyczkach.

Z zachodu, z kierunku stolicy, nie słyszeliśmy już odgłosów walki. Zdawali nam się sprawy, że Warszawa padła. Tylko klęsk, oprócz dowództwa, przeżywali wszyscy. Odczuwaliśmy odpowiedzialność za ten pogrom. Bezczyenne gnicie w ziemiankach i jakieś dziwne nieludzkie

wyczekiwanie w pobliżu rozpaczliwie walczącego miasta uważali my za zbrodni ludobójstwa.

Nie znałam się na polityce ani na strategii, ale zrozumiałam, że Polacy zostali oszukani i zdradzeni. Nie potrzeba wielkiej mądrości aby to pojąć! Nasz „przyjaciel” i sojusznik znowu pokazał wilcze kły, a wiat to zaakceptował. Miałkowie, którzy mieli odwagę mówić o tym otwarcie, znikali z naszych szeregów. Znany mi to stary i wypróbowany sposób pozbywania się ludzi miałych ale niewygodnych.

Gdzie ja jestem? Czy jest to Polska, o której z wielką czułością, prawie ze łzami to ci opowiadała mi babcia? Gdzie znajduje się kres zła? Czy uda mi się wyjść z zaklętego kręgu? Przestałam w coś wierzyć i wierzyłam, że się tutaj znalazłam. Czy warto było narazić siebie i bliskich dla uludy i tych wartości, które były moim udziałem od dzieciństwa. Gdzie znajduje się prawda i sens życia?

Z chwilą wymarszu warunki aprowizacyjne zmieniły się bardzo. Wojsko jadło teraz smaczniejsze zupy, w których zauważało się kawałeczki mięsa z konserwy „winaję tuszonka”. Przed samym wymarszem Teofila wróciła ze szpitala jako tako zdrowa. Jechali my ciętym samochodem z plandek, która trochę chroniła przed wiatrem. Nie było to dla Teofili najlepsze, ale innej możliwości nie miałyśmy.

I oto widzimy Warszawę. Na razie była to Praga. Tu nie wyglądało jeszcze źle, ale kiedy po lodzie i pontonowym moście przeszliśmy na drugą stronę Wisły, włosy ze zgrozy stanęły na głowie. Zamiast miasta zobaczyłam morze ruin i sterczące wypalone kikuty domów.

Trudno było uwierzyć, że człowiek może do tego stopnia niszczyć nie tylko ludzi, ale i martwe przedmioty. W imię czego można się do czego takiego posunąć? Jak bardzo wydawały się podobne te dwa narody – jeden ze wschodu, drugi z zachodu. To coś strasznego makabrycznego, że człowiek staje się bezrozumnym bestią. W zwyrodniałych rękach człowiek staje się potworem, który niszczy wszystko na swojej drodze, nawet martwą przyrodę i kamienie.

Miasto umarłe, miasto widmo, powitało nas obojętnie i zimno. Tylko podmuchy mroźnego wiatru i zapach spalenizny mówiły, że jesteście my na ziemi. Po co tutaj przybyliśmy? Zjawiliśmy się o wiele za późno. Miasto-ruina już nie potrzebowało pomocy. Tutaj nie było z kim walczyć ani czego bronić.

Nasze dowództwo, nie wstydząc się tego sformułowania nazwało wkroczenie do Warszawy wyzwoleniem. Jakie wyzwolenie, co i kogo wyzwoliliśmy my, z kim walczyliśmy my? A czy było to zwycięstwo czy klęską? Niemcy zrobili swoje i odeszli. Nie byli już naszymi wrogami. Pozostało

tylko rozminowanie gruzów i wykopywanie zwłok, nierzadko spalonych na w giel.

## 13.1 – Ko ce i pocz tki

---

W Warszawie nie zostali my długo; nie było potrzeby dłu ej tkwi w ruinach. Pami tam, e min li my Kutno i inne polskie miasta, mi dzy innymi Kraków, który szcz liwie ocalał.

Najbardziej zapami tałam Wrze ni chyba dlatego, e w rodku zimy zobaczyłam w kwiaciarni wiosenne kwiaty: tulipany, onkile i inne. Dla mnie obywatelki Zwi zku Radzieckiego graniczyło to z cudem. Kwiaty w rodku zimy w tym wojennym czasie – nie do pomy lenia. Znalazłam si jakby w innym wiecie. Zdawało mi si , e tu nareszcie zaczyna si Polska, e opowie ci babci zacz ły si ziszczą .

A wojna gorzała coraz wi kszym płomieniem. Faszcy ci bronili si zajadle, ale pod naporem wojsk sowieckich i polskich musieli si cofa . Walka o Wrocław pochłon ła wiele młodzie y. A ja pisałam wci listy do ich rodzin z meldunkami o mierci, bohaterskiej mierci, synów i braci.

Ogrom mierci i zniszcze był przera aj cy. Od dziecka patrzyłam na mier , ale wci nie potrafiłam si z ni pogodzi . Ka da mier zabierała najlepszych, najmłodszych i najbardziej bezbronnych. W czasie głodu najwi cej umierało dzieci, a na wojnie gin li młodzi ludzie, sam kwiat narodu. Jakie monstrum na wiecie potrzebuje tyle krwi i ofiar? Odpowiedzi na to pytanie nigdy nie było i tak ju pozostanie. Jaki dny władzy psychopata wszczyna walk , której potem nie sposób zatrzyma . A niewinna krew wci u y nia polsk ziemi i nie tylko polsk .

Koniec wojny zastał nas w Czechosłowacji. To było wielkie wi to, 9-ego Maja 1945 roku. Ludzie si cieszyli, a przyroda nam wtórowała. Pi kne kwiaty, soczysta ziele tryskały energii i szcz ciem. Koniec wojny – koniec umierania i cierpienia. Stopniowo cofali my si , ale niestety walczyli my nadal z pojedynczymi grupkami faszystów, którzy ukryci w lasach i bunkrach atakowali znienacka. Rze trwała nadal, jak długo jeszcze?

Na terenach, które w przyszło ci przył czono do Polski postoje trwały dłu ej. Miasteczka i wioski były całkowicie wyludnione. Czasami tylko spotykali my ludzi ukrywaj cych si w piwnicach lub na strychach. Były to przewa nie kobiety i dzieci.

Los kobiet był tragiczny w tych czasach. Schwytane przez Sowietów, niczym zwierza przewa nie gin ły. Zbiorowy gwałt na oczach kolegów i dowódców był na porz dku dziennym i uchodził bezkarnie. Po takich

bestialskich czynach kobiety ginęły a je li jeszcze tliło si w której ycie to oprawcy j dobijali. Miałam wra enie, e jednak za mało cierpieli my, za mało gin li my.

Byłam te wiadkiem innych zbrodni sowieckich ołnierzy. Wyszukiwali oni najokazalsze dzielnice w miastach i je podpalali. Oblewali benzyn klatki schodowe, a do mieszkania wrzucali płon ce pochodnie. Ogie obejmował całe ulice i osiedla. Płon ły miasta, które wcze niej unikn ły otwartej walki. ołnierze z naszej jednostki usiłowali gasi umy Inie wzniecane po ary, ale było to niemo liwe z powodu braku wody i sprz tu. Nasi ołnierze próbowali burzy płon ce budynki aby przerwa potok ognia, ale to równie okazało si nieskuteczne. Rosjanie zajadle pilnowali swojego dzieła zniszczenia. Z broni gotow do strzału odp dzali miaków i dalej siali spustoszenie. Najpi kniejsze dzielnice wygl dały jak spalona Warszawa. Rosjanie prze cigali si w niszczeniu.

Całe lato jednostka zmieniała miejsca postoju. Stacjonowali my w Cz stochowie, Busku-Zdroju, Tarnowie, a w ko cu zatrzymali my si w Poznaniu. Tu zastała nas demobilizacja. Obie z przyjaciółk miały my prawo zosta w Polsce, wi c pod ył my na zachód, na tak zwane Ziemie Odzyskane.

Od rodziców otrzymywałam rozpaczliwe listy. Po raz drugi wyrzucono ich z własnego domu, w którym urz dzono porodówk . Sterani yciem tułali si po cudzych k tach. Postanowiłam zabra ich i babci do Polski, bo miałam teraz do tego prawo.

Na wiosn 1946 roku rodzice przyjechali do mnie do Gorzowa Wielkopolskiego. Najgorzej czuła si babcia, zmarła w nast pnym roku. Ojciec z ci k chorob płuc m czył si jeszcze do roku 1957, ale nie było to ycie tylko m czarnia i wegetacja. Matka yła do roku 1979, zmarła na wylew krwi do mózgu. I tak sko czyło si ycie w m ce poniewierce i prze ladowaniach.

W Polsce nie było lekko, ale przestali my by cigani jak najgorsi złoczy cy, ju nie byli my wi zieni. Jednak w wymarzonej Ojczy nie rodzice nie odnale li spokoju, zadowolenia ani tak zwanego szcz cia. Młodo , energi , zdrowie i ch do ycia zostawili w Zwi zku Radzieckim. Pozostała tylko gorycz, al za zmarnowanym yciem, choroby przywiezione ze wschodu i czekanie na mier .

Ja byłam młoda i inaczej patrzyłam na ycie. O dawnej ojczy nie przestałam my le , przecie ona obesza si ze mn okrutnie jak macocha z upiornej bajki. Nigdy jednak nie straciłam z ni kontaktu. Co mnie tam ci gn ło. Bardzo mało ocalało tam Polaków. Nawet ci, którzy jeszcze yj przestali by prawdziwymi Polakami. Przede wszystkim znikła polska mowa, jedynie nieliczni starzy ludzie j pami taj .

## 13.2 – Powroty

---

W roku 1975 zostałam zaproszona przez dalek krewn do Chmielnicka czyli dawnego Płoskirowa. Mojej rodzinnej wioski już nie zastałam. Ocalała tylko stacja kolejowa o tej nazwie. Młodzi już nie wiedzą, że była tu kiedy polska wieś, były ukwiecone łąki, był staw w którym roiło się od ryb. Nie było również liści ciastego lasu z wiekowymi dębami i bukami.

Zaproszenie otrzymałam wczesną wiosną, ale przyjechałam pod koniec czerwca. Pragnęłam zobaczyć dojrzałe sady winne, dawniej całe czerwone od obfitości owoców oraz skosztować soczystych papierówek. Kiedy rosły one przy każdej chacie. Jeszcze nawet nie zajęłam na miejsce a już domy liłam się, że ich tam nie będzie. Będąc w Kijowie na bazarze byłam zszokowana wysokimi cenami na owoce w tympliwej jako ci. W sklepach państwowych owoców w ogóle nie dostrzegłam.

Kiedy dotarłam na miejsce, i wysiadłam z pociągu przeraziłam się. Dokąd ja przyjechałam i czego tu szukam? Poczulałam nieodpartych natychmiastowego powrotu. Zawsze razili mnie nieporządkiem, brudne i zaniedbane polskie ulice, ale to co tutaj zobaczyłam nie dało się w ogóle opisać.

Pamiętam moje miasteczko z lat dziecięcych. Czy było bardzo piękne? Nie wiem, może to tylko moje oczy dziecka widziały go ładnym i przyjaznym bo życie było przyjemne i dostatnie. Teraz poczułam się obco. Na placu przed dworcem powitał mnie duży pomnik Bogdana Chmielnickiego. To chyba jest dobre miejsce dla niego i on tutaj się czuje doskonale. Przecież to tutaj walczył on przeciw Wiśniowieckiemu, a Kozactwo i awanturnicy byli jego sojusznikami.

Miasto Płoskirów nie mogło zostać przy starej nazwie, bo Polaków tu nie ma. Kamieniec Podolski na razie istnieje, może dlatego, że stoi na litej skale. Jest tam jeszcze wysoki turecki minaret na szczycie którego Polacy umieścili figurę Matki Boskiej. Są jeszcze ruiny baszt, o których tak pięknie pisał Henryk Sienkiewicz. Gdy tak dumiałam pod postacią Chmielnickiego nadjechali moi krewni. Aż dziw, że ocaleli.

Rodzinnej wioski nie poznałam, zamiast białych chat w winnych sadach zobaczyłam betonowe miasto bez zieleni, zimne, niegościnne i obce. Ale o dziwo moja chata stoi taka jak dawniej. Złoty czas jej nie wyszczerbił. Mieszkają w niej dwie rosyjskie rodziny. Nie ma jedynie zabudowa gospodarskich. Stodołę rozebrały my z babcią jeszcze w 1933 roku. Reszty dokonał czas i ludzie. Ulica nadal nazywa się Wiśniowa, chociaż nie zauważyłam na niej ani jednego drzewka owocowego.

Już w pierwszym dniu dowiedziałam się o odkryciu ogromnej zbiorowej mogiły. Podczas burzenia starych budynków w piwnicach dawnego NKWD



odkopano cmentarzysko. Jak to się mogło stać, że cała okoliczna ludność ogłodała ten zbiorowy grób. Piwnice w których od roku 1937 leżały zwłoki pomordowanych były szczelnie zabetonowane i pokryte smołą. Bez dostępu powietrza ludzkie ciała jeszcze nie były rozłożone.

Kiedy buldożer usunął piwnice i zburzył piwnice robotnicy ujrzeli stosy ciał. Bezmiar zbrodni odsłonięty został w całej swojej grozie. Słuby bezpieczeństwa nie były na to przygotowane i już nie były w stanie ukryć tego przed ludźmi. Całe miasteczko zbiegło się, aby zobaczyć ten wielki mogiła. Niektórzy próbowali szukać bliskich. Po białej kaszmirowej chustce, rozpoznano znak przodownic pracy, która w roku 1936 lub 1937 została odznaczona Złotą Gwiazdą za zasługi. Po odbiorze medalu jeździła osobnym pociągiem do Moskwy. Córka z tego, ostatecznie znalazła się między swoimi i uderzyła się w tył głowy.

Aby opanować sytuację milicja zamknęła ulice, a ludzi rozprzeczła pałkami i gazem łzawiącym. Duszący zapach gazu i odrażające wyziewy rozkładających się ciał mieszały się ze sobą. Milicja dopiero pod osłoną nocy wywoziła zwłoki w pole za miasto. W tym miejscu gdzie znajdowała się zbiorowa mogiła wybudowano duży sklep „Uniwersmag”. Byłam w tym sklepie, co kupowałam, ale w pamięci ciągle miałam wspomnienie wymordowanych ludzi.

W gościnie byłam bardzo krótko. Wracając do Polski z bólem i uczuciem wielkiej krzywdy nie tylko w odniesieniu do siebie, ale do całej społeczności polskiej, która już przestała istnieć.

Podobno kiedyś naród po wojnach, klęskach żywiołowych czy kataklizmach odradza się i zaczyna od nowa. Ale tamtejsi Polacy już nigdy się nie odbudują. Nie ma dla nich miejsca na tamtej ziemi. Może w Kazachstanie, na Syberii czy w Azji środkowej Polacy, ale oni wolą wyrzec się swej narodowości i wiary katolickiej. Zbyt wiele wycierpieli za Polskę i za religię.

Tak się złożyło, że po roku odwiedziłam stryjecznego brata w Kazachstanie. Wyjechałam z domu w połowie maja. Wiosna tego roku była chłodna i deszczowa. Spodziewałam się, że na miejscu będzie jeszcze zimniej. Ale nie zgadłam. Jechałam pociągiem, aby zobaczyć. Podróż trwała cały tydzień. W miarę jak pociąg zbliżał się do celu stawało się coraz cieplej i cieplej. Gdy dojechałam do stacji Taincza co w przekładzie znaczy „jałowa krowa” było już tak gorąco, że pootwierane okna nie przynosiły ochłody. Suchy stepowy wiatr tworzył powietrzne turbiny, które niosły chmury czarnego słońca.

Mój brat Leon Okiski czekał na mnie na stacji. Tylko ja opuszczałam pociąg, to ułatwiło nam poznanie się, bo myśmy się przecież w ogóle nie znali. Brat zamierzał rozpoznać mnie po fotografii, ale nie było to potrzebne. Zbliżyła się wietrzna i ciemna noc. Ta noc wydawała się bardzo

ponura, choć na niebie migotały gwiazdy. Do domu jechali my bardzo długo. W czasie podróży widziałam na polach pracujących ludzi – Polaków i Niemców. Obywał się wiew z białymi wiatłami samochodów i ciemność rozjaśniały ciemno. Ludzie pracowali na zmianie dzień i noc. Potrzebny był po prostu ciepło, bo wiosna, jak w Polsce była spóźniona.

Droga bez osiedli ludzkich wydawała się pusta i monotonna. Późną noc dotarliśmy do wsi Jasna Polana w której po prostu mieszka mój brat. Jest to ta ziemia w której byli ostatni Polacy ze wsi Greczany. Jest to północny Kazachstan, rejon Taincza, Kokczetawska Oblast. Kiedy tam przebywałam nie było tak ciepło zwłaszcza, że Leon był dyrektorem tego sowchozu. Innym ludziom również się powodziło. Wszyscy mieszkali w nowych schludnych domkach jednorodzinnych budowanych za Breżniewa. Może na bym pomyślała, że Breżniew nie był złym człowiekiem. Czy ja tak myślałam?

Ziemia w Kazachstanie jest równie żółta i czarna jak na Podolu, ale letnie upały i susza, a w zimie mrozy się gające  $-40\text{ C}$  nie sprzyjają rolnictwu i nie rozpieszczają mieszkańców równiny. Bez przerwy wieje wiatr, a pył wciska się w najmniejsze szczeliny. We wsi są jeszcze ziemianki w których mieszkali zesłańcy z 1936 roku. Ci którzy przeżyli chętnie opowiadali o początkach życia na tym pustkowiu. Ponieważ przemierzali ogromną odległość, dlatego dotarli na miejsce dopiero późną jesienią. Może to nawet nie było zamierzone.

Zesłańców spotkała bezkresna pustynia, wielki step pełen kurzu, mrozu i znowu śmierci. Wszędzie podłoga za ludźmi nieubłagana śmierć. Szukali chociaż małego drzewka, znaku życia ale nie ujrżeli. Dopadała więc ich śmierć bezwzględna i zabierała najpierw dzieci i starszych, a później nie pogardziła nikim. Ci którzy przeżyli kopali pazurami czarną ziemię i budowali głębokie jamy w których byli trochę osłonięci od wiatru. Czekali na cud, który nie nadchodził. Wody również brakowało, ale ludzie wciągali siłę. W odległości kilkunastu kilometrów od ziemianek młodzi chłopcy znaleźli błotnistą jezioro. Nieprzytomni z radości biegli do obozu po naczynia. Każdy kto miał jeszcze siłę pobiegł do jeziora napić się wody, jak mówili przed śmiercią i wtedy nastąpiło najgorsze. Jezioro oszukało ich, bo woda w nim była błotnista i bardzo czysta była... słona. Najpierw ludzie zawieźli ich na pustynię a teraz Bóg o nich zapomniał, a śmierć była nienasycona.

Co silniejsi i zdrowsi szukali ludzkich osiedli i w końcu udało się. Ktoś szczęśliwie znalazł osadę Kazachów; nawiązał kontakt. Ludzie bardzo biedni pomagali biedniejszym od siebie. Powstał handel wymienny. Później okazało się, że oprócz Polaków byli tam również Niemcy, których wyrzucono z pociągu w innym miejscu. Zesłańcy zjednoczyli się i powstało osiedle Jasna Polana. Mężczyźni kopali ziemianki, a kobiety gotowały słoną wodę - produkowały sól, za którą dostawali pitną wodę i suchary. Taki był początek osuwania „cylinnych” ziem – odłogów.

W roku 1940 doł czyli do nich Polacy z zachodniej Ukrainy i Białorusi. Zesła cy z tej wywózki nie mieli ju tak le, bo przybyli na gotowe. Pó niej doł czyli do nich Tatarzy i Czece cy. Ci pierwsi z trudem, ale jako przyzwyczaili si do tamtejszego klimatu i warunków yciowych. Czece cy – dumny i hardy naród nie potrafili y na zesłaniu. Zreszt oni traktowani byli przez władze jak zdrajcy i kolaboranci. Podobno słu yli w niemieckiej andarmerii, jednak zgin ło ich równie du o jak Polaków.

Obok chrze cija skiego cmentarza widziałam zbiorowe mogiły Czece ów. Przypuszczam, e ich równie masowo rozstrzeliwano, ale o tym wstydliwie si przemilcza. Nawet mój brat niech tnie wracał do tych wspomnie .

W czasie mojej go ciny ycie płyn ło tam normalnie jak wsz dzie w ZSRR, mo e nawet lepiej. Jasna Polana szczyciła si tym, e mieszka cy w czynie społecznym wybudowali kotłowni do centralnego ogrzewania. Zim ka dy po kolei tam pracował, by w mieszkaniach było ciepło pomimo mrozów. Wie miała równie swój piekarni , fryzjera i szkoł . Przyznam si , e nawet mi si u nich podobało. Jedynie wszechobecne pustkowia i ogromne odległo ci mi dzy osiedlami były uci liwe.

Opuszczałam t ziemi z pewn rado ci . Wiedziałam, e nigdy tam nie wróc , tak samo zreszt jak do Płoskirowa. T sknota za ojczyzn przestawała by bolesna. A jednak mimo wszystko nieproszone łzy napływały do oczu. Nie płakałam z powodu utraconego kraju, przegranego dzieci stwa i młodo ci, płakałam nad losem Polaków, którzy gin li albo wyrzekali si samych siebie. Płakałam z powodu oboj tno ci wiata, który nie chciał widzie cierpienia całych narodów. Przez łzy widziałam brzozowe lasy, mokradła zostawały w tyle.

Mijali my Brze , za chwil b d w Polsce. Ciepły zachodni wiatr muskał moje gor ce skronie i zapłakane oczy. Ja wróciłam, ale oni musz tam zosta . Dla nich wszystko jest zamkni te.

---

## Epilog

y cie ju si ko czy. Zawsze uciekałam od zła i biedy, ale czy uciekłam? Bieda wsz dzie mnie doganiała.

Nawet internowania w roku 1981 w stanie wojennym nie omin ły mojej rodziny. Osobi cie tego nie do wiadczyłam, ale moja córka była wi ziona.

Tak samo jak kiedy w roku 1937 szukali my uwi zionego ojca, tak teraz szukałam córki. Z moim zi ciem

objechali my całe miasto, ale bez skutku. Nigdzie nie otrzymaliśmy żadnej informacji, tak samo sztychano z nas jak wtedy podczas stalinowskiego terronu.

Jedyną moją radością i pociechą są dzieci i wnuki. Cieszę się, że chociaż tyle los mi ofiarował.

A może to jest najważniejsze?

Zofia Pawłowska, z domu Okulska

Gorzów Wlkp.  
lata 90-te

---

## Interludium

---

Wspomnienia spisane przez babcię, obejmujące okres do 1945 r., skończyły się. Podzielone na prawie 50 odcinków pokazały gorzką historię Zofii Okulskiej-Pawłowskiej.

Dziękuję serdecznie wszystkim, którzy czytali Wspomnienia. Strona tego bloga została wyświetlona niemal 30 tysięcy razy! To niesamowity wynik, w tak krótkim czasie. Wasze zainteresowanie przerosło nasze (babci i moje) najmielsze oczekiwania! To naprawdę wspaniałe i podnoszące na duchu – są ludzie, którym zależy, którzy interesują się historią zwykłych, prostych ludzi; Polaków.

Ponadto chciałem podziękować bardzo gorąco wszystkim, którzy zostawili swoje wpisy pod kolejnymi odcinkami. Wszystkie komentarze zawsze drukowałem i przynosiłem babci do przeczytania. Na początku nie mogła uwierzyć, że tyle dobrych słów ludzie znajdują, że Wspomnienia się podobają. Ale kiedy znosiłem kartka po kartce, dzień w dzień, nie pozostawało jej nic innego jak uwierzyć: -) Co przy ilości Waszych wpisów i tempie publikacji nie zajęło dużo czasu.

Jeden z czytelników – gschab – w swoim wpisie prosi o coś galszy. Tak jak pisałem już, coś galszy istnieje. Słuchajcie to

trzy grube zeszyty rącznego pisma, które zawierają opowieść o dalszych losach mojej babci. O jej karierze w wojsku, o tym jak to się stało, że osiadła na Ziemiach Odzyskanych, o jej dalszym życiu...

Aktualnie jestem w trakcie przepisywania owego "drugiego tomu" Wspomnień na komputerze. Z racji licznych zajęć niestety idzie mi to bardzo powoli, ale jednak do przodu. Cięgle rozmawiam wraz z babcią, czy ta czyta i czy może zostać opublikowana, lub w jakim wymiarze. Chodzi oczywiście o to, że ta czyta wspomnienie dotyka już współczesnych losów rodziny, czasami konkretnych osób, a nie historii.

Niemniej obiecuję, że będę pamiętała o tym, że wierni czytelnicy zawsze się znajdą, jeżeli w końcu postanowimy "drugi tom" opublikować.

Na koniec chciałbym wspomnieć o tym, że powoli podejmuję próbę wydania "pierwszego tomu" Wspomnień. Kończąc obróbkę ostatecznej wersji tekstu ródłowego, który będzie owym tekstem modelowym, na potrzeby wydawnictwa. Jeżeli uda się coś osiągnąć, jeżeli Wspomnienia jakimś cudem trafią pomiędzy księki okładki, nie omieszkałam o tym Was poinformować!

Nie rezygnuję z bloga, nie zamykam. Nie obiecuję jednak tak szybkiego powrotu z kolejnymi odsłonami Wspomnień. Ale kto wie... Może jeden odcinek, raz na tydzień, zacznie się ukazywać już niedługo?

Na koniec – raz jeszcze dziękuję. Za wszystko – za dobre słowo, za pamięć, za modlitwy. Bóg zapła!

<http://wspomnienia.salon24.pl/65734,3-4-kot-przy-zamknietej-komorce>  
cz. 1 <http://wspomnienia.salon24.pl/posts/5,3,kultura>  
cz. 2 <http://wspomnienia.salon24.pl/posts/5,2,kultura>  
cz. 3 <http://wspomnienia.salon24.pl/posts/5,1,kultura>

Odpowiedzi: 3 to "Wspomnienia z za Buga ~ 1921-1945 – Zofia Pawłowska"

1.



## Autor powiedział:

Czuję się kompetentny, a żeby natychmiast odpowiedzieć. Babcia nie zgodziła się na publikację tych wspomnień do tej pory nigdzie. Pierwotnie upierała się przy tym, że jeżeli chcemy to komuś pokazać, to dopiero po jej śmierci. Woli babci więc nikt nie negocjował, a znalazł się uparty wnuk, który zaczął babcię nakłaniać do próby takiej amatorskiej publikacji w Internecie. Kobieta to telekomunikacyjnego umysłu (połowa życia przepracowana w TP) i idea Internetu nie jest dla niej wcale magiczna, więc udało mi się babci namówić. Oto i owoce owych starań. Natomiast wydaj mi się, że próby papierowej publikacji nadal obostrzone są owym iście testamentowym zakazem. Niemniej, jak Pan widzi, uważam te wspomnienia za wartościowe do publikacji. Każda rada z Pana strony do kogoś z nimi udać, z jakimi materiałami itd. będzie bardzo cenna. Mogę tylko dodać, że babcia splodziła dwie części swych wspomnień – te z okresu 1921-1945 urywają się właśnie na jej przybycie do Polski z armią Berlinga. Druga część, już raczej bardziej prywatna i chyba nie nadająca się do publikacji, obejmuje jej życie w PRL. - autor

[Odpowiedz](#)

2.



## Autor powiedział:

Odpowiedzi na pytania:

Coś dziś o postawie byłego premiera Piotra Jaroszewicza – sybiraka, któremu władza radziecka wymordowała rodzinę, a mimo to został Premierem Rzeczypospolitej PRL?

Prawdopodobnie został zamordowany z rak tzw. słu b. Babcia raczej niechętnie chciała skomentować osobę Jaroszewicza. Trudno jej ocenić postępowanie kogoś, kogo nie znała osobiście. Stwierdziła jednak, że ludzie jacy są naprawdę, pokazują w różnych okolicznościach – „po owocach ich poznacie”. Natomiast babcia nie wyklucza, że mógł to być człowiek szalony. Ona sama zastanawia się, jak przeżyła – jako dziecko! – to wszystko i zdołała zachować zdrowy umysł.

Czy znasz takie postaci typu „odwrócony” i ich motyw?

Nie, nie zna. Osoby, z którymi dotarła do Polski, a które przeżyły piekło ZSRR, były do swojej śmierci wielkimi przeciwnikami wszystkiego, co sowieckie, w tym polskiej pojąłtańskiej władzy.

Natomiast jeżeli chodzi o motyw, to babcia jednak uważa, że były czysto oportunistyczne: pieniądze, władza, przywileje... Raczej trudno byłoby uważać, że wiara w komunizm tak na ludzi działała. No chyba, że byli szaleni.

3.



## Autor powiedział:

Odpowiedzi:

@kejaw > Moja mama na wiadectwie uko czenie szkoły > powszechnej miała trójk (3) z wychowania cielesnego > oraz pi tk (5) z religi z zaznaczeniem > rzymskokatolicka > Jak Pani wspomina czasy szkolne? Babcia natychmiast stwierdziła, e czasy szkolne wspomina bardzo le. Z kilku oczywistych przyczyn – mord na "lwowskich" nauczycielach, propaganda i podobnych, których ka dy si domy li mo e. Mniej oczywist ja ta, e babcia co pewien czas musiała zmienia szkoły – co zreszt było opisane we wcze niejszych cz ciach Wspomnie . Najpierw nauka – w tym krótka, do dwuletnia, j zyka polskiego – w Greczanach. Nauczyciele byli tam Polakami (z nazwiska babcia pami ta pa stwa Majewskich), za co spotkały ich opisane prze ładowania. Potem szkoły w Płoskirowie, Mirhorodzie, Połtawie... Co do wyników nauki to babcia wspomina, e nie była bystr uczennic . "Łapała" same trójki, cz sto naci gane mocno, ale nauczyciele na ogół j lubili. Raz nawet, w czasie nauki, otrzymała wraz kilkunastoma innymi uczniami "nagrod za dobre post powanie" w postaci wycieczki do Kijowa. Je eli chodzi o religi , to na terenie ZSRR nie było mowy o nauce jakiegokolwiek. Czy to rzymskokatolickiej, czy prawosławnej. Babcia jednak w Połtawie odnalazła swoje małe lekcje religii – chodziła w tajemnicy w pobli e starej cerkwi, przerobionej na magazyn czy co podobnego, kl kała i modliła si . To chyba wszystko, czym babcia mogłaby uzupełni zawarto Wspomnie w tej materii.

@Zetor, Czarny Pijar > Czy mógłby Pan zapyta Babci , czy przed 22 czerwca > wida było w Połtawie jakie oznaki mobilizacji? > Jakie transporty id ce na Zachód, poruszenie w ród > wojskowych i ich rodzin? Czy przypomina sobie jakie > kampanie propagandowe z tamtego okresu? Je li tak, > na co kładły nacisk? Odpowied miałby dla mnie > ogromn warto . Nie, adnych oznak mobilizacji, adnej propagandy anty-hitlerowskiej. Wr cz przeciwnie! Niemcy były wychwalane praktycznie cały czas jako raj na ziemi, wspaniały kraj i idealny sojusznik. Propaganda tworzyła z Hitlera stronnika słowia skich narodów, który pomagał w "wyzwalaniu" ciemi onych Białorusinów i Ukrai ców przez Polsk mi dzy innymi. Nawet filmy w kinach były puszczane, pokazuj ce wspaniało narodu niemieckiego. Babcia nie pami ta dokładnie jak to si zmieniło i czy si zmieniło z dnia na dzie 22 czerwca. Jednak pewne jest to, e nie było adnych oznak mobilizacji przez agresj na ZSRR, nie było adnej propagandy. ywo babcia przypomina sobie tory kolejowe w Połtawie, przy których mieszkała. Niedaleko niej ładowano wszelkimi dobrami poci gi, które ruszały w kierunku Niemiec, aby wesprze aprowizacyjnie

"sojusznika Hitlera". O tych pociągach tam sporo się mówiło, bo wszyscy widzieli jak ładowane były różnymi dobrami, głównie jedzeniem, podczas gdy w Poławie ludzie głodowali praktycznie. Babcia jest prawie pewna, że w czerwcu pociągi jeszcze kursowały. @Kura Wydadaj mi się, że na wiekszą część Pana pytania znajdzie Pan odpowiedź powyżej. Uzupełni tylko o opis nastrojów. Propaganda działała – wspierała Armię Czerwoną, jako walczącą o "lepsze jutro, lepszy świat, potężny ZSRR" i ludzie w to wierzyli. Nawet babcia – osoba młoda jednak – w pewnym momencie dała się omamić na pewien czas. Poza tym ludzie jednak byli zastraszeni. Trudno było o takich sprawach rozmawiać, nie mając obaw, że druga osoba w odpowiednie miejsce nie złoży donosu. Nawet dzieci się bało (patrz: Pawka Morozow). @wilre > ..może znajdzie się na stronie jakiś adres mail, na który mógłbym dostać foto, związane z tematem blogu > – Golgotki mieszkać w Kresów Wsch. RP. Dobra sugestia. Specjalnie założyłem przed chwilą adres e-mailowy przeznaczony na cele Wspomnień : [zofiapawlowska@tlen.pl](mailto:zofiapawlowska@tlen.pl) Umieść zaraz ten adres w nagłówku.